

Ilustrował:

KAZIMIERZ HAŁAJKIEWICZ

S4S&4

Akc.

B3

^0

CZEŚĆ PIERWSZA

Ofcsec

Tego ranka obydwaj, ojciec i syn, zaczęli dzień od kłamstwa. W przypadku ojca nie było to kłamstwo dosłowne, raczej zatajenie. Inżynier Slapa nie chciał, by żona wiedziała, że zamiast do pracy idzie do lekarza.

„Może to nic groźnego, może zakładowy przesadził — myślał — po cóż Wikta ma się zawczasu denerwować. Powiem jej, jeśli specjalista potwierdzi diagnozę”.

Zapisany był w przychodni kardiologicznej na godzinę ósmą trzydzieści, ale wyszedł z domu o zwykłej porze, by nie być zmuszonym do odpowiedzi na nieuniknione pytania żony. Dzień był ładny i ciepły, postanowił więc iść piechotą.

Nie umiał i nie lubił kłamać, a Wikta z pewnością

zainteresowałaby się, czemu mąż nie śpieszy jak co dzień, by zdążyć na godzinę siódmą.

Spytała przecież Michała, co się stało, że wychodzi do szkoły razem z ojcem, a nie wybiega, jak zwykle, zdyszany, w ostatniej chwili, pędząc z łomotem po schodach i połykając po drodze resztki śniadania.

Michał schylił się, by dociągnąć rozluźnione sznurowadło, i wbrew zwyczajowi nie odpowiedział jednym słowem, niechętnie i burkliwie, lecz udzielił matce wyczerpujących wyjaśnień.

— Mamy dziś zupełnie wyjątkowo trening przed lekcjami, bo nasz wuefiarz wyjeżdża na dwa dni i nie będzie gimnastyki, a niedługo gramy mecz, takie międzyszkolne spotkanie z piątym liceum.

Kiedy indziej inżynier Slapa byłby może zwrócił uwagę na niezwykle wielomówstwo syna, na pośpiech, z jakim odpowiedział matce, wreszcie na kilkakrotnie powtórzoną prośbę: „Tato, zaczekaj na mnie, wyjdziemy razem”.

Dziś jednak słuchał piąte przez dziesiąte, słowa syna skwitował krótkim: „Dobrze, dobrze, pośpiesz się”, cały pochłonięty czekającą go wizytą u lekarza.

Dopił herbatę i wyszedł z kuchni, by jeszcze raz sprawdzić, czy na pewno schował do teczki wszystkie wyniki badań. Przechodząc przez przedpokój spojrzął machinalnie w górę i zobaczył, że jedna połowa drzwi zamykających pawlacz opadła i ledwo się trzyma na wyrwanym zawiasie.

„Trzeba to będzie naprawić — pomyślał — bo w końcu spadnie i jeszcze komu łeb rozbije”.

Bardzo lubił majsterkowanie, miał zręczne palce i sporo wprawy, chełpił się nawet przed znajomymi, że nie daje zarobić fachowcom ani grosza, sam jest fachowcem od elektryczności, stolarki, szklenia okien i innych drobnych napraw. Ale dziś, gdy pomyślał,

i

że trzeba będzie stać w niewygodnej pozycji na drabinie, z wysoko uniesionymi rękami, poczuł niechęć i lęk przed zmęczeniem, przed bólem ramion i sztywnością karku.

„Ja chyba naprawdę jestem chory — przeraził się, ale zaraz skarcił sam siebie — bzdura, po prostu przemęczenie, przecież od dwóch lat nie miałem porządnego urlopu!”

Wszedł do pokoju i raz jeszcze sprawdził zawartość kartonowej teczki. Przerzucał machinalnie kartki opatrzone pieczętkami przychodni, podpisami lekarzy, kartki zawierające niezrozumiałe dla laika słowa i cyfry, wreszcie wziął do ręki elektrokardiogram i po raz setny wpatrzył się z napięciem w tajemniczy rysunek dokonany przez aparat, w niezrozumiały

wykres obrazujący pracę serca. Pomyślał, że te małe świstki papieru zawierają w sobie jego los, wyznaczają granicę między tym, co było dotychczas, a tym, co nastąpi. Usłyszał kroki w przedpokoju i szybko zamknął teczkę. Ale to nie była Wikta, to była Hania, najmłodsza córka, jeszcze w piżamie, różowa od snu wsunęła przez uchylone drzwi jasny, potargany łebek i krzyknęła przekornie:

— Dobry dzień, tatusiu!

Inżynier uśmiechnął się i odparł donośnie:

— Dobry, dobry.

Jasny łebek zniknął, zaszumiała woda w łazience, a po chwili dał się słyszeć trochę gniewny, trochę rozbawiony głos Wikty:

— Hanka, wylaż z wanny, śniadanie na stole, spóźnisz się do szkoły.

Inżynier ponownie się uśmiechnął. Jego najmłodsza córka, jedenastoletnia Hania, była w okresie buntowniczej przekory, wszystko robiła na odwrót, „na od-wyrtkę”, jak sama określała swoje postępowanie.

7

— Dlaczego mam być taka jak wszyscy? — pytała zaczepnie. — Ja nie chcę!

I mówiła „noc dobra” zamiast dobranoc, kąpała się rano zamiast wieczorem, zapuściła warkocze, bo w klasie wszystkie koleżanki miały krótkie włosy, a nawet zaproponowała, że będzie się uczyć sama, w domu, bo nie chce chodzić, jak wszyscy, do szkoły.

Matka trochę się gniewała, a trochę była rozśmieszona pomysłami najmłodszej córki, nie przejmowała się jednak zbyt jej wybrykami, bo Hanka zawsze miewała przeróżne bziki, które prędzej czy później mijały.

Inżynier wszedł do kuchni, wziął z rąk żony drugie śniadanie porządnie zapakowane w biały papier, pocałował ją w policzek, pogładził włosy Hani i rzekł do Michała stojącego w drzwiach:

— Idziemy.

W progu zderzyli się jeszcze z Małgosią, która wyszła ze swego pokoju, ziewając i przeciągając się.

— Spóźnisz się, starucho — rzucił w przejściu ojciec.

— Nie — odparła córka — dziś idę na dziesiątą.

— Czemuż to? — zainteresował się inżynier i przystanął, ale Michał pociągnął go za rękaw i szepnął niecierpliwie:

— Tato, prędzej!

Był jakiś podniecony, niespokojny, wyglądało na to, że chce jak najszybciej być sam na sam z ojcem.

Ale gdy zeszli po schodach i znaleźli się na ulicy, Michał ostygł, szedł powoli, ociągając się i nie podnosząc oczu wbitych w płyty chodnika. Milczał. W ten sposób doszli do rogu ulicy i przystanęli, bo akurat zapłonęło czerwone światło.

Inżynier ocknął się z zamyślenia i spojrzął na syna.

— Tak ci zależało, żebyśmy razem wyszli, a teraz

8

wleciesz się jak na ścięcie i nic nie mówisz. Stało się coś?

— Nnie — wykrztusił z trudem Michał — właściwie to... sam nie wiem... tylko że...

Zamilkł. Wstrząsnął nim nagły dreszcz. A przecież było zupełnie ciepło, nawet bardzo ciepło jak na wczesny czerwcowy ranek.

Michał znał ten dreszcz, od wczorajszego popołudnia raz po raz czuł na plecach zimne mrówki, słabość w kolanach i pot zwilżający czoło i skronie. To był strach.

— Tato — powiedział błagalnie — ja...

Inżynier spojrzął uważnie na syna. Co mu się stało? Może chory? Od dawna już nie widział u Michała takiego wyrazu oczu. Była w nich trwoga i bezradność, i zagubienie. Gdzież się

podziały oschła obojętność, wyniosła pewność siebie i lekceważący uśmiezek, od jakiegoś czasu goszczący stale na twarzy jego syna?

Michał przestąpił z nogi na nogę.

— Tatusiu — zaczął niepewnie — ja chcę... potrzebuję...

Znów urwał. Nie jest łatwo ni stąd, ni zowąd zdobyć się na szczerość i otwartość, jeśli dotychczas żyło się własnym życiem i uważało, że te cechy są tylko zbyt dużą komplikacją w życiu młodego, nowoczesnego mężczyzny. Chciał powiedzieć: „potrzebuję rady, pomocy, potrzebuję ciebie”, ale wstyd, skrępowanie wepchnęły mu te słowa z powrotem do gardła. Ku jego przerażeniu ojciec zrozumiał niedopowiedziany dalszy ciąg zdania zupełnie opacznie.

Sięgnął do kieszeni i spytał:

— Ile?

Michał milczał, wstydząc się rzekomej domyślności ojca i własnego tchórzostwa.

— Dwadzieścia wystarczy?

9

Chłopiec machinalnie wyciągnął rękę, przyjął zmięty papierek, potem zawrócił gwałtownie i bez słowa pobiegł przed siebie. Worek z książkami obijał mu nogi, nie czuł tego, idący z naprzeciwka przechodnie potrącał go, nie zwracał na to uwagi. Biegł, nie wiedząc dokąd biegnie i powtarzając przez zaciśnięte zęby:

■— Dwie dychy, dwie dychy!

Przebiegł tak kilkaset metrów, zatrzymał się i stał z policzków ciepłą wilgoć.

Franciszek Slapa znalazł się na ulicy i teraz dopiero pozwolił, by twarz mu zmierzchła. Bo w gabinecie lekarza wyglądał jak człowiek, któremu jest wszystko jedno, diagnozę przyjął spokojnie, z obojętnym, grzecznym uśmiechem, idąc przez korytarz wypełniony oczekującymi swojej kolei pacjentami uśmiechał się nadal, jakby nic nie zaszło, jakby przyszedł tu po trzy dni zwolnienia z powodu grypy.

Dopiero na ulicy opadły mu kąciki ust, zarysowały się zmarszczki na czole, głowę wtulił w pochylone nagle ramiona. Wyglądał teraz jak stary, zmęczony człowiek. Jak człowiek chory. Przeszedł przez jezdnię i stanął przy żelaznej barierce. Dalej była już tylko porośnięta trawą skarpa i ciemna, leniwie płynąca woda kanału. Zacisnął dłonie na ciepłym, nagrzanym słońcem metalu. Był gładki i lśniący, wypolerowany tysiącem rąk, które dotykały go od lat. ...serce osłabione, złe krążenie, wysokie ciśnienie...

Bzdura! Wprawdzie ostatnio czuł się bardzo źle, ale wystarczy parę tygodni odpoczynku, by wszystko minęło. Lekarze zawsze przesadzają, chcą strachem skłonić pacjentów do ostrożności, do posłuchu.

Sięgnął po papierosy i po chwili wahania cofnął rękę.

10

Trzeba jednak ograniczyć palenie, lekarz miał rację, może rzeczywiście ustąpią bóle serca, zawroty głowy, kaszel...

Nie ma co, powinien wziąć się za siebie, porządnie podleczyć i wyjechać, koniecznie wyjechać na kilka tygodni. Ma przecież zaległy urlop, no i zwolnienie. Oczywiście, że wyjedzie, ale nie nad morze ani do uzdrowiska, gdzie wszystko jest obce, inne, krajobraz, powietrze, ludzie. Pojedzie na wieś, na prawdziwą, zwyczajną wieś jak Mostowice. A może pojedzie po prostu do Mostowic?

Ostatni raz był w swojej rodzinnej wsi osiem, nie, dziewięć lat temu. Na pogrzebie ojca. Była zima, tęgie

11

mrozy, dzieci były chore na anginę, pojechał więc sam. Ze stacji kolejowej do Mostowic szedł sześć kilometrów zaśnieżoną szosą, bo autobusy nie kursowały z powodu zasp. Brnął z trudem, przedzierając się przez zadymkę, grzęznąąc w suchym, sypkim śniegu, zmarznięty i

zmęczony nocą spędzoną w wagonie. Stara, otoczona wysokimi lipami kapliczka poprawiała mu samopoczucie. Stąd do wsi było już tylko dwa kilometry.

Tę drogę mógł przejść z zamkniętymi oczyma, znał na pamięć każdy krzak, drzewo, zakręt, niemal każdą dziurę w nawierzchni szosy.

Przez pięć lat przemierzał ją prawie codziennie, najpierw z matką, potem sam lub z bratem, dźwigając ciężkie kosze z nabiałem, jarzynami i bańkami z mlekiem.

W domu nie przelewało się, nie, siedem głodnych brzuchów trzeba było napchać tym, co urodziły trzy morgi nie najlepszej ziemi. Matka miała szczęśliwą rękę do bydła i drobiu, darzyły się jej cielaki, kury, gęsi, aż sąsiadki w głowę zachodziły, co też ta Sla-pina swojej gadzinie zadaje, że takie mleczne, takie nieśne jak u żadnej.

Tym się też i ratowali, matka każde jajko, każdą grudkę masła wynosiła do miasteczka, a jeszcze sery, a jeszcze mleko...

Miała takie domy, gdzie stale od niej nabiał brali, bo wiedzieli, że czysta, że nie oszukuje i wody do mleka nie doleje ani śmietany mąką nie zagęści. Ojciec znał się trochę na ciesielce, u zduna też za młodych lat praktykował, chwycił się każdej roboty, żeby grosz jaki wycisnąć, bo z samej ziemi by nie wyżył, marna była, jałowa, a o nawozach wtedy mało kto słyszał...

Inżynier Słapa zaciska dłonie na rozgrzanej słońcem

12

barierze i zdaje mu się, że czuje ciepło kamyczkowego pieca, postawionego przez ojca w paradnej izbie. ...długo obywali się bez pieca, zimą dzień cały spędzali w kuchni, gdzie ogień buzował pod blachą, a na noc szli do komory, pod pierzyny. Zimno tam było jak na dworze, bo ojciec mawiał, że w chłodzie spanie najzdrowsze.

Ale matka miała swoją ambicję, jakże to, mąż zdun, a w chałupie pieca nie uświadczy? I tak długo ojcu głowę suszyła, aż postawił piec. Duży był, okrągły, z popielnikiem i zasuwany szybem.

Ojciec miesił glinę bosymi nogami, a Franek z młodszym bratem patrzyli ciekawie, jak mięknie, staje się podobna do ciemnego ciasta, jak z głośnym cmoknięciem pękają bąble powietrza, jakby ktoś tam siedział na dnie kadzi i mlaskał smakowicie.

Po kamienie jeździli z ojcem pożyczonym koniem nad rzekę i wybierali starannie te płaskie, większe, i te małe, okrągłe, podobne do ptasich jaj. Pomieszane z gliną kamienie stanowiły budulec, z którego miał powstać piec, pobielony potem przez matkę wapnem rozrobionym z farbką. Okropnie lubili opierać się plecami o ciepłą powierzchnię pieca, ale matka chwyciła wówczas, co miała pod ręką, ścierkę, zapaskę lub, co gorsza, brzożową miotłę i pędziła ich bez litości.

— Nie smaruj jeden z drugim pieca, bo jak ja ci wysmaruję!...

I miała rację, krucho wapno łatwo pękało, całe płyty spadały na podłogę i piec wyglądał jak trędowaty. Paliło się w nim drzewem. Tylko proboszcz i nauczyciel mieli piece kaflowe i sprowadzali węgiel z miasteczka.

Dwa razy do roku gospodynie w Mostowicach bieliły izby, piece i chałupy. Matka oczywiście też, bar-

13

dzo była czysta, porządna, dbała, żeby dom wyglądał przyzwoicie. Przed Bożym Narodzeniem i przed Wielkanocą ojciec szykował gruby pędzel z mietlicy, przynosił z miasteczka wapno i farbkę, rozrabiał w szafliku, ale bieliła sama matka. Nikomu tej roboty nie pozwalała tknąć.

Gdyby tak podskrobać ściany starej chałupy, można by policzyć, ile razy matczysko staowało na drabinie i machało pędzlem, zaschnięte warstwy wapna ułożone jedna na drugiej upodobniły się do słoików, z których człowiek świadomy potrafi obliczyć wiek drzewa. Ale Jasiek zburzył starą chałupę, a na jej miejscu postawił nowy, murowany dom.

Franciszek Slapa drgnął i obejrzał się, tuż za nim z piskiem opon zahamował samochód. Wysiadła zeń starsza pani, troskliwie podtrzymywana przez młodszą, bardzo podobną, widocznie córkę. Poszły wolno w kierunku przychodni.

On też oderwał ręce od barierki i ruszył w stronę mostu. Minał stare budynki kliniki i zatrzymał się na rogu ruchliwej ulicy. Spojrzał w prawo. Zasnute mgiełką widniały z daleka wieżowce na placu Grunwaldzkim, szeroką jezdnią sunęły tramwaje, autobusy, samochody. Ruch był stosunkowo niewielki, dopiero około trzeciej zaczęły się tędy przewalać fale pojazdów i przechodniów. Spojrzał na zegarek, było piętnaście po dziesiątej.

„Trzeba by pójść do apteki — pomyślał — wykupić lekarstwa, załatwić w przychodni rejonowej skierowanie na zastrzyki, zejść do dyrekcji i zostawić w kadrach zwolnienie. No i wracać do domu”.

Mimo to stał jeszcze dłuższą chwilę niezdecydowany, potem skręcił w lewo i zamiast wracać do śród-

14

mieścia, poszedł przez most w stronę położonej wśród gęstej zieleni Hali Ludowej.

Nie spieszyło mu się do apteki, do przychodni, do domu, do współczujących pytań kolegów, do przerażonych oczu Wikty.

Jutro... od jutra zacznie się leczyć, będzie brał zastrzyki, zażywał lekarstwa, ograniczy palenie, będzie dużo spał, wypoczywał, czytał...

Jutro narodzi się nowy Franciszek Slapa, niemłody mężczyzna z nadciśnieniem, chorym sercem i innymi dolegliwościami.

Dziś niech jeszcze wszystko będzie po staremu, jakby nic nie zaszło, jakby nie było wizyty w przychodni, pliku recept i analiz w teczce i piekącego niepokoju, że może to już... niedługo... Poczul się jak uczeń na wagarach, uradowany, że udało się zwać surowemu nauczycielowi z nudnej lekcji.

„Pójdę na spacer” — postanowił z nagłą uciechą.

Od lat nie był o tej porze wśród drzew, zieleni trawników i zapachu młodych liści, między godziną siódmą a trzecią wdychał zupełnie inne wonie, pomieszane odory wapna i cementu, spalin i kurzu.

Na przystanku obok Hali Ludowej kupił porcję lodów owiniętą w pergamin i zjadł ze smakiem, oblizując starannie drewnianą łyżeczkę. Ostatecznie po namyśle nie poszedł do parku, skręcił między kamienne obeliski ozdabiające wejście do Hali i znalazł się na pergoli, ledwo pokrytej młodymi listkami dzikiego wina.

Pustych ławek było mnóstwo, usiadł na pierwszej z brzegu, zapalił i poprzez błękitny dymek papierosa patrzył, jak słońce drga i skacze na zmarszczonej przez lekki wiaterek powierzchni stawu.

...W Mostowicach staw nie był duży, ale głęboki,

15

co roku topiło się tam kilkoro dzieci, które na szczęście zawsze ktoś w porę wyciągnął.

Tylko Tomek poszedł na dno jak kamień i choć Paweł skoczył natychmiast na pomoc, Tomka nie udało się odratować. Nauczyciel pocieszał matkę, mówiąc, że mały nie utonął, że prawdopodobnie chorował na serce i byłby upadł gdziekolwiek, gdyby przyszła jego godzina. Ale matka jak matka, zawodziła, aż przykro było słuchać: jej było wszystko jedno, dlaczego Tomek odszedł, czy od wody, czy od choroby.

Franek z Pawłem, Jasiek i Julka też popłakali za bratem, ale gdy wieczorem dwaj młodzi chłopcy wleźli do łóżka i stwierdzili, że zrobiło się nagle szerokie i bardzo wygodne, że nikt nie ciągnie w swoją stronę pierzyny i że w dwóch spać znacznie przyjemniej niż we trzech — Paweł zauważył:

— Pewnie Pan Bóg wiedział, co robi, że nam Tomka do siebie zabrał. Przecie on kopał przez sen gorzej niż Siwek od Małków.

Paweł pierwsze słowa powtórzył za chrzestną matką, która przysłała uzalić się nad rodzicami i pocieszyć ich:

— Nie płaczcie, Weronka, Pan Bóg wie, co robi, już twój Tomuś u niego na pokojach, a co wam lżej będzie z czworgiem niż z pięciorgiem, to lżej... A on by się i tak nie uchował, słaby był, dychawica go łapała, nie to, co Paweł... — spojrzała z dumą na chrześniaka i wysupławszy z chusteczki miedzianą pięciogro-szówkę, powiedziała: — ■ Naści, kup se słodką bułkę u Joska.

Paweł bułki nie kupił, tylko dwa kluby i nie chciał podzielić się nimi z Frankiem.

— Masz czas, smarku — ofuknął brata i kurzył sam, przykucnąwszy za stodołą w ziemniaczanym dole, z dala od rodzicielskich oczu.

16

Paweł miał trzynaście lat, a Franek dziewięć, więc może naprawdę miał czas i Paweł słusznie nie dał mu pociągnąć.

Z Pawłem Franek był najbardziej zżyty, bo Jasiak miał już prawie osiemnaście lat i pracował razem z ojcem na roli, a Julka, wiadomo — baba! Tej Jul-ce Franek szczerze zazdrościł osobnego legowiska, choć dziewczyna nieraz narzekała, że od spania na ślabanku strasznie ją kości bołą. Może to i prawda, ślabanek był twardy, bo przecież ani siennika, ani materaca na nim nie było. Podkładała sobie Julka stary kozuch ojca, na to płachtę i tyle. Ale zawsze osobne łóżko miała, choć w dzień, po zdjęciu pościeli, łóżko zamieniało się w szeroką ławę z podnoszonym siedzeniem, pod którym było schowanko na różne graty. , Że Jasiak miał w komorze własne wyrko, niech tam, nikt mu nie zazdrościł, był już całkiem dorosłym kawalerem, papierosy palił, wódkę pił i za dziewczuchami się oglądał. A co ważniejsze: cały dzień kark zginał przy pługu, bronie albo kosie jak prawdziwy gospodarz, bo ojciec, gdy najstarszy syn podrośł, więcej za ciesznioką albo i za stawianiem pieców się rozglądał.

Niedługo tej wygody mieli Franek z Pawłem po śmierci najmłodszego brata. Jakoś pół roku później matka urodziła nowe dziecko i choć w łóżku chłopcy dalej we dwóch się rozwalali jak hrabiowie, spania przy tym bachorze nie było żadnego! Zośka — bo druga . dziewczucha im przybyła — całe noce płakała, matka z łóżka bujała kolebką, bieguny stukwały i nie pomagało włożenie z głową pod pierzynę i zatykanie uszu palcami. Ojciec kłął, matka podśpiewywała, by wrzaskuna uciszyć, a Paweł z Frankiem wstawali rano tak samo senni, jak z wieczora. Szczęściem, że wiosna szła,, pocieplało i można było się wynieść ze spaniem do stodoły...

2 — w myślach, w sercu... / V r\*\ 1^

/o Kraków- ^\ l" Podgórze azi

Słońce wspięło się odrobinę wyżej, znalazło szparę między liśćmi winogrodu i strzeliło snopem iskier prosto w oczy siedzącemu na ławce mężczyźnie. Przymknął powieki, ale nie usunął się w cień, przyjemne były te ciepłe promyki, pieściły twarz.

Zaskrzypiał żwir pod czyimiś wolnymi krokami, potem ktoś zachrypiał przykrym, głuchym kaszlem. Inżynier Słapa podniósł głowę, dojrzał starszego człowieka, który nadchodził od strony parku i przystanął zezując w kierunku jego ławki. Miał najwyraźniej ochotę przysiąść się, pogawędzić, urozmaicić sobie przedpołudniowy spacer, ale inżynier nie był nastrojony towarzysko, zresztą nigdy nie lubił pogaduszek z przygodnymi znajomymi. Ostentacyjnie wyjął z kieszeni „Słowo", które przeczytał od deski do deski czekając swojej kolei w przychodni, i udał, że bardzo interesują go drobne ogłoszenia. Słyszac oddalające się kroki, odłożył gazetę i popatrzył za odchodzącym.

„Pewno emeryt — pomyślał — codziennie rano spacer dla zdrowia, potem gazetki, ziółka, ciepłe pantofle, wieczór przed telewizorem albo przy radiu i tak w kółko dzień po dniu.

Można oszaleć! Ile on może mieć lat? Chyba ze siedemdziesiąt albo i więcej... Idzie wolno, przystaje, kaszle, garbi się, no cóż, swoje odpracował, ma prawo odpocząć, spacerować, karmić wróble, gołębie i czekać..."

.....jest pan w wieku, kiedy trzeba zacząć uważać

na siebie, mniej pracować, więcej odpoczywać, nie denerwować się..."

Przypomniał sobie słowa lekarza i wzruszył ramionami.

Cóż to za wiek: czterdzieści pięć lat! Dawniej mówiono: mężczyzna w sile wieku. Ojciec nigdy nie chorował, pracował ciężko i dożył siedemdziesiątki. Może

18

by i dłużej pociągnął, gdyby wcześniej sprowadzono lekarza, gdyby trafił do szpitala. Przecie Jasiek opowiadał, że ojciec ze dwa tygodnie pokaszliwał, narzekał, że go w piersiach kłuje, leczył się sam naparem z suszonych malin i grzaną wódką, aż błyskawiczne zapalenie płuc wyprawiło go na tamten świat.

Matka... no tak, matka umarła znacznie wcześniej, pożyła niewiele nad pięćdziesiątkę, ale była zmordowana, sterana ciężką pracą, biedą, rodzeniem dzieci i grzebaniem ich.

Mówią, że matce każda droga za trumną dziecka skraca życie o parę lat, a ona ileż razy wędrowała na mostowicki cmentarz...

Mostowice nie były dużą wsią, miały wszystkiego około stu numerów, jak wówczas mówiono, czyli gospodarstw, ale kościoły były we wsi dwa. Jeden nowy, murowany, zbudowany jakoś tuż przed pierwszą wojną, blisko szosy i plebanii, drugi stary, zabytkowy, ponoć przez króla Kazimierza Wielkiego fundowany, stojący na górze j widoczny z daleka, obrośnięty stuletnimi lipami. „Górny kościół” i „dolny kościół” — mawiano w Mostowicach. Górny był otoczony cmentarzem i zawsze zamknięty, otwierano go tylko na św. Annę, kiedy we wsi był wielki, sławny na całą okolicę odpust, albo kiedy umarł jaki znaczniejszy gospodarz i rodzina wysadzała się na uroczysty pochówek ze śpiewaną mszą i egzekwiami przy katafalku.

Z całej rodziny Słapów tylko matka była chowana z paradą i wyprowadzeniem z górnego kościoła. Dziecinne trumienki ksiądz dobrze jeśli pokropił w kruch-cie, a kościelny tyle sobie liczył za dzwonięcie, że i dzwon milczał.

Ojcu musiała starczyć eksportu z domu: mrozy były wtedy siarczyste i śnieg wysoki, droga między po-

5\*

19

lami zawiana tak, że łopatomy trzeba było ją odwalać, by sanie z trumną przejechały, o tym, żeby stary proboszcz na cmentarz zaszedł, nie było i mowy, dobrze, że organista szedł w orszaku i swoje łacińskie śpiewy wyciągał. Grabarzowi Franek całe dwie setki do umówionej sumy dołożył, bo też chłop urobił się do siódmego potu, zanim twardą, zmarzniętą ziemię kilofem zruszył do tyła, by dół wykopać. Ogień też musiał palić, bo mróz tak zeskalil grunt, że najtęższy siłacz by mu nie poradził.

Chciał Franek odnaleźć mogiłki braci i siostr, pamiętał dobrze, gdzie pochowano Tomka, Julkę, co to ją przy pierwszym dziecku jakaś gorączka zabiła, i malutką Zosię, zmarłą na czerwonkę w drugim roku wojny. Nie znalazł. Śnieg zasypał cały cmentarz do równa, tylko krzyże sterczały z białej pierzyny, a Słapowym dzieciom nawet krzyżyki nie zostały.

Tomkowi i Zośce ojciec sam zmajstrował krzyże z brzoźowych pieńków i na deszczulce napis rozgrzanym gwoździem wypalił, ale po tylu latach drzewo przegniło, upadło, zaginał ślad po tych dwojgu. Jul-ce mąż zbierał się grób oprawić, nawet obiecywał, że krzyż zamówi u kamieniarza w miasteczku, ale jakoś tak i zeszło, drugą babę do roku wziął i o pierwszej zapomniał, bo i dzieciak po niej się nie uchował.

A Paweł... Paweł nawet grobu nie miał na rodzinnym cmentarzu. Nikt nie wiedział, gdzie go pochowano, w lesie podobno, tam gdzie padł od niemieckiej kuli. Ojciec jeździł po wojnie w lasy boreckie, rozpytywał ludzi, pokazywali mu to jedno miejsce, to drugie, nikt na pewno nie wiedział, gdzie Pawłowa mogiła. Nawet dowódca partyzanckiego oddziału, niejaki Zadra, którego ojciec odnalazł w Borku, nie orientował się, o kogo chodzi. Ojciec pytał o Pawła Słapę, ale w czasie wojny spisów imiennych przeważ-

20

nie, dla bezpieczeństwa w razie wpadki, nie robiono i każdy przezwisko sobie wybierał, a znów ojciec Pawiowego pseudonimu nie znał. Z opisu, z wyglądu jeden i drugi towarzysz partyzancki domyślił się, o kogo chodziło, ale pewności żaden nie miał, bo Paweł z domu poszedł jakoś wiosną, a w dwa miesiące potem zginął. Nie zapamiętali go dobrze, krótko był w oddziale, a w czerwcowej akcji na lasy boreckie padło tylu, że wiele nazwisk albo przezwisk zatarło się i wywietrzało. Więc matka w każde zaduszki paliła świece i kładła świerczynowy wianek na byle jakim zapomnianym, opuszczonym grobie, mówiąc, że jeśli Paweł duchem na ziemię wraca, to pewnie do Mostowic trafi niż do tego lasu, gdzie go z domu poniosło.

Inżynier poczuł nagle znajomy od paru miesięcy ucisk w tyle głowy, młoteczek pulsu zaczął stukać w skroniach ciężko, głucho.

...Paweł... Nie mógł wspomnieć tego ulubionego, ukochanego brata bez żalu, choć już tyle lat minęło, odkąd z mostowickiej chałupy uciekł po śmierć.

Nikt nie znał planów Pawła, nikt nie wiedział, że w kryjówce pod klepiskiem stodoły przechowuje owinięty w naoliwione szmaty pistolet, który ileś tam kilometrów od Mostowic znalazł przy poległym w trzydziestym dziewiątym roku polskim oficerze.

Nikt — prócz Franka. Tylko młodszemu bratu Paweł zwierzał się ze swoich zamiarów, tylko jemu pokazywał twarz skurczoną z żalu i gniewu, gdy do zabitych deskami Mostowic dochodziły wieści o pacyfikacjach, aresztowaniach, rozstrzeliwaniach.

Pierwszych Niemców Mostowice zobaczyły jakoś

21

wiosną czterdziestego roku. Przyjechało ich sześciu na dwóch ciężkich motorach z przyczepami, stanęli na wprost sołtysowej zagrody. Dwóch zlazło i kołyszac automatami zawieszonymi na piersiach, szło ku chałupie.

Kłus, zestrachany, wybiegł ku nim w samych gaciach i narzuconym na ramiona kozuchem. Gruchnęli twardym, szczekającym śmiechem, kazali mu się ubrać i iść z sobą.

Franek ukryty za wierzbą patrzył. Najpierw na motocykle, jakich nie widział nigdy przedtem (w całej wsi tylko syn nauczyciela miał lekki, zgrabny motorek), potem na ciężkie, przysadziste postacie w zielonkawych hełmach i gumowych płaszczach, znieruchomiałe, obojętne, straszne.

Ci dwaj, którzy szli ku sołtysowej chałupie, rozmawiali między sobą obcą mową, a do Kłusa mówili dziwną polszczyzną, w której co drugie, trzecie słowo brzmiało zrozumiale. Franek pojął piąte przez dziesiąte i kiedy nadbiegł zdyszany Paweł, mógł mu wyjaśnić, że Niemcy pytali o Żyda Silbera i kazali sołtysowi szykować dwie podwozy.

— Czego oni chcą od Joska? — spytał.

— Głupis! — burknął Paweł — wywiozą ich. Leć olszynką ku karczmie, powiedz Joskowi, żeby uciekali w las, może jeszcze zdążą.

— A ty?

— Ja tu coś wymyślę...

Śmignęły bosc, brudne pięty, Franek dał nura w olszynowy zagajnik. Biegł. Roztrącane gałęzie biły go po głowie, po ramionach, młode jeżynowe witki chwytały kolecami za płócienne portki, bosc stopy ślizgały się w rozciętym, wiosennym błocku. Biegł. Nie bardzo rozumiał, co znaczyły słowa Pawła „wywiozą ich”, nie pojmował, dlaczego powinien nakłaniać

2r

Joska do ucieczki w las, ale miał przed oczyma stężoną, pobladłą twarz brata i jego wzrok pełen trwogi i nienawiści.

Coś strasznego musiało grozić Joskowi i jego rodzinie.

Za olszynką wyskoczył ścieżką między polami na szosę, dysząc ciężko dopadł karczmę. Na podwórzu było pusto, w oknie mieszkania wietrzyły się poduszki i pierzyny w czerwonych,



brudnych wsypach, przed drzwiami sklepu spacerowały dwie kury. Chudy, wyleniały pies spał w budzie nie zwracając uwagi na gołębie, które dzwoniły dziobkami w blaszaną miskę z resztkami jego śniadania.

Franek szarpnął drzwi sklepu, zabrzączał mu nad głową uczepony do futryny dzwonek. Za ciemną, długą ladą siedział syn Joska, Hersz.

— Herszku — wychrypiał Franek — przyjechali Niemcy, pytali o was, kazali Kłusowi szykować pod-wody. Uciekajcie! Paweł powiedział, że was wywożą... Uciekajcie w las! Oni was zabiją! — dodał z własnej pilności i dla większego efektu.

Żyd podniósł ciemne, bystre oczy otoczone czerwonymi obwódkami i spojrzał na Franka. Potrząsnął głową w jarmulce, aż zakółsały się czarne, mocno skręcone pejsy.

— ■ A soff! Niech Franek odpuka! Nie potrzebno mówić takie słowo! Zabiją, wywożą... Niemcy też ludzie.

— Herszku, słuchajcie, podobno co dzień zwożą do miasteczka Żydów z wiosek, trzymają ich na placu za tartakiem, a potem ładują do wagonów i gdzieś wiozą...

Nagle Franek pojął sens słów Pawła, skojarzył je z wieściami przynoszonymi przez matkę. Hersz pokiwał głową i ujął w dwa palce kosmyk ciemnej, krótkiej brody.

24

— Nu, my to wiemy. Wywożą do getto, do Kraśnika. Kraśnik to Kraśnik, wszędzie można żyć.

Skrzypnęły drzwi, do sklepu wszedł stary Silber. Franek obejrzał go ze zdumieniem.

Dlaczego Jasek włożył najlepszy ałasowy chałat, dlaczego na głowie ma nową okrągłą czapkę, otoczoną puszystym, lisim futrem? Przecież dziś nie szabas, nie żadne święto, zwyczajna środa...

Stary Żyd zaszwargotał do syna, potem spojrzał przyjaźnie na Franka, pogładził siwą brodę.

— Ty dobry chłopak jesteś — powiedział — żebyś zdrow był i twoje dzieci, i twoje wnuki, żebyś żył do stu pięciu lat. Ty idź do domu i pamiętaj o stary Silber.

— Josku — wyszeptał zdrętwiałymi ze strachu wargami Franek — uciekajcie, uciekajcie do lasu. Oni już jadą! Słyszycie?

Silber otoczył dłonią ucho, kiwnął dłonią. Motory huczały coraz bliżej.

— Nu, jadą. Niech jadą. Stary Silber nie będzie uciekał. Dlaczego ja mam uciekać? — podniósł głos. — Czy ja złodziej jestem? Czy ja nie handlowałem uczciwie z chłopami? Auf majne munes! Niech ucieka ten, co ma złe sumienie, ten, co się boi. Nu, a ty nie płacz — powiedział do chłopca, któremu zaszklily się oczy — idź do domu. A tu... — sięgnął do szuflady i podał Frankowi długi białoróżowy cukierek — na, masz, żebyś pamiętał o stary Silber.

Franek zrobił kilka kroków ku drzwiom, przystanął, obejrzał się.

— Josku... — zaczął, ale stary tupnął nogą.

— Weg! — krzyknął.

Franek wybiegł i zobaczył podjeżdżające pod karczmę motocykle. Uskoczył za szopę, wzdłuż płotu dotarł do kopca

25

granicznego, na którym kwitł ogromny krzak tarniny, przykucnął, patrzył.

Zsiedli z motorów, zdjęli automaty, szli ku karczmie z bronią gotową do strzału, jakby w starym drewnianym domu spodziewali się zastać uzbrojony oddział. Skrzypnęły drzwi, stary Silber stanął na progu, ręce miał skrzyżowane na piersiach, wiatr rozwiewał jego siwą brodę, głowę uniósł wysoko i patrzył gdzieś w pole, ponad hełmy Niemców. Zaszwargotali coś, Żyd milcząc poruszył przecząco głową. Jeden z Niemców krzyknął, zrobił automatem ruch, nakazujący Silbe-rowi cofnąć się, odejść. Stary znów kiwnął przecząco. Rozplótł ręce, rozkrzyżował ramiona, wczepił dłonie w futryny drzwi, całą postawą zdawał się mówić:

— Nie wejdziecie tu, nie tkniecie tego domu.

Franek wsadził do ust pięść, wbił zęby w kciuk, ale nie spuścił oczu. Patrzył.

Niemiec podniósł automat, poszła seria i stary Silber zaczął powoli ześlizgiwać się po drzwiach, rozkrzyżowanymi dłońmi sunął po futrynach, jakby badając ich gładkość, wreszcie padł na twarz przed progiem.

Zajechały podwozy, wystraszony sołtys gadał coś do nie mniej wystraszonych woźniców, z karczmy zaczęto wnosić toboły, pierzyny, kosze. Czarna, chuda, długonoga Fania, najmłodsza córka Silbera, odpięła psa z łańcucha i przywiązała mu sznur do obroży.

Na jednej furmance usiadła jęcząc i zawodząc żona Hersza, Gitla, i jej czworo dzieci, na drugiej wśród pierzyn i tobołów sam Hersz z Fanią. Psa przywiązano do rozwozy.

Niemcy zapuścili silniki, jedni ruszyli przodem, drudzy z tyłu za podwodami.

Josek Silber został na podwórku, twarzą w błocie, na jego plecach odzianych w lśniący atlasowy chałat rudziały duże wilgotne plamy.

:26

m&

mr

Franek otworzył skurczone pięści i patrzył bezmyślnie na białoróżowy cukierek, który upadł między kamienie. Czuł ściskanie w piersiach, twardy ucisk w gardle, kwaśny smak w ustach. Zdawało mu się, że za chwilę zwymiotuje między czarne, kolczaste gałęzie tarniny. Podniósł oczy i zobaczył biały, puszysty obłok na tle niebieskiego nieba, obłok z wielu małych, gorzko pachnących kwiatków.

Zaczął je rwać, łamać, nie bacząc na kolce, które wbijały się w dłoń. Zdyszany, zmęczony ustał wreszcie. Spojrzał na opustoszałe podwórze, na stary, zardzewiały szyld, na którym mało czytelne litery głosiły: „Handel towarów mieszanych”, upadł twarzą do ziemi usłanej strzępkami gałązek i tarninowych kwiatków. Rozpłakał się.

Paweł wrócił do domu dopiero przed wieczorem. Nie odpowiadał na nieśmiałe pytania brata, na utyskiwania matki, nie odezwał się nawet wówczas, gdy ojciec dał mu po karku za zaniedbanie domowych obowiązków. Dopiero nocą, w stodole...

— Nic nie mogłem poradzić, nic, nic! — powtarzał przez zaciśnięte zęby.

— Gdzieś był cały dzień? — spytał Franek. Paweł zrobił niewyraźny ruch ręką.

— A tak... nosiło mnie tu i tam, nie mogłem sobie miejsca znaleźć.

Umilkł i po chwili wybuchnął:

— Muszę coś zrobić, muszę! Nie mogę dłużej siedzieć z założonymi rękami i tylko patrzeć i płakać.

Franek nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko spytał:

■— Widziałeś Joska?

— Widziałem. Już go zakopali w sadzie, pod gruszą. Szkoda go, porządny był człowiek. I urodził się przecie tu, w Mostowicach.

28

— A tamci? Hersz, Fania, Gitla?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Paweł. — Ludzie gadają, że Niemcy będą wszystkich Żydów strzelać, inni znów mówią, że zwiozą ich w jedno miejsce, żeby razem na kupie mieszkali.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył Paweł. — A dlatego, że nikt Niemcom nie może niczego zabronić. Że robią, co chcą, rządzą się jak u siebie, a my musimy cierpieć i słuchać. Nie zabrali to całej Polski, nie męczą ludzi, nie zamykają? Jasiak od Górala wrócił podwodą z miasteczka, to opowiadał, że aresztowali proboszcza i kierownika szkoły, i trzech robotników z tartaku. Podobno przechowywali broń i słuchali zagranicznego radia, a za to jest kara śmierci, wiesz? Były afisze na starostwie.

Franek przełknął ślinę. Nic nie rozumiał. Proboszcz z Fary był stary i niedołężny, kiedy odprawiał sumę, ministranci musieli go podnosić z kłęczek, bo sam nie miał siły wstać. Taki by broń przechowywał? Kierownik szkoły to co innego. Franek widział go parę razy, chłop był młody, zdrowy, na zawodach strzeleckich zawsze brał pierwsze miejsce. Ten do wojowania jakby stworzony.

— Paweł — szepnął — to jeszcze będzie wojna?

— A ty co, dumny, myślisz, ma to ostać tak na zawsze? Chciałbyś do śmierci mieć Niemca za kołnierzem? Nie bój się, już tam nasi coś wymyślą, już oni coś zrobią... — umilkł i po chwili dodał marząco — żeby się z takimi zwąchać, żeby do takich trafić...

— Ty byś chciał Niemców bić? — Franek aż się zachłysnął z podziwu.

— Chciałbym. Chcę — poprawił Paweł — tylko muszę nitkę złapać, co do tego kłębka prowadzi. Silny jestem, broń mam, przydam się.

29

Paweł miał wtedy szesnaście lat. Czy Franek mógł przypuszczać, że brat już osiemnastu nie ukończy?...

Inżynier Slapa przetarł dłonią czoło, przesunął się nieco w prawo, bo oczy go rozbolały od jaskrawego słońca.

Dlaczego Michał jest podobny do Pawła, nie do ojca, nie do matki, a właśnie do nieznanego, od lat nieżyjącego stryja? Michał ma takie same szare oczy, brwi cienkie, proste, jakby dziewczęce, i ciemne falujące włosy, które w świetle rudzieją niby świeże kasztany.

Rówieśnicy nazywali Pawła: „Kaśtan, kaś ta wloź”. Dobrze utrafili i w kolor włosów, i w charakter, Paweł właśnie taki był, głodny wszystkiego, nawet wścibski, paliła go, pożerała niespokojna ciekawość świata, ludzi, zdarzeń, musiał wszędzie być, wszystko zobaczyć, wiedzieć, zrozumieć.

Nie, podobieństwo Michała do Pawła dotyczyło wyłącznie oczu, brwi, włosów. Michał nie był ciekaw niczego, wszystko przyjmował spokojnie, nawet lekceważąco. Zdawał się każdym gestem mówić: „Nic nie jest w stanie mnie zdziwić ani poruszyć”. Tlił się, żarzył, podczas kiedy Paweł wybuchał jak płomień.

Inżynier Slapa poruszył się niespokojnie i wbrew postanowieniom zapalił kolejnego papierosa.

Kochał swoją rodzinę, z miłością i przywiązaniem myślał o żonie, z czułością o najmłodszej Hani, z dumą i nadzieją o Małgosi. Tylko Michał budził w nim niepokój, sprzeciw, gniew.

— Co z nim jest? Niedługo kończy siedemnaście lat, a taki jeszcze dziecinny, nieodpowiedzialny, bezmyślny, a przy tym pewny siebie, agresywny, cyniczny... Czy ja w jego wieku też byłem taki? Czy Michał wyrośnie z tej głupiej, szczeniackiej skóry? Kiedy wreszcie zmadrzeje?

Wzruszył ramionami, miał ochotę popukać się

xo

w czoło. Czego się czepia chłopaka? Przecież to jeszcze dziecko, czy od siedemnastolatka można wymagać dojrzałości, dorosłości? Co prawda on w siedemnastym roku... ech, co za porównanie, było przecież tuż po wojnie. Wojna... w tym strasznym czasie młodzi przedwcześnie dojrzewali. Teraz dzieci są dziećmi i to jest dobre, to jest normalne.

Przypomniał sobie nagle spłoszony, błagalny wzrok syna i poczuł ukłucie niepokoju. Czy rzeczywiście Michałowi chodziło tylko o pieniądze? Dlaczego uciekł tak nagle, bez słowa? Ale dwadzieścia złotych wziął i nawet nie powiedział „dziękuję”. Niewychowany smarkacz! „Muszę się nim zająć — postanawia inżynier wstając z ławki — dotąd nie miałem czasu, a chłopakowi potrzebna jest męska ręka. Wikta go rozpuściła, jedynaka! Tylko mu w głowie piłka i koledzy, wiecznie gdzieś lata, do domu wraca jak do hotelu. Człowiek się zapracowuje, ręce urabia po łokcie, żeby ten dom był, a dzieci uciekają z niego”.

Małgosia woli uczyć się u koleżanki, Hania wciąż biega to na pływalnię, to na harcerską zbiórkę, to chociażby na podwórze. A dom pusty i tylko Wikta w nim przesiaduje czekając na męża, na córki, na syna... O córki mniejsza, uczą się dobrze, nie sprawiają większych kłopotów, czasem tylko wybuchnie awantura z Małgosią o malowane na niebiesko powieki albo o lakier na paznokciach. Ale Michał... Michał!

Inżynier wstaje z ławki i idzie przed siebie, potem machinalnie skręca w lewo, mija japoński ogród i wchodzi na wygięty łukowato mostek, przerzucony nad przejrzystą strugą. Oparty o żelazną poręcz patrzy w wodę.

„Jaki on był śmieszny i uroczy z tym kasztanowatym, zawsze rozwichrzonym czubem, z tą smagłą bu-

SI

zią małego Włocha czy Hiszpana! Wykapany Paweł!"

Inżynier uśmiecha się leciutko na wspomnienie gorących dyskusji, a nawet więcej: sporów, jeszcze na długo przed urodzeniem Michała. Wikta za nic nie chciała się zgodzić, by dziecku dać imię po tragicznie zmarłym wuju. Twierdziła, że to mu przyniesie nieszczęście. Nie była przesadna, wyśmiewała cudzą wiarę w zabobony, ale gdy chodziło o jej dziecko, uważała, że nigdy dość ostrożności. I Paweł został Michałem.

Paweł czy Michał to był jego ukochany, pierworodny syn, nadzieja i duma.

„Wikta zarzuca mi, że dla Michała jestem pobłażliwszy, bardziej wyrozumiały, że córki traktuję chłodniej, surowiej, że okazuję im mniej uczucia... Może... nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Kiedy urodziła się Małgosia, a potem Hania, cieszyłem się, nawet bardzo się cieszyłem, ale nie czułem takiego uniesienia, tego szczęścia, jakiego doznałem, widząc po raz pierwszy mojego syna! To było coś, czego nie da się opisać, radość, czułość, pewność, że w tym kruchym ciałku jestem ja sam, lepszy, piękniejszy, mądrzejszy. Ja i... chyba Paweł. A potem... Michał był żywy, psotny, nieposłuszny. Wiktę to martwiło, a ja cieszyłem się, bo chłopak nie może być niuńką, Pawła też roznosiło, nie było drzewa, na które by nie wlaź, płotu, na którym by nie podarł spodni, bójki, do której by się nie przyłączył. Matka miała z nim niemało kłopotu, dziki był, nieposłuszny, raptus, ale serce w nim jakie! Szczere złoto! Michał wyrośnie ze swoich wad, trzeba tylko zająć się nim, poświęcić mu więcej czasu, zrozumieć, co się dzieje w tej głupiej głowie!"

Inżynier opuszcza mostek, wchodzi między wysokie, rozłożyste kasztany, idzie szeroką aleją. Nagle przystaje.

32

„Dlaczego on chciał, żebyśmy razem wyszli?" — zastanawia się i znów doznaje uczucia niepokoju.

Inżynier Slapa nie jest skłonny do rozmyślań, do wspomnień, do zastanawiania się nad tym, co mija i nie wraca. Teraźniejszość przynosi mu zbyt wiele zajęć, kłopotów, problemów, nie staje czasu ani ochoty na cofanie się myślą wstecz.

Ale dziś jest inaczej. Pewno dlatego, że dzień dzisiejszy różni się tak bardzo od poprzednich, minionych, że jest granicą, punktem zwrotnym w życiu.

„...trzeba zmienić pracę na spokojniejszą, uganianie po budowach to już nie dla pana..."

Ten doktor chyba oszalał, sam nie wie, co mówi! Zmienić pracę? Odejść z budowy? I co, może usiąść za biurkiem i przekładać papierki? Pić herbatę, przyjmować interesantów, urzędować?! Nigdy w życiu! Oczywiście, praca na budowie jest ciężka, męcząca, odpowiedzialna, trzeba dobrze się nabiegać, naużerać, nakręcić głowę, żeby wszystko szło jak należy. Materiału nie dowiozą w porę — do inżyniera. Awaria dźwigu — inżyniera wzywają. Brygadziści coś popłaczą — inżynierze, pomagaj. Transport nawali — inżynier! Koparka stanie — inżynier.

Błoto, deszcz, zimno, skaczesz, człowieku, po wykopach, gumiaki grzęzną w rozpapranej glinie, krzyczysz, wiatr ci słowa wpycha na powrót do gardła, hełm uciska skronie, ręce

grabieją. Albo latem: upał, żar bucha od maszyn, od cementowych bloków, śmierdzą spaliny i rozgrzane żelazo, pot zalewa ci oczy, w gardle schnie, jesteś biały od kurzu, oczy pieką, a robota goni, a plan nie czeka.

I z ludźmi co się trzeba nauzerać, nakłócić. Różni są: lepsi, gorsi, ale stale ich mało. Stara śpiewka: budownictwo choruje na brak fachowców, więc choć rę-

3 — W myślach, w sercu

33

ce świerzbią, choć na końcu języka masz ostre słowo, połykasz je, uśmiechasz się kwaśno i mówisz: „panie Kwiatkowski, czy tam panie Nowak, weźcie się za to czy za tamto”, bo wiesz, że bez ludzi robota stanie, plan polecą, premię diabli wezmą, a ciebie ochrzanią, powiedzą, żeś zły kierownik budowy, że z robotnikami żyć nie umiesz!

Pilnujesz porządku, u ciebie na budowach nie ma większych nadużyć, ale drobny osprzęt, ale klamki, zaworki do kaloryferów, ale kafle jednak giną.

A już najbardziej się wściekasz, gdy natrafisz na porzucone w trawie puste ćwiartki i półlitrowki. Wtedy już się nie patyczkujesz, piszesz raport do dyrekcji, do rady zakładowej, wywalasz pijaka na pysk. Bo tu już nie chodzi o nieróbstwo czy nieuczciwość, tu gra idzie o życie, pijak na budowie zagraża sobie i innym.

Diabli cię biorą, bo przecież wiesz, że w gruncie rzeczy są to porządni, pracowici i uczciwi ludzie, że we własnej kamienicy, na swojej ulicy, nie ruszyliby nawet kawałka sznurka, że we własnym domu żyją zapobiegliwie, rzadnie, oszczędnie i nie możesz pojąć, co się z nimi dzieje po przekroczeniu progu budowy, gdzie się podziewają tamte cechy i czemu ci ludzie bumelują, fuszerują, marnotrawią czas, materiał i pieniądze?

Wracasz po pracy skonany, z huczącą jak młyn głową, połykasz obiad, zdrzemniesz się pół godziny i dalej siadasz do roboty, do tych sprawozdań, papierków, wykazów, zestawień. Żeby z piekła nie wyszedł ten, co to wymyślił! Wściekasz się, buntujesz, przeklinasz, ale rankiem znów pędzisz na budowę i robi ci się na duszy ciepło i jasno, gdy z daleka widzisz rosnące sylwetki domów, które ty budujesz. I to jest właśnie twoje życie, to jest twoja praca, to jest to, czego nie porzucisz, choćby tuzin doktorów powtarzało swoje.

34

Inżynier chodzi po parku szybkim, nerwowym krokiem i prowadzi dyskusję z lekarzem, który ośmielił się zaproponować mu zmianę pracy. A właściwie nie dyskusję, bo drugiego dyskutanta brak, lecz monolog:

„...Odejść z budowy? To już lepiej od razu na rentę, na emeryturę, na odpoczynek wieczny! Nie ma dla mnie życia bez tej harówki, wspinaczki po piętrach, wykopach, stalowych konstrukcjach. Z tego wyrosłem, od tego zacząłem. Czy pan wie, że od początku, od samego początku trzymam się jednego fachu? Od czterdziestego piątego roku buduję Wrocław, najpierw rękami, potem tylko głową. Dworzec, Dom Towarowy, KDM, Rynek, Świdnicka, osiedle Huby, osiedle Celina... Z tych cegieł, co je na własnych plecach przeniosłem i własnymi rękami wydarłem z rumowisk, można by całą dzielnicę postawić. Zmienić pracę, powiada pan? To najpierw trzeba by zmienić człowieka, bo ja już nic innego robić ani potrafię, ani chcę”.

Franciszek Słapa przyjechał do Wrocławia w sierpniu czterdziestego piątego. Znajomy go namówił. Handlował podczas wojny, rąbanekę w jego wiosce kupował, handlował i po wojnie. Zaszedł do chałupy, tak sobie, po znajomości, bo interesu nie miał, i powiada, żeby z nim na Zachód jechać, na te jakieś Ziemie Odzyskane.

— Człowieku — mówił — ■ tam domy, gospodarstwa całe stoją opuszczone, niczyje, tylko brać i wybierać. Dywany, kryształ, obrazy, rowery, maszyny do szycia darmo bierzesz albo za psi grosz czy żywność od Szwabów kupujesz. Chłop z ciebie wyrośnięty, długo będziesz ojcu na karku wisiał? Teraz inne czasy, teraz trzeba korzystać, póki nowa bida nie przyciśnie!

35

Matka zaczęła chlipać, te Ziemie Odzyskane wydały się jej strasznie daleko, gdzieś na końcu świata, a ona, biedula, nawet w Lublinie w życiu swoim nie była, najdalsza droga do Kraśnika jej wypadła, całej parady ze czterdzieści kilometrów.

Ojciec spochmurniał, wąsy szarpał, coś o złodziejstwie zaczął bąkać. Opiątek sczerwieniał, pięścią w stół huknął.

— Jakie złodziejstwo? — krzyczy. — Swoje odbieramy! Mało Niemce w Polsce nakradli, mało dobra wywieźli? A wam krowy nie zabrali? A te wieprzki, coście je musieli na kontyngent odstawić, to co? Psi pazur?

Ten argument trafił ojcu do przekonania, nie mógł przeboleć Kwiatuli, którą mu w czterdziestym czwartym zabrali. Taka krowa!

— NO to jedź — zawyrokował po namyśle. —

A patrz, żebyś przywiózł, co do gospodarstwa przydatne żadnych tam dywanów ani obrazów nam nie po-  
trza.

I pojechał. Wziął w plecak woreczek mąki, ze trzy kilo słoniny, w kobiałkę dwa mendle jajek, bo ponoć za żywność można było wszystko dostać. Jeszcze mu Jasiak wepchnął w kieszeń paczkę samosiejki (tytoniu wszędzie brakowało) i szepnął, żeby ojca nie słuchał i rozejrzał się za jakim motorem, a jakby nie wyszło, to ma choć rower z tego Zachodu przywieźć.

Jechał do Wrocławia dni chyba ze cztery, najpierw furmanką, potem koleją, a na ostatku ciężarówką. Już od Opola chciał co chwila wysiadać, bo wzdłuż drogi domy stały całkiem opuszczone, gospodarki porzucone, czasem przez otwarte drzwi można było dojrzeć meble, garnki na kuchniach, pościel na łóżkach.

— Tyle dobra, tyle bogactwa marnieje, a my za-

36

miast brać, co Pan Bóg daje, aż do jakiegoś Wrocławia się pchamy — dziwił się.

— Durny! — mówił Opiątek. — Tu już wszystko na glanc wyczyszczone, to, co zostało, nie zda się i na podpałkę. Słuchaj się mnie, ja już zdążyłem z osiem razy obrócić, to swoje wiem. Straszna była ta droga. Wsie puste, miasteczka zrujnowane, spalone, na polach gnijące zboże, nie było komu zebrać i zwieźć pod dach. Ludzi mało, przeważnie stare baby i dziady, czasem dzieci. Młodego chłopca ze świecą by nie znalazł. Ci starzy przemykali się jakoś chyłkiem, pod ścianami, ciągnęli albo pchali, przed sobą wózki z drzewem, z gratami. Istne dziadostwo! — To Niemcy — objaśnił bywały i wszystko wiedzący Opiątek — boją się nas jak zarazy. Aż śmiech zbiera, kiedy człowiek wspomni niedawny czas, jakie to były waźniaki, jak to się wynosili nad „polnische Schweine”. A teraz? W pas się kłaniają, przed byle polskim szczeniakiem na kilometr czapkują, zdechli całkiem ze strachu.

— Kary się boją, panie — wtrącił jakiś czerwony na gębie, gruby rajzer — dobrze wiedzą, co ich synowie wyrabiali, teraz, panie, kartka się odwróciła, to portkami, panie, trzęsą — gruchnął śmiechem.

— Ojcowie mają odpowiadać za synów? — odezwała się z powątpiewaniem paniusia w turbanie uczynionym z przemyślnie spiętej chustki — zawsze to niesprawiedliwość...

— A będą odpowiadać, będą — wtrącił twardo mężczyzna w wojskowym szynelu bez dystynkcji — jakie dzieci wychowali, takie mają.

— To prawda — przyznała paniusia — ale zawsze... jakoś żal. Starzy są, sami, bezbronni...

— Masz się, pani, nad kim litować! — huknął Opi-

37

łek. — Co im za krzywda? Nożami ich rżniemy, pod ścianą stawiamy i pif — paf? Póki co — żyją sobie spokojnie, a przyjdzie czas, do Vaterlandu wrócą. Nie tak oni u nas robili, już

pani zapomniała, że wojowali w Polsce nie tylko z żołnierzami? Ani kobita, ani dzieciak, ani zwierzak, nawet i drzewo w lesie spokoju nie zaznało!

Franciszek słuchał tych rozmów, patrzył wokoło, aż mu oczy z głowy mało nie wylazły, wszystko było nowe, ciekawe, inne. Cóż on do tej pory widział?

Mostowice, parę okolicznych wsi i Kraśnik, wielka parada!

Do Wrocławia przyjechali już o zmroku. Opiałek poganiał, niebezpiecznie o tej porze, mówił, po mieście łązić. Prawie biegł na znajomą kwaterę i jego do pośpiechu przynagłał.

Miał rację, uszli może ze sto kroków, gdy gdzieś w ciemności gruchnął strzał, potem drugi.

Ktoś wołał: „Stać! Stać!” i na zmianę „Halt! Halt!”. Brzęknęła rozbita szyba, coś potoczyło się z ogłuszającym hałasem, usłyszał przekleństwa i jęczący głos „Hilfe! Hilfe!”

Ze strachu nogi mu odjęło, toż człowiek gorzej niż w ciemnym lesie, miasto nieznane, ludzie nieznani, nie wiadomo, z której strony może nieszczęście nadejść.

Dobrze, że kwatera była blisko, dopadli bramy, wdrapali się na piętro, drzwi otwarto, byli w domu. Przespał się na sienniku, a z rana poszli „w miasto”.

Dopiero po białym dniu zobaczył, gdzie to przyjechał. Trupiarnia nie miasto. Ulice zasypane gruzem, idziesz, człowieku, ścieżką wydeptaną wysoko na hałdzie cegieł i kamieni. Domów wcale nie widać, a jak się jaki trafi, to wypalony od piwnic aż po strych.

Widział Franek dom przełupany bombą przez pół, otwarty na oścież ludzkim oczom, widział kuchnię

38

wiszącą nad przepaścią i trzymającą się jakimś cudem szafy bez drzwi z powiewającymi resztkami sukien i ubrań, widział żyrandol wiszący u sufitu, którego już prawie nie było.

Widział pełno powywracanych ciężarówek, autobusów, tramwajów, spalonych, pogiętych, pordzewiałych. Na jakimś placyku zobaczył rozbity czołg, a obok kilka nieforemnych kopczyków, pewno groby zabitych czy poległych.

Po dłuższej chwili weszli na ulicę mniej zniszczoną od innych, zobaczył ludzi, parę konnych wozów, kilka samochodów. Mężczyzna w cywilnym ubraniu, ale z biało-czerwona opaską na rękawie prowadził przed sobą zarośniętego draba w brudnym, rozpiętym feld-grau mundurze i narciarskiej czapce, pokrzykując i poszturchując go lufą karabinu.

— To milicja ochotnicza — wyjaśnił Opiałek — raz po raz wyłapuje po strychach i piwnicach ukrywających się Niemców. Nie gap się — szturchnął Franka pod zebro — nam też zdrowiej w oczy im nie leżać. Kończą się złote czasy — westchnął — na ręce zaczynają patrzeć. „To zabronione wywozić, tego nie wolno”. Ech! — splunął pod nogi — a jeszcze w zeszłym miesiącu tośmy ze szwagrem dwie tokarki i jedną szlifierkę przytargali z Legnicy i opchnęli w Katowicach.

Franciszek otworzył szeroko usta, nic nie rozumiał. Jakże, przecież Opiałek powiadał, że na Zachodzie wszystko można brać darmo, że majątki tu leżą na ulicy całkiem niczyje i że wystarczy się schylić...

Ale nie było czasu na rozmowy, Opiałek wepchnął go w bramę jakiejś wypalanej kamienicy, z której tylko parter ostał się w jakim takim stanie, a cztery piętra zionęły pustką osmalonych drzwi i okien, potknął się w' ciemnej sieni, zaklął, namacał klamkę i weszli do zadymionego, śmierdzącego wódką i piwem

39

pomieszczenia. Pełno tu było ludzi, mężczyzn i kobiet, a każdy pilnował swojej walizki, tobołu czy plecaka. Wszyscy jedli i pili przy okrytych papierem stołach, rozmawiali, targowali się i kłócili.

Opiałek jakby zapomniał o swoim towarzyszu, dosiadł się do kilku pijących mężczyzn i zaczął z nimi szeptać.

Długo to trwało. Znudziło chłopaka, przy tym nogi bolały go, kobiałka i plecak ciążyły, a usiąść nie było na czym, chyba na brudnej, zaplutej podłodze. W końcu przepchnął się do Opiątka i szarpnął go za rękaw.

— Wyjdę na powietrze — powiedział — pan tu zostaje?

— A idź, idź — burknął — tylko patrz, żebyś trafił z powrotem, bo zginiesz i do Mostowic nie zdążysz. A plecak zostaw! — krzyknął — ja ci tu wszystko załatwię w porządku, nie bój nic!

Franek z ulgą odpiął sznurki plecaka, postawił na podłodze kobiałkę z jajami.

„Porządny chłop z tego Opiątka — pomyślał — sam bym wiele nie zhandlował, ani wiem, do kogo się udać, ani gadać umiem...”

■ Poszedł prosto przed siebie, rozglądając się pilnie, żeby drogę zapamiętać, i po chwili znalazł się w pobliżu ogromnego budynku, z którego został tylko szkielet. Bomby czy pociski zerwały dach, ale ściany trzymały się jako tako i coś jakby wieże-nie-wieże...

„Rany Boskie, toż to kościół! A wielki, że mostowic-kie cztery by się w nim zmieściły!”

Zdjął czapkę, przeżegnał się, ruina bo ruina, ale zawsze to poświęcane miejsce.

Jakiś człowiek grzebał ospale w stercie kamieni. Chłopak zagadnął go nieśmiało:

— Co to za kościół, panie?

Wytrzeszczył oczy, pokręcił przecząco głową, widać

40

nie pojął pytania. Franek pokazał palcem ruinę. Teraz Niemiec zrozumiał.

— Domkirche — odparł.

Tym razem na odmianę chłopak nic nie rozumiał. Wzruszył ramionami i bąknął:

— Niech cię diabli, cholerny Szwabie.

Musiał mieć nieprzyjemną minę, bo człowiek skurczył się i zdjął czapkę, patrząc z obawą.

— Verstehe nichts, ne rozumi — wystękał i dodał z błyskiem w oczach — Hitler nicht gut, Hitler kaput...

„Tak, teraz ci wszystko »kaput«, wszystko »nicht gut«, ciekawym, coś gadał dwa lata temu?”

Miał ochotę wygarnąć, powiedzieć, że mu brata zabili. Pawła. Ale ten by i tak nie zrozumiał.

Patrzył przy tym tak dziwnie, że nagle chłopca ciarki przeszły. Dookoła było pusto, a przez tyle lat człowiek żył w ciągłym strachu przed Niemcami. Odszedł szybko i po chwili obejrzał się ostrożnie, ale Niemiec już dalej przerzucał swoje kamienie.

Franciszek minął drugi kościół, już nie tak zniszczony, potem trzeci, prawie w gruzach, przeszedł jakiś most i wydostał się na rozległy plac. Teraz dopiero poczuł, że trafił na właściwe miejsce. „Głupi Opiątek w tej śmierdzącej budzie został!” — pomyślał.

Ludzi tu było sporo i handel szedł na całego. Budki, stragany lub po prostu brezentowe płachty, rozciągnięte wprost na bruku, zastępowały sklepy. Ze zdumienia po prostu osłupiał, bo takiego handlu jeszcze nie widział.

Wszystko tu było przemieszane jak groch z kapustą, na jednym kramie leżały zgodnie obok siebie jedwabne sukienki i podarte łachmany, płaszcze i futra, garnki nowiutkie, wprost z fabryki, i osmalone patelnie, żelazka, parasolki, aparaty radiowe, pościel obok cebuli, bochenków chleba, jajek i kartofli.

41

Aż mu się w głowie zaczęło mącić od tej rozmaitości, od tego pomieszania. Stał i gapił się na piękny ścienny zegar tak długo, aż usłyszał czyjś głos.

— A kawalir co tu uważa?

Sam nie wiedział czemu, wskazał na zegar, choć przecież nie po zegar tu przyjechał.

— A ma kawalir pieniądze? — spytała podejrzliwie handlarka.

■— Mam tytoń — przypomniał sobie Jańskową paczkę wetkniętą w kieszeń kurtki — będzie z pół kilo.



Prędko ubili interes, handlarka wzięła tytoń, on stał się właścicielem ściennego zegara w pięknej szafce z jasnego drzewa.

Co prawda wydał mu się dziwnie lekki, ale wtedy przecież nie znał się na zegarach. Straciwszy zainteresowanie dla rozłożonych wokół różności (nie miał ani grosza, a towar zostawił Opiał-kowi), zaczął przepychać się przez tłum i wyszedł poza obręb placu. Idąc za ludźmi, dotarł wkrótce do wylotu jakiejś uliczki i stanął jak wryty. To, co zobaczył, nie pasowało do opowieści Opiałka, do tego, co sam widział dotychczas na własne oczy. Jeszcze przed godziną myślał, że ten Wrocław to cmentarz, kupa gruzów, że ani za sto lat nie odbudują tych pogruchotanych kamienic, kościołów, mostów. Ludzie wywiozą stąd, co się da wywieźć, i uciekną, kamienie porosną trawą, wiatr nasieje drzewek, wyrosną w gęsty las i nie będzie miasta.

„Byłem głupi wtedy jak cielę” — pomyślał inżynier Slapa.

Zobaczył rozległy plac otoczony wypalonymi kamieniczkami o wysokich, spadzistych dachach (potem dopiero dowiedział się, że to Rynek), na placu z dziesięć ciężarówek i gromadę ludzi z łopatami. Jedni ładowali gruz na ciężarówkę, inni wybierali ze stert całe,

42  
nie uszkodzone cegły i młotkami odbijali starą zaprawę, jeszcze inni układali te cegły w równe przymy.

— Ludzie, co wy robicie? — spytał. Gruchnęli śmiechem, a jeden krzyknął:

— Nie widzisz? Szukamy skarbów. Hitler tu swój kuferek zakopał.

Rozgniewały go te kpinkowania.

— Czego durnego ze mnie robisz? — krzyknął.

— Ta ty durnowaty od urodzenia, zaraz widać! — odkrzyknął tamten. — Na głupie pytanie głupia odpowiedź.

Krew się we Franku wzburzyła. Zawsze był prędki i skory do bitki. Postawił zegar na ziemi i podszedł do wesołka.

— Chcesz w zęby? — spytał.

— Oj! Oj! — zaśmiał się tamten. — Mamo, ratuj, ja się boję!

Mógł sobie drwić, ich była cała gromada, a Franek sam jak palec.

— ■ Czekaj ty... — bluznął grubym, wiejskim słowem i zamilkł, bo nagle poczuł czyjąś ciężką rękę na ramieniu.

— Zjeżdżaj stąd, gówniarzu, i nie przeszkadzaj ludziom w pracy — powiedział niegłośno, ale stanowczo starszy człowiek w wojskowej połówce.

Franciszek przycichł. W domu wdrożono mu szacunek dla starszych.

— Ja nie przeszkadzam — bąknął ze skruczą — ja tylko chciałem się dowiedzieć... a ten grandziarz... — wskazał na głównego antagonistę, ale nie skończył. Chłopak przyskoczył, chwycił go za kłapy marynarki i potrząsnął mocno.

— Sam jesteś grandziarz! — wrzasnął. — Gdzieś ten zegar wyszabrował? Rany boskie, panie Olczak, kiedy będzie koniec z tymi rajzerami, z tym szabrem?! My

43

tu ratujemy, co się da, a tacy jak ten kończą, co Niemcy zaczęli. Jak ich nie weźmiemy za pysk, to gołe kamienie tu zostaną!

Nie wiedział, co znaczą słowa „szaber”, „szabrował”, pierwszy raz je słyszał, ale instynkt podszeptał mu mało pochlebne wyjaśnienie. Oderwał ręce chłopaka od kłap, złapał go pod łokcie i odrzucił precz na stertę gruzu.

— Nie ukradłem — powiedział z godnością — kupiłem. A właściwie wymieniłem za pół kilo tytoniu.

Chłopak podniósł się z ziemi, strzepnął ze spodni czerwony, ceglany pył i spojrzał na Franka z szacunkiem.

— O cholender, ale ty silny jesteś jak byk! — powiedział z podziwem w głosie — lepiej byś się za łopatę wziął i uczciwą pracę zamiast zegarami handlować! — wpadł znów w zaczepno-kpiący ton.

Franek nie odpowiedział, schylił się po zegar. — Poczekaj no — odezwał się starszy człowiek. — Nie bądź taki niedotykański. Skąd jesteś?

— Z Mostowic — burknął.

— A te Mostowice to gdzie? — pytał dalej.

— Daleko. W Lubelskiem.

— I wracasz do domu?

— Wracam. Co tu będę robił? W Mostowicach mamy gospodarkę, krowę, kury...

— Dwie kozy i kota na sznurku — zakończył ten, którego popchnął.

•— Zamknij się, Derkacz! — machnął ręką stary. — A duża ta gospodarza? — spytał.

— Ii, trzy morgi całej parady — odparł Franek. — A w domu jest nas pięcioro, brat starszy, siostra i rodzice.

— Majątek, można powiedzieć, niewielki — zauważył stary — dziedzicem na tych morgach nie zosta-

44

jjiesz, choćby wam co i przydzielili. Do szkoły chodzicie?

Kiwnął głową. Co tam rozpowiadać, że tylko cztery klasy skończył.

— Nie chciałbyś się uczyć dalej? Tu niedługo szkoły ruszą, mógłbyś fach zdobyć, pracować... Ile masz lat?

— Prawie siedemnaście.

— No, zdecyduj się. Jak chcesz, wezmę cię do swojej brygady, nauczysz się murarki, roboty nie braknie, -całe miasto będziemy od nowa budować.

— Widzisz — jakiś chłopak w wypełzłych drelichach podsunął mu pod oczy grubą książkę w zniszczonej okładce — taki był Wrocław przed wojną.

— Patrz — zwrócił się Olczak do Franka, wskazując jakieś zdjęcie w albumie — tu masz Ratusz, ten sam, co — o, tam — stoi, postrzelany, wypalony, zrujnowany. Daję ci murarskie słowo, że za parę lat będzie jak nowy! Znaleźliśmy ten album w jakiejś piwnicy i teraz chłopaki wszędzie się z nim noszą — wyjaśnił — usiłują rozpoznać ulice, kościoły, domy, ale to niełatwa sprawa. Przecież niektórych ulic, ba, całych dzielnic w ogóle nie ma.

Skręcił sobie grubego papierosa z samosiejki i dodał z melancholią:

— Najgorsze, że wciąż ludzi mało. Przyjeżdżają, po-będą parę tygodni i uciekają, wracają tam, gdzie życie łatwiejsze. Na szczęście nie wszyscy. A wiesz ty, że mają być otwarte uniwersytet i politechnika? Że jesienią zaczną się wykłady? Ech, żeby to tak miał ze trzydzieści lat mniej! — dokończył z żalem w głosie.

— Ja się pierwszy zapiszę, panie majster! Słowo daję, na politechnikę pójde! — krzyknął Derkacz.

— Najpierw skończ gimnazjum, bo przed wojną ledwoś z powszechniaka wylazł.

45

—■ A skończę! — rzucił hardo chłopak. — Pewno że skończę. Ty byś też mógł iść do szkoły — zwrócił się do Franka — zegary lubisz, zegarmistrzem zostań.

— Dajcie chłopakowi spokój — wtrącił się jakiś; niemłody gość w kolejarskiej czapce — a może byś wolał gospodarstwo wziąć? — spytał. — Tu pełno-opuszczonych zagród i ziemia dobra. Mój brat czternaście hektarów dostał pod Ząbkowicami.

Czternaście hektarów! Ojciec by nigdy nie uwierzył! Franek zaczął się wahać, może by zostać, może tu właśnie szczęśliwy los na niego czeka? Jakże to jednak zostać samemu wśród obcych? A matka,, a ojciec, a Mostowice? Straszny żal szarpnął go za serce.

„Gdyby tu był ze mną Paweł, wiedziałbym, co zrobić. Paweł zawsze wiedział, co i jak trzeba. Ale Pawła nie ma i już nigdy nie będzie”.

— Nie mogę — powiedział — muszę wracać do Mostowic.

— No to z Panem Bogiem. A jakbyś się rozmyślił, to pytaj w Komitecie o Antoniego Olczaka.

Podniósł Franek zegar z ziemi i przy tym ruchu niedokładnie zamknięta klapka, umieszczona z tyłu, otworzyła się.

— Czekaj no — powiedział Olczak — pokaż ten zegar.

Obejrzał wewnątrz, pokazał chłopakom. Ryknęli gromkim śmiechem, aż przechodzący ludzie zaczęli oglądać się i przystawać. Dobrze się Frankowi zdawało, że zegar był za lekki! Handlara sprzedała mu samą szafkę zegarową bez werku! Pół kilo tytoniu diabli wzięli!

Grzmotnął zegarem o bruk z całej siły, posypało się szkło i drzazgi. 46

— Szeffie, jeśli on taki do roboty jak do handlu, to niech lepiej do swoich Mostowic wraca — zakpił Felek — nic tu po nim.

Skoczył jak oparzony.

— Jeszcze bym cię na pewno w pracy prześcignął! — wrzasnął. — Ja cię nauczę!

Wyrwał mu z ręki łopatę i zaczął ładować gruz na ciężarówkę. Tak się zapamiętał, że ręce same mu chodziły, nie czuł zmęczenia, wiedział tylko, że musi temu ważniakowi pokazać, co potrafi mostowicki chłopak. Na zegarach się nie zna — to prawda, ale na robocie — ho! ho!

— No, dosyć będzie — przerwał tę furję Olczak — widzę, że robotny z ciebie chłopak i pracy się nie boisz.

Franek oddał łopatę i całkiem niespodziewanie dla siebie powiedział:

— Ja zaraz... wrócę tu, tylko muszę przez jednego takiego posłać wiadomość do domu. Pan zaczeka,, prawda? Ja zaraz... ja wrócę...

Plątał mu się język, powtarzał w kółko te same słowa.

— Nie bój nic — wtrącił wesoły Felek — my tu do nocy będziem zasuwać. Fruwaj, gdzie masz fruwać,, i wracaj.

Franek spojrział na niego najpierw ze zdziwieniem,, po chwili prawie... prawie z sympatią. A jeszcze przed paroma minutami nienawidził go.

Opiątek postukał się wymownym ruchem w czoło,, gdy Franek oświadczył mu, że nie wraca do domu, że zostaje we Wrocławiu.

Chłopak nie słuchał argumentów starego, ledwo rzucił okiem na zakupy dokonane za swój towar przez Opiątka. A były niemałe. Za parę kilogramów mąki,

47

słoniny i trzydzieści jajek miał zawieźć do Mostowic buty z cholewami, wojskowy półkożuszek, kilka sztuk ciepłej bielizny, maszynę do robienia kiełbas, duży nóż rzeźnicki, młynek do kawy, kilka garnków i obrus w kolorowe kwiaty.

— Weźcie sobie z tego co niebądź — poprosił — a resztę zawieźcie moim, inaczej ojciec nie daruje mi, że mąkę i słoninę zmarnowałem.

— Twoje szczęście, szczeniaku, że kobitę mam w Przygórzu — powiedział Opiątek ładując jego dobro do wora. — Żenić się niedługo będę, to i do Mostowic zajdę. To jedna parafia. Ale jak ja twojemu staremu wytłumaczę, co ja mu powiem? Żeś ze szczętem zgłupiał i szczęścia szukasz w tych ruinach?

— Ja sam wytłumaczę, ja napiszę, panie Opiątek, niech pan tylko te rzeczy odda, a ja już resztę sam...

Na kawałku papieru nagryzmolił list do rodziców. Napisał, że może tu dostać pracę, że pójdzie do szkoły, że Wrocław to wspaniałe miasto, wprawdzie bardzo zniszczone, ale będzie odbudowane.

Wrócił na Rynek, dostał łopatę i kilof, a zaraz potem łyżkę i menażkę, bo jak raz kuchnia połowa zajęła z obiadem.

I tak przystał do brygady budowlanej Antoniego Olczaka, majstra murarskiego, który na Zachód z miasteczka Brody przyjechał.

„No i taka to historia... Pan doktor policzy: sierpień czterdziesty piąty rok, a teraz mamy maj tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci. Dwadzieścia osiem lat bez czterech miesięcy.

Kawał czasu, kawał życia. Pan powiada — odejść, zmienić pracę. A czy to w ogóle jest możliwe?”

Inżynier Slapa ocknął się z zamyślenia, słysząc głośny chichot. Podniósł głowę i zobaczył dwie młodzianki dziewczyny przyglądające mu się ze zdumie-

48

niem i rozbawieniem. W tym momencie uświadomił sobie, że stoi na środku alejki, gestykuluje i mruży coś pod nosem, że pograżony w wyimaginowanej rozmowie zapomniał, gdzie jest i co robi.

Poczerwieniał, uśmiechnął się z zażenowaniem i skręcił w pierwszą z brzegu ścieżkę. Jeszcze przez chwilę gonił go śmiech dziewcząt.

„Wzięły mnie za wariata” — pomyślał.

Przypadkowo wybrana ścieżka wyprowadziła go z parku, po chwili stanął na ruchliwym skrzyżowaniu i ogarnął wzrokiem wysadzoną topolami aleję Młodej Gwardii, zakończoną szesnastopiętrowymi wysokościami na placu Grunwaldzkim.

...W czterdziestym piątym było tu gołe pole — wspominał — Niemcy wyburzyli domy wokół placu, mieszkańców wysiedlili i urządzili lotnisko połowe. Z oblężonego Wrocławia wystartował tylko jeden samolot, uwożąc Gauleitera Hankego, człowieka odpowiedzialnego za przerażające zniszczenie miasta.

Jakiż potworny fanatyzm kazał ludziom z dowództwa „Festung Breslau” zamienić rodzinne miasto w kupę dymiących zgliszczy? Czyja ślepotą polityczną i militarną zmusiła nieszczęsnych wrocławian do przebycia oblężenia trwającego blisko pięć miesięcy? Przecież wojna była przegrana, nic nie mogło uratować „tysiącletniej Rzeszy”, która istniała dwanaście lat. Wrocław był wyspą ognia otoczoną spokojnymi już falami nowego życia. Leżące na zachód miasta: Legnica, Zielona Góra, Bolesławiec, Trzebnica, Złotoryja zostały wyzwolone już w lutym. W Legnicy urzędowały polskie władze, tylko nad Wrocławiem wciąż rozrywały się pociski, bomby miażdżyły zabytkowe kamieniczki, płonęły dzieła sztuki i zwykły, ludzki dobytek. Wrocław poddał się dopiero w cztery dni po kapitulacji Berlina i w sześć dni po samobój-

■\* — W myślach, w sercu...

49

czej śmierci „Führera”. A w trzy doby później do miasta wkroczyły polskie władze...

Inżynier Slapa zatrzymuje się na rogu i patrzy w szeroką ulicę Curie-Skłodowskiej. Ileż razy szedł tędy z Felkiem, z Wojtkiem, z czarnym Józkiem, ile wieczorów zmarnowali, ile pieniędzy przepuścili... „...gdzieś tu niedaleko była knajpa »Pod Guralem«, tak, właśnie przez „u” otwarte. Niektórzy śmieli się z tego błędu, inni nie widzieli w tym nic niezwykłego. Grunt, że lokal był czynny do późna i że zawsze można tu było zjeść, a co ważniejsze, wypić”.

A pierwszy do zabawy, do wypitki i do wesołych awantur okazał się Felek. Slapa nie lubił go z początku. Felek docinał mu, kpinkował, miał się za coś lepszego, bo był z miasta i przed wojną szkołę powszechną ukończył. Gdyby nie wojna, może by i do gimnazjum poszedł... Jego ojciec miał warsztat, mały, ale porządny, był ślusarzem. A Olczak jakby naumyślnie

przydzielił mu kwaterę razem z Felkiem, wspólny pokój. Franciszek najpierw zły był z tego powodu, potem jednak przekonał się, że u Felka język obrzydliwy, ale serce złote. I że można na nim polegać, że dla kolegi wszystko zrobi, ostatnią koszulę odda. Kiedy Frankowi kamienny blok przygniótł stopę i nie mógł o własnych siłach kroku zrobić, Felek ślęczał przy nim jak niańka, zmieniał kompresy, przynosił obiady, nawet gdzieś laskę wykombinował, by Franek mógł kuszykać po pokoju.

Fajny chłop!

„...To Czarny Józek zaciągnął nas pierwszy raz »Pod Gurala« i wtedy okazało się, że Felek do zabawy jedyny. Pomysły miał wariackie, potrafił wszystkim w knajpie stawiać i w jeden wieczór cały zarobek przepuścić, kiedyś uparł się, że przejdzie po przęsłach cały most Grunwaldzki, ledwośmy go przytrzymali. Prawda, wszyscy zielono mieliśmy w głowie, głupoty nas się

trzymały i pewno nic dobrego by nie wynikło z tych rozróbek, z tego pijaństwa, gdyby nie Olczak. To był majster! Ze świecą takich szukać! Uczył nas nie tylko murarki, pokazał nam, jak żyć po ludzku. Pilnował, byśmy umieli porządnie stawiać lico, cokół i koronę, nienawidził partactwa, fuszerki nie tylko w pracy, gnębił nas za wałęsanie się bez celu, za wieczory w knajpie, za głupie, bezmyślne rozróbki”.

— Uczcie się! — krzyczał. — Korzystajcie z okazji. Pierwszy raz odkąd Polska Polską każdy może iść do szkoły, stary, młody, bogaty i biedny! A wy »Pod Gu-rala« na bimber łazicie!

Gdyby nie on, pewno nic by nie wyszło z planów Felka, Wojtka i Franka.

Przypilnował, żeby zapisali się do szkół wieczorowych dla pracujących, chodził do nauczycieli, starał się o zeszyty, książki, ołówki, raz po raz zaglądał do nich na kwaterę i sprawdzał, czy nie wałęsają się po mieście, denerwował się i wyczekiwał przed szkołą, gdy zdawali egzaminy.

— Że też mu się chce... — dziwił się Slapa, aż raz Felek Derkacz go ofuknął.

— Durny — powiedział. — Olczak stracił całą rodzinę, został sam jak palec, teraz mu się zdaje, że ma paru synów...

Miał rację Felek, na pogrzebie Olczaka płakali jak po ojcu.

„Felek był mądrzejszy ode mnie i chyba dlatego tak przyłgnałem do niego. Za młodu górował nade mną Paweł, a gdy jego brakło, widać instynktownie szukałem oparcia w kimś rozsądniejszym i silniejszym od siebie. Ale długo nie mogłem zrzucić mostowickiej skóry, byłem nieufny, podejrzliwy, wszędzie wietrzyłem podstęp, nie mogłem jakoś uwierzyć w ludzką bezinteresowność. Dobrze pamiętałem słowa ojca: »Chłop

51

ma dwie ręce do roboty i jeden grzbiet do bicia«. Nawet Olczakowi z początku nie wierzyłem, myślałem: »Co on w tym ma, że tak nas do nauki pędzi?«

To Felek nauczył mnie zaufania do ludzi, wyśmiewał moją ostrożność wobec obcych, rezerwę, niedowierzanie.

— Cholender! — mówił — na świecie jest więcej porządnych, niż ci się zdaje, tylko ty ich nie widzisz.

Bo ja nie mogłem zapomnieć handlarki, która mi sprzedała zegar bez werku, i pierwszego w życiu własnego wiecznego pióra skradzionego przez przygodnego znajomego, i pracownika z rachuby, który zarobił na moim źle obliczonym akordzie, a nawet magazyniera, który wydał mi żelowane buty zamiast nowych i powiedział z pogardą: »tobie i takie starczą«.

— Dobijaj się o swoje! — krzyczał Felek — żądaj sprawiedliwości, ale nie przykładaj jednej miary do każdego.

To wreszcie Felek pomógł mi rozwikłać sprawę z rotmistrzem Lancą, wyśmiał mnie, wykpił i sprawił, że na pewne rzeczy zacząłem patrzeć inaczej, spokojniej”.

Skąd Lanca znalazł się we Wrocławiu, i to na stanowisku dyrektora gimnazjum, do dziś inżynier Slapa nie wie. Był przecież zawodowym oficerem, przed wojną służył w pułku ułanów.

Felek tak długo męczył Slapę, aż w końcu poszedł z nim do szkoły zgłosić się na egzamin i od razu w sekretariacie wpadł na Lancę. Nie poznał go w pierwszej chwili, widział go przecie tylko dwa razy i wtedy Lanca wyglądał zupełnie inaczej, ale ten widocznie coś zapamiętał.

Zatrzymał go i spytał ostro:

— Nazwisko? Skąd jesteś?

Powiedział mu.

52

— ■ Pod Aleksandrowem byłeś?

— Wozilem z wujkiem prowiant do obozu. Kiwnął głową, jakby wszystko było oczywiste.

— Pyskujesz dalej? Bo my nie potrzebujemy tu takich, co nie potrafią uszanować ani szarży, ani wieku. Ujawniłeś się?

Zaprzeczył. Nie należał do żadnej organizacji, nie składał przysięgi, nie był żołnierzem.

— Nie możemy cię przyjąć — uciął krótko Lanca, obecnie dyrektor Faliński — musimy być w porządku wobec władz. Przyjdź, jak będziesz miał papierek z komisji.

Felek popatrzył na niego podejrzliwie, gdy Franek czerwony jak burak runął w drzwi.

Spytał, co to za historia, a gdy mu Franek opowiedział wszystko, roześmiał się.

— Bzdura! — powiedział. — Dlaczego miałbyś się ujawniać? Nie byłeś przecie w oddziale, nie składałeś przysięgi. Co powiesz komisji? Że wozilem partyzantom chleb do obozu i zabierałeś brudne gacie do prania? To przecie przypadek, że się tam znalazłeś.

...Oczywiście, że to był przypadek. Wiosną 44 roku brat ojca przysłał sąsiada z wiadomością, że złamał rękę i potrzebuje pomocnika. No i tato kazał mu jechać do Górecka. Myślał, że będzie pomagać przy gospodarstwie, na roli, w domu, ale zaraz jak tylko przyjechał, wuj wziął go na bok.

— Jutro z samego rana chleb powieszysz. Umiesz powozić? — spytał. Umieć umiał, choć nie za bardzo, bo własnego konia nie mieli.

— Ja z tobą siadę, drogę trzeba znać, bo przez bagna pojedziemy. I pamiętaj, język połknij, nikomu ani słówka!

53

Spojrzał groźnie, poruszył wąsami, Franek domyślił się, dokąd pojedą. Z rana wynieśli chleb z komory, chyba ze trzydzieści bochenków, załadowali wóz, na wierzch wuj kazał położyć worki z sieczką i z pośladem dla niepoznaki. Ostrożność zbyteczna, bo Górecko to mała wioska zagubiona w lasach, Niemców tu nie widywano, bali się zapuszczać w te pustacie, gdzie

partyzanci siedzieli. — Powieziemy chleb dla szpitala — powiedział wuj, gramoląc się z trudem na wóz.

Nie wypytywał go Franek o nic, wiedział, że gadać nie lubi, że jescz\*ze większy z niego milczek niż ich tato. „Sam zobaczę, co to za szpital w lesie” — pomyślał.

Przejechali brodem rzeczki Szum, potem polami, zagajnikami dostali się na mokradła. Tu trzeba było bardzo uważać i choć konie drogę znały, wuj raz po raz wskazywał Frankowi biczyskiem kępy jałowca, paprocie, kamienie i ukryte w trawie paliki, znaczące suchy, bezpieczny szlak.

Jechali z półtorej godziny i przez ten czas wuj tylko raz się odezwał.

— O Pawle nic nie wiadomo? — spytał.

Franek zaprzeczył. Jeszcze wtedy nie wiedzieli, że Paweł zginął.

Na skraju lasu coś błysnęło. Po chwili zorientował się, że to lufa karabinu. Podjechali, wujek coś powiedział do dwóch chłopaków w wojskowych rogatywkach, którzy wyszli z ukrycia.

Sprawdzili, co wiozą, przełknęli ślinę, przepuścili ich. Dalej droga była już twarda, ubita, Franek pognął konie. Jeszcze dwa razy zatrzymywała ich warta, pytając o hasło i sprawdzając ładunek.

— Dobrze, żeście przywieźli chleb, Slapa — ucieszyła się kobieta, która wyszła ku nim z baraku

54

w, mundurze z opaską czerwonego krzyża na rękawie. — już resztkami gonimy. A zastrzyki macie?

— Mam zastrzyki, wate, bandaże, przedwczoraj byłem w Biłgoraju u pana doktora.

— Cudownie! — ucieszyła się. — Chłopcy, pomóżcie rozładować wóz.

Zagapił się Franek na dziewczynę, na barak stojący na polanie, zamaskowany chytrze rozłożystymi drzewami, na kuchnię pod daszkiem ze świerkowych gałęzi, na drewnianą budę ukrytą w gąszczu leszczynowych krzaków, gdzie znikwały przywiezione przez nich bochny, woreczki i pudełka, potem przysunął się ku ławce, na którą jeden z wartowników odłożył swój automat, by mu nie przeszkadzał w rozładowywaniu wozu. Takiego jeszcze nie widział, dotknął z nabożeństwem lśniącej, oksydowanej lufy.

— Nie rusz — burknął wartownik, podchodząc — to strzela.

— Wiem — obraził się Franek. Nie był przecież dzieckiem. — Zdobyczny?

Żołnierz kiwnął głową.

— Schmeisser. W zeszłym tygodniu robiliśmy skok na tartak w Krasnobrodzie.

Z budy wyszła kobieta z opaską, zamknęła starannie drzwi, zawiesiła potężną kłode.

— Kto to? — spytał cicho Franek.

— Wilga, sanitariuszka. Teraz jest komendantką szpitala.

— Baba?!

— Głupiś, ona lepsza niż niejeden chłop. Ona i Warka, i Mała...

— Są tu jeszcze inne dziewczyny?

— Pewno że są. Trzy sanitariuszki na stałe, a kucharka i dwie dziewczuchy do pomocy dochodzą z leśniczówki.

55

— Kuchnię macie... — przełknął ślinę, zdążył zgłodnieć od rana — słońce już wysoko, zdałoby się obiad

ugotować.

— O tej porze? — spojrział lekceważąco — u nas gotuje się w nocy albo przed świtem, żeby dymu nikt nie dojrzał.

— Czemu? •

— Z rana, a czasem i w południe Niemcy oblatują lasy na Storchach, zniżają się na kilkadziesiąt metrów, z tej wysokości obserwator dojrzy każdy ruch, każde pasemko dymu, nawet błysk metalu w słońcu.

— Nie strzelacie do nich?

— Z czego? Z automatów? Z erkaemu by doniosło, ale komendant zabronił, nie wolno narażać rannych, mamy ich czternastu.

— A ten komendant to gdzie? Chłopak spojrział podejrzliwie.

— Ciekawy jesteś, za dużo chciałbyś wiedzieć. A ty sam kto taki?

— Slapa Franciszek, przyjechałem z wujkiem.

— Twój wujek to byczy chłop — uśmiechnął się wartownik zapominając o podejrzeniach — gdyby nie on, ogryzalibyśmy korę z drzewek jak zające. Oo, idzie...

Wuj wychodził z baraku, Wilga ścisnęła mu lewą zdrową dłoń, mówiąc:

— Wstąpcie do obozu, komendant ma pocztę do wysłania i trzy worki cukru dla was.

— Jeszcze z tego rozbitego transportu?— spytał wuj. — Tak. Wymienicie na mąkę, coraz więcej chleba potrzebujemy, oddział się powiększa.

Wuj kiwnął na bratanka, już wsiadali, gdy usłyszeli podniesione głosy, jakieś zamieszanie wytworzyło się przy wjeździe na polanę, gdzie stał wartownik.

— Bury — Wilga skinęła na chłopca, z którym rozmawiał Franek — zobacz, co tam się dzieje.

56

Po chwili wiedzieli już wszystko. Na polanę wjechało dwóch mężczyzn na pięknych koniach. Jeden był w mundurze, drugi w wojskowych bryczesach, oficerskich butach i cywilnej marynarce. Podjechali pod barak, zsiadli z koni. Ten w mundurze, czerwony i posa-pujący ze złości, powiedział podniesionym głosem:

— Ładne u was porządki, siostró! Przyjeżdżamy na inspekcję szpitala, warta nas nie puszcza, nie oddaje honorów...

Wilga zeszczywniała, spojrzała surowo.

— Nic nam nie wiadomo o żadnej inspekcji — powiedziała oschle — jeśli panowie nie podali hasła, wartownik był w porządku.

— Widzisz go, hrabia się znalazł! — odezwał się półgłosem Franek, który znalazł się tuż za mężczyzną w mundurze.

— Stul pysk! — krzyknął oficer.

— Tylko nie pysk, tylko nie pysk! Co to ja? Zwierzę?! Nie człowiek?! — zaperzył się chłopak.

Oficer zamierzył się, jakby chciał Franka uderzyć w twarz.

— Rotmistrzu Lanca! — powiedział niegłośnie, lecz dobitnie mężczyzna w bryczesach i cywilnej marynarce — proszę się natychmiast uspokoić.

— Tak jest, panie majorze! — stuknął obcasami rotmistrz.

— Proszę wybaczyć, siostró — major rzucił wodze Buremu i podszedł bliżej — ale co do naszej kontroli, to chyba pani się orientuje, że uprzedzanie o niej miałyby się z celem. Proszę nam pokazać szpital i resztę obiektów. Oświadczam, że od wyników inspekcji będą zależeć decyzje o dotacjach.

— Pieniądze są nam bardzo potrzebne — powiedziała cicho Wilga — nie mamy narzędzi chirurgicznych, doktor Maron za każdym razem przywozi własny ze-

57

staw, co jest bardzo niebezpieczne, nie mamy lekarstw, opatrunki zdobywamy prawie cudem...

Zniknęli w drzwiach baraku.

Drugi raz zetknął się Slapa z rotmistrzem Lancą w jakieś dwa tygodnie później. Przywieźli chleb dla obozu i zabierali bieliznę chłopaków do prania. Właśnie Franek ładował do worka brudne koszule, gdy przybiegł młody chłopak i kazał mu iść do komendanta. Ruszył w stronę ziemianki.

— Nie tam — pouczył go chłopak — Ryś czeka przy drodze.

Zobaczył go wreszcie z bliska, serce mu zabiło, Ryś był sławny w całym okręgu. Spojrzał na Franka i zrobiło mu się dziwnie nieprzyjemnie, jakby miał nieczyste sumienie. Ryś miał bardzo jasne oczy i ostre, kłujące spojrzenie. Stał oparty o rower.

— Trafisz do szpitala? — spytał krótko.

— Trafię.

— Siadaj na rower i jedź. Powiedz Wildze, że za godzinę, może za półtorej będzie miała nową inspekcję. Niech się przygotowują, niech uporządkują szpital, kuchnię, magazynek, niech stają na głowie, byleby Lanca był zadowolony, inaczej nie da ani grosza. Ja go tu zatrzymam, akurat dostaliśmy świeży bimber.



Po godzinie rotmistrz Lanca wjechał na polanę. Po drodze wartownicy prezentowali broń jak na paradzie, Wilga w białym fartuchu wybiegła przed barak, udając zaskoczenie i niedowierzanie.

— Pan rotmistrz znów nas odwiedza? Co za niespodzianka!

W szpitalu koce były wyrównane na kant, na stolikach stały kwiatki w szklankach, okna zasłaniały firaneczki z gazy. Nigdzie ani pyłka, ani skrawka waty czy bandaża. Chorzy umyści, ogoleni wodzili za rotmistrzem niechętnym spojrzeniem.

58

— Pajac! — mruknął sierżant Świerk z flegmoną w kolanie. — Kwiatki, firaneczki, bez tego też można żyć!

— I zdechnąć — dodał ponuro strzelec Gawron, który niedawno dostał postrzał w płuco. Lanca był zadowolony. Chwiejąc się lekko na nogach (bimber u Rysia musiał być mocny) obszedł cały obiekt, zajrzał nawet do kuchni, gdzie garnki i wiadra stały w szeregu niczym wojsko na przeglądzie, w końcu powiedział łaskawie:

— Widzi siostra, że jak się chce, można w najcięższych warunkach utrzymać ład i estetykę. Na przykład u mnie w koszarach... — dostrzegł Franka, urwał, zmarszczył brwi.

— A ten co tu robi? — spytał.

— Przywiózł pocztę... — odparła prędko Wilga. — Dostałam list z domu i jestem bardzo zmartwiona... — zaczęła na poczekaniu snuć jakieś misterne łągarstwo.

Bury dał chłopakowi znak brwiami, od razu zrozumiał, skoczył na rower, wrócił do obozu. Ryś uśmiechnął się ironicznie, gdy Franek zameldował, że rozkaz wykonano i że rotmistrz Lanca był bardzo zadowolony.

Inżynier zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. Nie opowiadał tej historii nikomu, nawet Wikta jej nie znała, nie mówiąc o dzieciach. Nie zrozumieliby ani słowa, dla nich wojna, okupacja była nie ustającą strzelaniną, konspiracją, bohaterstwem i wzniosłością.

„Akurat! — pomyślał inżynier, uśmiechając się niewesoło — nasz kraj to był garnek, w którym kotłowało się wszystko, bohaterstwo i tchórzostwo, wzniosłość i małość, tragedia i śmieszność. Pewno dlatego mogliśmy to wytrzymać. Taki Lanca... niby idiota,

59

służbista z regulaminem zamiast mózgu, a równocześnie dzielny żołnierz. Mówiono, że podczas akcji na Puszcę Solską razem z Rysiem przebili pierścień wojsk niemieckich i wyszli z okrążenia z najmniejszymi stratami. Major Wojna wtedy, choć ranny, dowodził, leżąc na noszach, gdy Niemcy następowali, wydał chłopcom rozkaz wycofania się za rzekę, został sam, dopuścił Niemców do siebie, a potem pociągnął zawleczkę granatu.

A zaraz po wojnie Lanca uruchomił pierwsze gimnazjum we Wrocławiu, sam odnawiał klasy, nosił na własnych plecach ławki, tablice, krzesła, dowiedziałem się o tym od Felka. Bo dla niego to był dyrektor Faliński, równy gość, zasłużony pionier.

A do szkoły i tak poszedłem, tyle że później, gdy poznałem Wikte...”

Inżynier Słapa wszedł do tramwaju i pojechał do śródmieścia, by zająć do dyrekcji i oddać zwolnienie. Jednak zawrócił prawie spod bramy. Nagle ogarnęło go zniechęcenie. Na myśl, że trzeba będzie chodzić od działu do działu, załatwiać formalności, poczuł niechęć i znużenie.

„Przecież zwolnienie może zanieść Wikta — pomyślał — a zresztą nic się nie stanie, jeśli to zrobię jutro.”

Wlókł się ruchliwą ulicą Świerczewskiego, nie słysząc huku pędzących aut, dzwonienia tramwajów i szumu ludzkiej rzeki płynącej obok. Oprzytomniał, gdy dotarł do jego uszu pisk opon gwałtownie hamującego samochodu i zirytowany głos:

— Jak chodzisz, baranie!?

— Obywatelu — surowo powiedział wyrosły spod ziemi milicjant — tak nie można, lezie pan z przepro-

szeniem, jak ślepy, jeszcze chwila i stałoby się nieszczęście.

— Co? — spytał z roztargnieniem inżynier i nagle uświadomił sobie, że zszedł z chodnika przy czerwonym świetle, że od maski samochodu dzieli go centymetry, kierowca ma złe oczy, a milicjant sięga po bloczek mandatowy. — Przepraszam — powiedział zmieszany — zamyśliłem się.

— Na ulicy nie należy myśleć — pouczył go surowo milicjant — na ulicy trzeba zachowywać przepisy. Płaci pan pięćdziesiąt złotych.

Inżynier szybko uiszczył mandat i odszedł, uciekając od ironicznych lub współczujących spojrzeń gapiów i od namaszczonej przemowy służbistego milicjanta, który rozpoczął wykład o zachowaniu się pieszych na jezdni.

Szybko minął KDM, nie lubił tej części miasta, choć była to przecież pierwsza nowa dzielnica Wrocławia, budowana od podstaw, według planów i kosztorysów.

„Zupełny kryminał — pomyślał z niechęcią, patrząc na ciężkie, kamienne fasady i małe okna, na głębokie arkady, pogrążające w chłodnym cieniu wystawy i sklepy — to miała być ochrona przed słońcem, tak jakby Polska leżała w Bułgarii...”

Łaskawszym okiem spojrzął na Dom Towarowy, pracował przy odbudowie wypalonego wnętrza. To były dobre czasy, mimo wszystko...

Przeszedł jeszcze kilkaset metrów i odruchowo zatrzymał się przy narożniku starego domu, stanął przed witryną, na której kwitły wszystkimi kolorami jakieś damskie łąszki.

„Akurat tu musieli otworzyć sklep, jakby nie było innych równie dużych i ładnych pomieszczeń! — pomyślał z gniewem — dawniej Wikta lubiła tutaj przychodzić...”

\*

...Wikta zatrzymała się we Wrocławiu przejazdem, jechała do Karpacza na obóz akademicki i wybrała nocny pociąg, by mieć w zapasie cały dzień i spędzić go z Frankiem. Lipiec tego roku był chłodny i deszczowy i gdy wyszli z dworca, rozpadało się na dobre. Franek był wściekły, chciał pokazać Wikcie rozpoczętą już odbudowę Ratusza, Ostrów Tumski i gigantyczną pracę przy dźwiganiu z ruin katedry, chciał, by zobaczyła, co się zmieniło we Wrocławiu podczas minionego roku. Nic z tego. Dobrą godzinę przestali w bramie, rozmawiając i patrząc kwaśno na strugi deszczu.

— Ustaje — powiedziała wreszcie Wikta — chodźmy, nie jestem z cukru, nie rozplnę się. Co prawda była odpowiednio ubrana, miała brezentową wiatrówkę z kapturem i mocne buty, za to Franek spojrzął żałośnie na swój „wyjściowy” garnitur. Po deszczu będzie wyglądał jak szmata... Ale czego się nie robi dla kobiety...

Zdążyli dojść do połowy Świdnickiej, właśnie Franek z dumą pokazywał dziewczynie gmach Opery, gdy lunęło znowu, a co gorsza, zahuczały grzmoty. Wikta krzyknęła i złapała Franka za ramię.

— Boisz się? — spytał z niedowierzaniem.

— Nie lubię burzy — odparła wykrętnie, ale zamknęła oczy, gdy błysnęło, i zadrzała, gdy gdzieś blisko uderzył piorun.

— Tu jest kawiarnia — powiedział Franek — wejdźmy, przeczekamy burzę.

Nigdy Wikta nie dowiedziała się, ile go kosztowały te słowa. Mieszkając we Wrocławiu od kilku lat ani razu jeszcze nie był w kawiarni, a w dodatku w takiej eleganckiej, wysłanej dywanami i zastawionej miękkimi fotelami. Przekraczając próg „Teatralnej” modlił się w duchu, by nie znaleźli wolnego miejsca,

udawał swobodę, ale nie wiedział, jak się zachować w tym pachnącym kawą i słodyczami lokalu. To nie była knajpa „Pod Gurałem” rzecz jasna...

Wolnych stolików było sporo, Wikta wybrała mały, dwuosobowy w kącie kawiarni.

— Bardzo tu ładnie — powiedziała z uznaniem — nie sądziłam, że we Wrocławiu są takie lokale.

— A niby dlaczego nie? — obruszył się Franek, dotknięty w swej dumie wrocławianina — u nas jest wszystko, zobaczysz, jaki tu ruch, ile ludzi przybyło. Jest nas już blisko trzysta tysięcy, a jak przyjechałem, nie doliczyłybyś się trzydziestu. Co ci zamówić? — spytał wstając.

— Siadaj, przecież przyjdzie kelnerka. Zjadłabym lody.

— Przeziębisz się, jest chłodno.

— Dajże spokój, przecież lato... Co ci jest? — zaniepokoiła się, widząc nagłe przerażenie w oczach Franka.

— Nic, nic — odparł szybko i uśmiechnął się z wysiłkiem. Niech to piorun trzaśnie! Zostawił portfel z pieniędzmi w codziennym ubraniu, nie miał przy sobie ani grosza! Co robić? Powiedzieć Wiktorii? Niech płaci sama za swoje i jego lody? Nie uchodzi... w lokalu zawsze mężczyzna płaci, tak go uczył Felek. A może wyjść, nie czekając, aż podejdzie kelnerka? Przekonać Wikte, że mają tu paskudne lody?

Był cały czerwony i spocony, Wikta lada chwila domyśli się, że coś jest nie w porządku. O Boże, niech ta kelnerka nie podejdzie, niech coś się stanie, niech...

— Ach! — usłyszał krzyk Wikty i zobaczył, że podciągnęła nogi wysoko na krzesło.

— Co się stało?

— Tam, tam... — wykrztusiła wskazując palcem. Franek spojrział i zdrętwiał. Zręcznie lawirując mię-

63

dzy stolikami i fotelami sunął na ukos przez salę ogromny, spasiony szczur. Nie zwracał uwagi na ludzi, na gwar i ruch, nie bał się niczego, maszerował prosto w stronę bufetu, gdzie miał nadzieję znaleźć coś smakowitego. Zachowywał się jak stary bywalec i gdyby nie strach i obrzydzenie na twarzy Wikty, Franek byłby się roześmiał.

— Chodźmy stąd — szepnęła Wikta — nie chcę lodów, nie chcę niczego, nie mogłabym przełknąć. Ładne tu macie porządki — powiedziała do podchodzącej kelnerki — szczury spacerują jak na promenadzie...

Kelnerka wzruszyła ramionami.

— Wykładamy trutki, sypiemy tłuczone szkło do dziur, nic nie pomaga, wciąż nowe przychodzą — wyjaśniła.

Franek był zmiażdżony, chciał, by Wikta poznała Wrocław z najlepszej strony, a tu masz... szczury w eleganckiej kawiarni. Chociaż... te obrzydłe gryzonie uratowały go przed kompromitacją, powinien być im wdzięczny.

„Ładnie bym wyglądał — pomyślał wówczas — zapraszać dziewczynę do lokalu i kazać jej płacić rachunek ,”

Inżynier zajrzał przez otwarte drzwi do wnętrza sklepu; senne ekspedientki podpierały ściany, kilkanaście kobiet przerzucało sukienki na wieszakach. O szczurach nie było mowy...

„Ileż tu żyło tego obrzydlistwa! — myśli inżynier idąc w stronę Rynku — w piwnicach, w gruzach, w kanałach. Rozmnażały się setkami, tysiącami, walka z nimi była beznadziejna. W letnie noce wylaziły ze swoich nor i wylegiwały się na ciepłym asfalcie. Szło się środkiem jezdni i głośno tupało butami, by je spło-

64

żyć. Usuwały się leniwie, bynajmniej nie wystraszone. A przygoda Felka? To było chyba już w pięćdziesiątym roku... Felek ożenił się i dostał mieszkanie na Kluczborskiej, w starej kamienicy, na trzecim piętrze. Ładne mieszkanie, duże, wysokie, przestronne... Wracał kiedyś późnym wieczorem, klatka schodowa jak zwykle ciemna (ludzie wykręcali żarówki, gdzie się dało, bo kupić nie było łatwo), szedł po omacku i żeby nie potknąć się na nierównych, byle jak połatanych schodach, sunął ręką po poręczy. Nagle dotknął czegoś miękkiego, ciepłego...

Szczur siedział na balustradzie, spłoszony, wczepił się w Felkową rękę, oszalały ze strachu wlaź do rękawa marynarki, gryzł i drapał. Felek walił z całej siły o poręcz, aż zabił drania, nie było sposobu, żeby go przepłoszyć. Pogryzione ramię długo jątrzyło, rany nie chciały się goić.

Właściwie szczury zniknęły dopiero razem z gruzami, zabrakło im życiowej przestrzeni. Inżynier Slapa doszedł do Rynku i jak zwykle z zachwytem spojrzął na Ratusz, na rozrzutne bogactwo rzeźb i fryzów fasady południowej, na wdzięczną kompozycję fasady wschodniej ozdobionej wielkim zegarem. Jakże inaczej wyglądał Ratusz w czterdziestym piątym, szóstym, siódmym... Odbudowa trwała cztery lata.

Obszedł wokoło cały Rynek, zadzierając głowę i podziwiając smukłe kamieniczki zwieńczone ozdobnymi szczytami. Dom Pod Złotą Koroną, dom Pod Złotym Słońcem, dom Pod Gryfami... Zatrzymał się przed „Jasiem i Małgosią”, taką nazwę nadali wrocławianie dwóm miniaturowym kamieniczkom połączonym u góry kamiennym łukiem. Kiedyś było to zapewne wejście na nie istniejący już cmentarz wokół kościoła Świętej Elżbiety. Kościół był w remoncie, wejście na wieżę zamknię-

66

te, jakaś wycieczka odeszła zawiedziona, młodzi chłopcy i dziewczęta nie będą mogli spojrzeć na panoramę miasta z wysokości osiemdziesięciu metrów.

Kiedyś wieża była wyższa dzięki ołowianemu hełmowi; strącił go piorun z początkiem XVI wieku. Na wschodniej ścianie kościoła znajduje się płaskorzeźba, przedstawiająca strącenie hełmu wieży, aniołowie znoszą go ostrożnie na ziemię...

Te szczegóły poznał dzięki żonie, to ona zwiedzała Wrocław z przewodnikiem w rękę, jeszcze dziś lubiła wyciągać męża na łożenie po mieście i oglądanie zabytków. To Wikta wygrzebała gdzieś legendę o złej babie z Rynku, pochowanej na cmentarzu przy kościele. Widmo tej baby wstawało co noc z grobu i wracało na Rynek, by w swoim kramie mierzyć płótno. Pewnego razu strażnik wieży zabrał porzucony całun. Widmo, chcąc odzyskać swoją własność, zaczęło wspinać się po gładkim murze. W połowie wieży spadło z wyciem i już ani razu nie pojawiło się w Rynku...

...Wikta. Może rzeczywiście szkoda, że nie pracuje naukowo? Ale przecież nigdy się nie skarży, widocznie jest zadowolona. A zresztą... czy grzebanie w książkach daje znów taką wielką satysfakcję? On, Franek, nie bardzo w to wierzy. Tworzyć coś własnymi rękoma, budować, zostawiać po sobie trwałe ślady to prawdziwe zadośćuczynienie za trud i wysiłek. I Wikta ma przecież swój udział w tworzeniu: wychowała troje dzieci, powołała do życia rodzinę, to z pewnością ważniejsze niż jeszcze jedno studium o cudzej książce.

Chociaż kiedyś Wikta była innego zdania...

To dziwne, przed małżeństwem był przekonany, że Wikta jest sto razy mądrzejsza od niego, że ma zawsze rację, że to on powinien się zmienić, pracować nad sobą, podciągać.

67

...co tu gadać, imponowały mi jej studia, zachowanie, obycie, jej rozległa wiedza o rzeczach, o których ja nie miałem pojęcia, nawet jej... pochodzenie. Czy śniło mi się kiedykolwiek, że ja, syn trzymorgowego chłopca, którego matka ledwie umiała sylabizować na książce do nabożeństwa, a ojciec co najwyżej gazetę z mozołem przeczytał — że ja ożenię się z córką lekarza, wnuczką adwokata? Że dorównam jej wykształceniem i tytułem naukowym, że przeskoczę ją stanowiskiem i zarobkami?

...z początku wydawała mi się istotą z innej planety, krążyłem wokół niej z nieśmiałością i nabożeństwem, bałem się w jej obecności spojrzeć, pomyśleć inaczej, niżby wypadało wobec takiej dziewczyny. Nie mogłem uwierzyć, że ona traktuje mnie poważnie, że się jej podobam... Dopiero później przekonałem się, że baba to baba, z tytułem naukowym czy bez! Że Wikta jest taka sama jak inne kobiety, boi się piorunów, myszy, żab, potrafi beczeć bez

powodu, ma przeróżne «humory», nie zna się na praktycznych stronach życia. Że w pewnych sprawach jestem od niej mądrzejszy, przerastam ją o głowę.

I Wikta chyba też to pojęła, jest teraz spokojniej--sza, bardziej wyrozumiała niż na początku naszego małżeństwa, nie narzuca mi swoich poglądów, upodobań, nie przerabia gwałtem na swoje kopyto. I bardzo nam dobrze razem.

...chyba i ja się zmieniłem pod jej wpływem, zresztą wiele ludzi pracowało, by okrzesać wiejskiego wyrostka, majster Olczak, Felek-„Cholender”, moi nauczyciele w gimnazjum.

'Dużo wody w Odrze upłynęło, zanim stałem się kimś innym, zanim z mostowickiego chłopaka wyrósł »magister inżynier Slapa, człowiek na odpowiedzialnym stanowisku i ojciec rodziny...\*''.

6S

\*

Pan Franciszek przystaje i patrzy na posąg Szermierza ustawiony na cokole, tuż przy głównym wejściu do uniwersytetu. Mimo woli uśmiecha się. Nieszczęsny Szermierz! Twórca poskąpił mu ubrania, posąg stał zimą i latem nagi, dzierżąc w dłoni opuszczoną szpadę, ale zawsze znajdowali się dowcipnisie, przystrajający chłopca z brązu w najdziwniejsze kostiumy! Wkładano mu na głowę akademickie czapki, ubierano w damskie, różowe figi lub pasek do pończoch, kostiumy kąpielowe i kolorowe kubraczki. Z czasem psie figle nieznanych humorystów stały się tradycją, teraz studenci podczas swoich świąt przystrajają Szermierza w okolicznościowe ubranka.

Z uniwersytetu wysypała się hałaśliwa grupa młodzieży. Weseli, roześmiani chłopcy i dziewczęta minęli inżyniera i poszli w swoją stronę. Mężczyzna popatrzył za nimi z zazdrością.

„Jacy młodzi! — westchnął w duchu — młodzi i... zdrowi”.

Niedługo znowu odbędą się Juwenalia, barwne korowody zapełnią miasto, młodzież poprzebierana w dziwaczne stroje będzie śpiewać, grać i tańczyć na ulicach i placach. Za czasów jego młodości nie było takich świąt, nikt wtedy nie słyszał o Juwenaliach.

A teraz...

Trudno, czas nie oszczędza nikogo, ci młodzi też się zestarzeją, będą kwękać i narzekać. Ta myśl jakby przyniosła mu ulgę, nie był odosobniony w swoich przeżyciach, starość nie spadała na wybranych, wszyscy podlegali jej prawom.

„Histeryzuję jak baba! — rozgniewał się. — Ani nie jestem taki stary, ani śmiertelnie chory! Po prostu trzeba trochę zwolnić tempo, oszczędzać się, w każdej \* maszynie w końcu wysiadają części. Przejdę generalny

73

remont, a potem... ho, ho! Jeszcze wam pokażę któregoś dnia!”

Powtórzył te słowa półgłosem, coś mu przypominały, już kiedyś rzucił komuś to wyzwanie...

...majster Olczak był przekonany, że Franek podpisał sobie, że na trzeźwo nigdy by się nie odważył. To samo twierdziła Wikta i koledzy, choć Felek przysięgał, powtarzając co drugie słowo „cholender”, że Franek nie miał w ustach nawet piwa. Felek był naocznym świadkiem, nigdy nie zmyślał, a jednak nie wierzono mu. A majster Olczak tupał nogami, walił laską o podłogę (już wtedy nie pracował, reumatyzm wlaźł mu w kolana, w stawy, prawie unieruchomił) i krzyczał czerwony z pasji:

— Szczeniak, gówniarz, co ci na mózg padło?! Dorosły człowiek, żonaty, a zachowuje się jak dziecko!

Dziecko nie dziecko, lata nie miały tu nic do rzeczy, każdy, stary czy młody, byłby wpadł w szewską pasję, słysząc taką wiadomość.

To Felek przybiegł tego dnia na budowę zdyszany i zasapany. Franek od razu poznał, że zaszło coś niezwykłego.

— Trzymaj się, Franus, dachówki, bo jak ci coś powiem, to się nogami nakryjesz z wrażenia!  
— wrzasnął.

Franek właśnie przeglądał faktury, sprawdzał z majstrem przywiezione elementy zbrojeniowe i podniósł na Felka niechętnie spojrzenie.

— Nie wygłupiaj się, stary — mruknął — nie mam czasu.

— Zaraz będziesz miał czas, cholender — Felek odciągnął przyjaciela na bok i wyrzucił z siebie gniewne, pełne pasji słowa: — Byłem przed chwilą w Ra-  
ił

dzie Narodowej, mam tam kumpla, akurat wyszedł z posiedzenia prezydium i wiesz, cholender, co mi zasunął?

Felek zawiesił głos i spojrzał na Franka, jakby czekając, co tamten powie. Ale Franek poruszył niechętnie głową i rzekł: \*\*»■ Felek, śpieszy mi się, zbrojarze czekają.

— (Niech poczekają, cholender! Wiesz, co uchwalili? Będą walić Iglicę!

— Co?! Dlaczego?

— A widzisz, ruszyło cię, cholender! Jak to usłyszałem, mało mnie szlag nie trafił! Będą walić, bo nikt nie chce podjąć się remontu, powiadają, że trzeba by zatrudnić alpinistów, cholender, a znowuż w Mostostalu akurat takich brakuje.

Sprawa Iglicy była swego czasu głośna, mówiło się i pisało w prasie, że stumetrowa, metalowa konstrukcja wymaga odnowienia, że przerdzewiałe elementy stanowią duże niebezpieczeństwo, że większy wiatr czy burza mogą uszkodzić wieżę. Wysuwano różne propozycje, w końcu sprawa ucichła.

— Ale przecież byli tacy dwaj... chyba studenci — zaczął Franek — wyszli na sam szczyt, żeby zdjąć stłuczone lustra i żarówki, pamiętasz?

— Pamiętam, cholender — mruknął Felek — ci, co chcieliby uratować Iglicę, powoływali się na nich, ale to właśnie byli taternicy z Klubu Wysokogórskiego, leźli na górę jak koty, cholender. Teraz potrzeba fachowców, niektóre człony wymagają wymiany, trzeba rozkręcać i skręcać poszczególne elementy, wymieniać śruby, spawać, zabezpieczyć i lakierować całość. Tego nie zrobią amatorzy, cholender!

— Więc co będzie?

— Mówię ci, że chcą zwalić Iglicę! — wrzasnął Felek — zwalić, pociąć na złom i odwieźć do huty.

72

— Nie!

Zwalić Iglicę? Usunąć smukłą sylwetkę wieży zdobiącej rozległy plac przed Halą Ludową? Nie było chyba we Wrocławiu człowieka, który choć raz w życiu nie stanął z zadartą głową i nie podziwiał lekkiej i mocnej konstrukcji, prowadzono pod Iglicę wycieczki i przyjezdnych, kazano oglądać i zachwycać się. Iglica była absolutnie nieprzydatna, nie służyła żadnemu praktycznemu celowi, lekkość i wdzięk stanowiły jej wyłączną wartość, może właśnie dlatego wszyscy tak ją lubili, cieszyła oczy jak kwiat, który jest bezużytecznym pięknem. >

Chociaż... Iglicę zmontowano w czterdziestym ósmym roku, była symbolem Wystawy Ziem Odzyskanych. Wokół leżały gruzy, ludzie byli zagonieni, źle ubrani i niedożywieni, brakowało najpotrzebniejszych przedmiotów i produktów w źle zaopatrzonych sklepach, transport kulał, rolnictwo ledwo zipało i nagle... Iglica! Nie dom towarowy, nie dworzec, nie szpital, lecz Iglica! Nikomu niepotrzebna, nie służąca niczemu pożytecznemu konstrukcja z metalu. Symbol.

Prawie alegoria, prawie metafora. Widomy znak prężnej, młodej przyszłości Wrocławia, Dolnego Śląska, całego kraju.

Niektórzy sarkali, mówili: „typowo polski gest”, „wyrzucone pieniądze i praca” i obliczali, ile garnków, ile miednic i czajników można by wytłoczyć z blachy zużytej na budowę wieży.

Ale większość rozumiała „gest” i cieszyła się. Iglica stała i przez całe lata była symbolem Wrocławia.

A teraz ma pójść na złom?!

Przez trzy dni Franek chodził ponury i zamyślony, oganiał się od pytań Wikty, ważył coś w sobie i kombinował. Czwartego dnia pod wieczór wpadł do mieszkania Felka i wyciągnął go na spacer.

73

- Jest tylko jedno wyjście — posiedział popychając przyjaciela do tramwaju — ktoś musi tym z prezydium udowodnić, że można przeprowadzić remont Iglicy. Co to znaczy „nie można”? My nie znamy takiego słowa, dla nas nie ma nic niemożliwego!

— W jaki sposób chcesz to udowodnić?

— Ktoś musi tam wejść. Na samą górę. Nie alpinista, nie taternik, ale zwykły człowiek.

— No i kogo tam pošlesz? — zaśmiał się Felek. — Urzędników z Rady? Na mnie nie licz, cholender, na balkonie nie mogę ustać, kręci mi się w głowie, kiedy mam te trzy piętra pod sobą.

— Ja pójdę.

— Zwariowałeś?

— Może zwariowałem, ale to jest jedyne wyjście. Wsiadaj, jesteśmy na miejscu.

Przez bitą godzinę Felek tłumaczył przyjacielowi absurdalność jego pomysłu, prosił, błagał, krzyczał i przeklinał.

— Kark skręcisz, cholender! W życiu nie byłeś w górach, nie umiesz posługiwać się linami i hakami! Wikta mnie zamorduje, Olczak wsadzi do kryminału, cholender! Nie pozwolę ci, milicję sprowadzę, wezwę karetkę, niech ci założą kaftan, niech odwiozą do Kul-parkowa, tam twoje miejsce!

— Kulparków daleko... — zakpił Franek.

— Na Kraszewskiego, cholender, przejeżdżyłem się. Ta ty wariat jesteś, niepoczytalny wariat!

Nic nie pomogło, Franek uparł się i był głuchy na prośby i groźby.

— Pójdę — powtarzał — nic mi się nie stanie. Inni mogli, to i ja potrafię.

Wreszcie Felek ustąpił.

— Idź! — wrzasnął. — I złam kark!

Była głęboka noc, gdy Franek zaczął wspinaczkę,

Tl

tylko jasny księżyc oświecał mu drogę. Felek stał z zadartą głową, modląc się w duchu, by nadszedł milicyjny patrol i ściągnął wariata na ziemię. Ale wokół? było pusto i cicho.

Franek nie dotarł na sam szczyt, zabrałoby mu to zbyt wiele czasu.

Na wysokości sześćdziesięciu metrów zawiesił czer-wono-biało-czarny szalik Wikty i zaczął schodzić. Był jasny dzień, kiedy stanął na ziemi.

Felek otarł pot z czoła i z całej siły uścisnął przyjaciela.

— Cholender! — powiedział tylko.

— Czekaj — burknął Franek — jeszcze nie koniec. Wyjął przygotowaną kartkę i przymocował ją u podstawy Iglicy.

— Co to jest? — spytał podejrzliwie Felek.

— List — wyjaśnił lakonicznie Franek.

— Do kogo?

— Do Rady Narodowej. Napisałem, że można wejść na Iglicę, że byłem tam, choć nie jestem taternikiem, I że nie zgadzamy się na demontaż...

Nocna wspinaczka na Iglicę narobiła wiele wrzawy, znów zaczęto pisać o sprawie remontu, spierać się i dyskutować. Przyjechał konstruktor Iglicy, profesor Hempel, odbyło się wiele narad i konferencji. W rezultacie postanowiono nie rozbierać Iglicy i poddać ją zabiegom

konserwacyjnym, jednak w taki sposób, który nie narażałby pracujących na niebezpieczeństwo.

Dokonano precyzyjnych pomiarów i obliczeń, rozmontowano podstawę wieży i przy pomocy dźwigów opuszczono kolosa i położono na ziemię. Musiano zamknąć jedną ulicę i część parku. Po dokonaniu remontu ustawiono Iglicę na dawnym miejscu.

— No i widzisz! — powiedział Franek do Felka, obchodząc wokół lśniącej, odnowionej wieży.  
75

- Tylko nie wyobrażaj sobie, że to twoja zasługa! — burknął Felek. — Więcej było takich, którzy, nie mogli się pogodzić z usunięciem Iglicy.

— Wszystko jedno czyja zasługa, najważniejsze, że znów stoi...

A Wikta rozplakała się i mówiła przez łzy: —• Mogłeś spaść, mogłeś się zabić! Dlaczego nie pomyślałeś o tym, dlaczego nie myślałeś o mnie, o dzieciach? ;.

— Myślałem.

— I to cię nie powstrzymało? Ooo, ja wiem, co jest dla ciebie najważniejsze, chciałeś pokazać, jaki ty jesteś chojrak, jak ty się niczego nie boisz...

— Nieprawda! Chciałem udowodnić, że można uratować Iglicę! Przecież nie podpisałem listu!

— Ale i tak wszyscy się dowiedzieli, Felek rozgadał. A zresztą ty chciałeś coś udowodnić sam sobie...

— Bzdura! A Felkowi nie mogłem zatkać gęby!

Gniewali się wtedy ze trzy dni, Wikta popłakiwała po kątach, Franek chodził nadąsany i obrażony. Potem pogodzili się.

Inżynier westchnął i spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia trzecia! Ależ się zabałamucił! Trzeba szybko wracać do domu.

Na szczęście na postoju stało kilka wolnych taksówek. Po chwili siedział oparty wygodnie o miękkie poduszki.

## CZEŚĆ DRUGA

### Matka

Wiktoria Słapowa postawiła przed drzwiami mieszkania torbę oraz ciężką, wypchaną siatkę i sięgnęła po klucze. Chwilę nadstuchiwała, zdawało się jej, że słyszy kroki w pustym mieszkaniu. Czyżby mąż już wrócił?... Przekręciła klucz w zamku, pchnęła drzwi.

— Franek? — zawołała pytająco.

Odpowiedziała jej cisza, tylko radio grało u sąsiadów za ścianą. Zaniósła zakupy do kuchni, postawiła je na stole, a sama opadła ciężko na kuchenny taboret. Była bardzo niespokojna, Franek nie zdołał jej zwieść dziarskimi minami i nieudolnym kłamstwem. Wiedziała, że od dłuższego czasu czuje się źle, obserwowała go ukradkiem, widziała nabrzmiewanie

77

sinych żył na skroniach i szyi, gwałtowny ruch ręki szarpiącej kołnierzyk i krawat, słyszała ciężki, świszczący oddech, patrzyła z przerażeniem na usta łapiące z wysiłkiem powietrze i na dłonie, uciskające pierś, niespokojne, jakby walczące z czymś, co przeszkadza chodzić, oddychać, żyć.

Był chory, wiedziała o tym, ale na jej nieśmiałe propozycje pójścia do lekarza fukał jak rozniewany kot, irytował się, krzyczał, gniew i podniecenie napędzały mu fale krwi do głowy, milkła więc, ustępowała, by go nie drażnić, by mu nie szkodzić dodatkowym zdenerwowaniem.

Ten stan trwał jakiś czas, wreszcie Franek sam zdecydował się na wizytę u lekarza. Nie powiedział nikomu ani słowa, chodził na różne badania w tajemnicy przed żoną, ale ona domyśliła się wszystkiego. Miała trochę doświadczenia w tych sprawach, wychowała przecież troje dzieci i był czas, że nie wychodziła z nimi od lekarzy.



Franek kilkakrotnie wybiegał z domu na czczo, teczkę skrupulatnie chował do szafy zamykanej na klucz, parę razy zastała go przy przeglądaniu jakichś karte-luszków, a co było najistotniejsze, przed dwoma tygodniami przewrócił do góry nogami cały dom, szukając książeczki ubezpieczeniowej.

— Po co ci książeczka? — spytała niby nic nie rozumiejąc. — Idziesz do lekarza?

— Też coś! — burknął. — W życiu nie chorowałem! Kazali przynieść do wymiany — objaśnił spokojniej i podejrzenie szybko odwrócił twarz, jakby w obawie, że żona domyśli się kłamstwa.

Oczywiście, domyśliła się wszystkiego. Franek nie umiał kłamać, robił to tak nieudolnie, że ślepy by zauważył.

Nie poprzestała jednak na domysłach, zadzwoniła

78

do zwierzchnika i przyjaciela męża i poprośbia, by porozumiał się z lekarzem zakładowym. Dlatego była taka niespokojna, dlatego sądziła, że po powrocie z zakupów zostanie Franka w domu, wiedziała, że otrzymał skierowanie do przychodni kardiologicznej, że właśnie dziś miał być u specjalisty i że nie jest z nim dobrze.

— Franek będzie musiał przekazać kierownictwo budowy — powiedział dyrektor Derkacz — ma nie wykorzystany urlop za zeszły rok, plus tegoroczny, plus ze sześć tygodni zwolnienia, razem trzy i pół miesiąca nieobecności. Zresztą doktor Salamon powiada, że nie powinien wracać na budowę, że trzeba mu poszukać spokojniejszego zajęcia. Nie martw się — dodał ciepło, choć Wiktoria słuchała w milczeniu i tylko coraz mocniej ścisnęła słuchawkę — porządna kuracja i odpoczynek postawią go na nogi, a potem pomyślimy o jakiejś lżejszej pracy. Tylko żeby on, cholender, dał się przekonać, bo z Frankiem nigdy nic nie wiadomo! Westchnęła ciężko, wstała i zaczęła krzątać się po kuchni, wyjmować przyniesione prowianty i chować je do szafki, spiżarki, lodówki. Zmartwienie zmartwieniem, a obiad trzeba ugotować. Hania wróci ze szkoły o pierwszej, Małgosia o wpół do trzeciej, Michał... Z Michałem nigdy nic nie wiadomo na pewno. Albo wpadnie zdyszany i już od progu będzie wołał o obiad, bo mu się śpieszy, bo musi zaraz wyjść, albo przyjdzie późno, bąknie z łaski jakieś usprawiedliwienie i wzruszając ramionami, ze znużoną i lekceważącą miną wysłucha jej wymówek. Albo i nie wysłucha.

Wiktoria, mówiąc do syna, prawie zawsze miała wrażenie, że jej słowa nie docierają do niego, że rozbijają się o pancierz obojętności i znużenia, że Michał nie słyszy, a jeśli nawet słyszy, to nic sobie nie robi z jej słów. Całą postawą, całym swoim zachowaniem

79

zdawał się twierdzić: „Gadasz, bo lubisz gadać, bo taką masz naturę, ale czy warto tracić czas i energię na wałkowanie tak mało ważnych spraw jak punktualne przychodzenie na obiad? Czy od mojej punktualności świat będzie lepszy albo gorszy?”

Pani Wiktoria zerknęła na kuchenny zegar i stwierdziła, że ma jeszcze sporo czasu. Zdaży porządnie posprzątać mieszkanie, zanim przyjdzie pora na gotowanie obiadu.

Zacząła jak zwykle od pokoiku córek. Na oko wyglądał porządnie, bo Małgosia nie lubiła bałaganu i od młodszej siostry wymagała składania rozrzuconych książek, rysunków, zabawek. Ale tapczany i dywanik trzeba było oczyścić elektroluksem, zetrzeć na mokro okienny parapet i lakierowaną chemolakiem podłogę, podlać kwiaty i odkurzyć porcelanowe, drewniane, słomiane i szmaciane drobiazgi i cudeńka, które obie córki namiętnie kolekcjonowały.

Za to w pokoju Michała panował kosmiczny bałagan. Widać chłopiec szukał czegoś z wieczora albo rano, bo w otwartych szufladach wszystko było przewracane, brudne koszule i skarpetki leżały na podłodze, na stoliku, ciśnięte byle jak, poniewierały się postrzępione, zniszczone książki, a na tapczanie między skłębioną pościelą i zmiętą piżamą matka znalazła brudny, zdeptany ranny pantofel.

Zacisnąwszy usta pani Wiktoria zabrała się do porządków.

„Nawet tego nie potrafiłam go nauczyć — pomyślała z goryczą — brudas, bałaganiarz, nie szanuje ani własnych rzeczy, ani cudzej pracy”.

Wygarnęła właśnie spod poduszki trykotową koszulkę i stwierdziła, że na samym przodzie widnieje dziurka. Powąchała koszulę i pokiwała głową. Materiał pachniał dymem, dziurka miała brązowe obrzeże,

80

została wypalona papierosem! A więc Michał znów palił, mimo że niejednokrotnie zapewniał ją, że już nie będzie, że tylko parę razy spróbował pociągnąć dla zabawy.

Wyjęła z szafy pierwszą lepszą kurtkę, wywróciła kieszenie. Na jasną powierzchnię stolika posypały się okruchy tytoniu.

Nagle odechciało się jej porządków, usiadła na uprzątniętym już tapczanie i zaplotła ręce na kolanach.

Co się dzieje z tym chłopcem, co z niego wyrośnie? Czy to tylko przywary typowe dla jego wieku? Od jakiegoś czasu zmienił się do niepoznania, co prawda omal od urodzenia nie był łatwym dzieckiem, miała z nim sporo kłopotów, tym bardziej że Franek, zagoniony, zapracowany, nigdy naprawdę nie zajmował się dziećmi. Tata był od święta, od nielicznych, a tak pożądanых wypraw do kina, do cyrku, od niedzielnych wyjazdów za miasto. Albo też w wyjątkowych wypadkach — od wymierzania kar. To ostatnie zresztą zdarzało się dość rzadko, wołała raczej ukrywać przed mężem kolejne wybryki Michała niż dopuszczać, by mąż wpadał w pasję i zamroczony gniewem bił chłopaka, gdzie popadło.

W tym punkcie nigdy nie byli zgodni, Wiktoria uważała, że bicie niczego nie nauczy, że spokojna rozmowa i konsekwentne postępowanie daje lepsze rezultaty niż chwywanie za pas, Franek natomiast twierdził, że bez dobrego lania jeszcze żaden chłopak nie wyszedł na ludzi. — Dziewczyny to ty sobie chowaj po swojemu, po pańsku, ale ja co wiem, to wiem. Mój stary miał taki specjalny rzemień na nas, wieszał go na kołku za piecem, pajęczyną nie obrastał, nie, a może mi to zaszkodziło, może niedobrego masz męża?

6 — W myślach, w sercu

81

Tak się kończyły zwykle poważne rozmowy z Frankiem, w końcu wszystko obracał w żart, zagadywał ją, dowcipkował. Śmiała się, Franek zawsze potrafił ją rozbroić, uspokoić, rozśmieszyć.

Ale Michał nie był przez to ani lepszy, ani łatwiejszy do chowania. W jego przypadku zawodziły obie metody, poważne, szczere rozmowy z matką nie odnosiły żadnego skutku, po przeprowadach z ojcem chłopiec zaciął się w ponurym uporze, milczał, wzruszał ramionami i robił swoje.

— Boże, Boże, dlaczego on jest taki dziwny, obcy, niezrozumiały? Dlaczego nie okazuje nam ani odrobiny uczucia, przeciwnie, zawsze jest nastawiony wrogo, krytycznie, niechętnie do wszystkiego, co się w domu robi czy mówi? Wpada jak po ogień, zje, co mu podsuną do zjedzenia, odrobi lekcje i znika. Nie mam o to pretensji, nie może siedzieć kamieniem w domu, ma już siedemnaście lat, chce pójść do kina, na mecz, pograć w piłkę, pogadać z kolegami, spotkać się z dziewczyną... Czy on już chodzi z dziewczynami? Nigdy o tym nie mówi, on w ogóle nic nie mówi, jeśli nie liczyć próśb o pieniądze, o przyszyście guzika, zwężenie albo poszerzenie spodni. Przecież ja prawie nic o nim nie wiem, a to, co wiem, to zwyczajne, codzienne sprawy: stopnie, kłopoty z chemią i matematyką, skłonność do przeziębienia, zimą wiecznie zajęte zatoki, wstręt do grzybów, kaszy i kapusty, paniczny lęk przed dentystą. Co on naprawdę lubi, czego się boi, czego pragnie? Tego nikt nie wie poza nim samym, a obawiam się, że i on tego nie wie...

Zegar wydzwonił jakąś godzinę i pani Wiktoria wstała z poczuciem winy za zmarnowany na jałowe rozmyślania czas.

Sprzątnęła szybko trzeci, największy pokój, gdzie stał ich małżeński tapczan, telewizor i kupione na ra-

82

ty pianino, które okazało się wydatkiem bezcelowym, gdyż żadne z dzieci nie miało ani zdolności, ani chęci do muzyki. Wprawdzie Małgosia wygrywała czasem jednym palcem melodie modnych przebojów, ale uczyć się nie chciała, to samo było z Hanią, a Michałowi nawet nikt nie proponował lekcji muzyki, i pani Wiktoria ścierając kurz z lśniącego czarnego pudła zawsze doznawała uczucia lekkiej irytacji, jaką w nas budzą zawiedzione nadzieje. Ona sama grała kiedyś nieźle, zaczęła naukę jako pięcio- czy sześćioletnie dziecko, potem wojna przerwała lekcje, jeszcze jakiś czas ćwiczyła pod okiem ciotki, wreszcie fortepian sprzedano, aby „przeżyć”, i ten rozdział edukacji został definitywnie zamknięty.

W rodzinnym domu Wiktorii kochano muzykę, grała matka, grał ojciec, bardzo wcześnie kupiono głośnikowe radio i walizkowy patefon.

Rodzice często chodzili na koncerty, do opery i z tamtych czasów Wika wyniosła przekonanie, że muzyka powinna stale towarzyszyć kulturalnemu człowiekowi, stać się po prostu częścią jego życia.

Franek nie miał nic przeciwko muzyce, lubił nawet słuchać melodyjnych piosenek, dziarskich marszów i wiedeńskich walców, ale gdy raz zaciągnęła go na koncert do filharmonii, w połowie zasnął, na przedstawienie operowe nigdy nie dał się namówić, a gdy w radiu zapowiadano utwory Bacha, Mozarta lub Szymanowskiego, przekręcał wyłącznik lub wychodził z pokoju.

Wika grywała czasem, ale tylko wówczas gdy była sama w domu, i zawsze wstawiała od fortepianu z uczuciem żalu nad latami nauki, która poszła na marne.

Skończywszy sprzątanie pani Wiktoria poszła do łazienki, by posortować i przygotować bieliznę do prania, ale w połowie drogi zawróciła. Wprawdzie miała

6\*

83

zamówioną kolejkę do pralni, wprawdzie nie lubiła odkładać raz zaplanowanej roboty, ale dziś uległa przemożnej chęci pozostania w domu i czekania na męża. Chyba Franek od lekarza nie pójdzie już do pracy, najwyżej wpadnie do dyrekcji, by załatwić formalności... może zadzwoni z biura? Już minęła dziesiąta...

Franek nie ma pojęcia, że ona wie o wszystkim, nie domyśla się, jak ciężko czekać na jego powrót.

Skąd się wzięła ta choroba? Taki był zawsze zdrowy, silny, pełen życia... Choć niedawno minęła dwudziesta rocznica ich ślubu, Wiktoria nie pamięta, by mąż chorował kiedykolwiek. Nie imają się go grypy, przeziębienia, katary, był twardy jak dębowy pniak. Właściwie leżał tylko raz, i to, śmiech powiedzieć, z powodu dziecinnej choroby. Przed paru laty Hania przechodziła świnkę i Franek zaraził się od córki. Wariowali oboje niczym para rówieśników, nie można ich było zapędzić do łóżek...

Pani Wiktoria uśmiecha się na myśl o tej wesołej chorobie i zaraz nadbiega inne wspomnienie, znacznie odleglejsze i nie tak beztrudne jak to sprzed paru lat.

...drewniana, pachnąca żywicą weranda, sople lodu zawieszona na wyciętych ozdobnie belkowaniach i słońce kłujące oczy milionem iskier odbitych w lodowych igiełkach, w zamrożonych płatkach śniegu.

Leżak wymoszczony baranicą, poduszkami, derką, a na leżaku sztywna kukiełka w płaszczu, czapce, szaliku, rękawiczkach, opatulona po sam nos kocami, okryta tak, że tylko głowa sterczy nad zwałami okryć i odzieży.

Wika ma dziewięć lat i z całego serca nienawidzi werandowania. A to podobno jedyne lekarstwo, niezawodny środek na stany podgorączkowe, na powiększone gruczoły i zaciemnione wnętrza. Tak powiedział

84

lekarz i dodał: „Co najmniej dwie godziny dziennie, niech pani pamięta!”

Ciocia Jadzia dobrze pamięta zalecenia lekarza i pilnuje, by wszystkie były skrupulatnie spełniane. Więc trzy razy dziennie tran, wapno i inne lekarstwa, więc kozie mleko, obrzydlistwo, którego sam zapach przyprawia człowieka o mdłości, i to najgorsze, najstraszniejsze — werandowanie!

— Ciociu — prosi płaczliwie Wika — niech ciocia zostanie, niech mi ciocia coś opowie! Codziennie powtarza się ta sama historia, ciocia Jadzia okrywszy Wikę, obetkawszy dokładnie koce, tak by nawet najmniejszej szparki nie zostawić, zabiera się do odejścia i codziennie Wika prosi, by została. Bo Wika nudzi się śmiertelnie i te dwie godziny samotności napełniają dziewczynkę przerażeniem.

Ciocia Jadzia jest dobra i zawsze daje się uprosić, biega po werandzie, tupiąc nogami w ciepłych botach, śmieje się, opowiada coś, ale po krótkiej chwili jej mały nosek sinieje, na puszystym futrzanym kołnierzu osiada szron złodowaciącego oddechu, cała drobna i pulchna postać kuli się wstrząsana dreszczami i Wika teraz już sama prosi:

— Niech ciocia ucieka, niech ciocia idzie się ogrzać. Bo Wice pod trzema kocami, baranicą i sukienną

derką jest ciepło, a ciocia ma tylko zwyczajny płaszcz na watolinie z kołnierzem z oposów.

Dziewczynka leży spokojnie, oddycha przez nos, patrzy na góry porośnięte świerkowym lasem, na białe obłoki sunące po niebieskim niebie i oblicza, ile już minut minęło. Może kwadrans, może pół godziny, a może jeszcze więcej? Co jakiś czas zagląda na werandę

ciocia, sprawdza, czy Wika nie zmarzła, czy ciasno obetkane koce nie rozwinęły się, i wtedy można zapytać:

86

— Ciociu, jeszcze ile?

— Półtorej godziny. Leż spokojnie.

Dobrze powiedzieć „leż spokojnie”, kiedy dziewięcioletnie nogi aż drżą z ochoty do biegania, a ręce chciałyby ruszać się, ubierać lalkę, przewracać kartki książek, przesuwać pionki loteryjki albo chińczyka.

Gdyby choć weranda była położona z tej strony domu, gdzie jest podwórze, stajnia, szopka, można by popatrzeć, jak stary Łeś Bojko rąbie drzewo, jak jego syn Wasylko zaprzęga konia do niziutkich sanek, zagadać do czarnowłosej Marusi i podziwiać, jak szybko, jak sprawnie kręci korbą i ciągnie wodę ze studni lub też, co byłoby najmiłsze, porozmawiać z dwunastoletnią Hafiją, która nie rozstaje się z drutami i włóczką i robi wciąż nowe, bajecznie kolorowe skarpety z grubej szorstkiej wełny, ozdobione skomplikowanym wzorem.

Wika włożyła raz takie skarpety, czerwone z czar-no-żółto-niebieskim szlakiem, ale ściągnęła je z nóg czym prędzej. Były ostre i drapały tak nieprzyjemnie skórę. A włóczka, z której je zrobiono, nazywała się harasówka.

Ale weranda wychodzi na ogród, pusty i zasypany śniegiem, i nie ma na co patrzeć, nie ma do kogo zagadać.

Za to po południu, a zwłaszcza wieczorem ciocia Jadzia nie może utrzymać Wiki w pokoju.

Mała idzie do przestronnej, ciepłej kuchni gospodarzy, rozsiada się na ławie pod piecem i zaczyna rozmowę.

Wszystko jest ogromnie ciekawe, interesujące, inne. Można popatrzeć, jak stary Łeś wciska ostrożnie, lecz pewnie kolorowe koraliki, płytki żółtego metalu albo masy perłowej w ciemne drzewo ozdobnej szkatułki, noża do rozcinania papieru albo talerza na chleb lub owoce.

Potem trzeba koniecznie usiąść przy Marusi

87

i śledzić szybko migającą igłę i wyłaniający się na grubym, lnianym płótnie wzór złożony z dziesiątków kolorowych krzyżyków, czarnych, niebieskich, żółtych i czerwonych. Zwykle,

codzienne koszule Marusia wyszywa tylko przy szyi i na ramionach, ale te paradne, przeznaczone do świątecznego stroju, mają zahaftowane całe rękawy i przód. Hafija jak zwykle miga drutami, do jej obowiązków należy zaopatrywanie całej rodziny w skarpety, które oni noszą zimą i latem, Wasylko naprawia uprząż albo inny sprzęt gospodarski, tylko Małanka Bojkowa nic nie robi, leży na przypiecku okryta kożuchem i stęka.

Małanka jest potwornie gruba, pali fajkę i krzyczy na córki i męża. Stary Łeś ukradkiem spluwa na podłogę i mruczy „proklataja”, ale głośno tłumaczy Wice: „ona eh wora, niczoho ne może robyty”.

Wika szybko nauczyła się miejscowego języka, rozumie wszystko i nawet próbuje mówić po „rusku”, zresztą i Hafija, i Marusia znają polski, chodziły do polskiej szkoły i chętnie rozmawiają z Wiką łamaną polszczyzną. Tylko Ołena, która służy u aptekarza w Delatynie i czasami na niedzielę przyjeżdża do domu, oraz Wasylko uparcie trzymają się swojej mowy. Te wieczory w kuchni Bojków stanowią jedyną okrasę pobytu w Dorze, dnie są nudne i jednostajne. Rano lekcja z ciotką, Wika przerabia materiał szkolny, żeby nie stracić roku, bo kuracja może potrwać i ze trzy miesiące. Potem to nieszczęsne werandowanie, obiad, leżenie po obiedzie (na szczęście już w pokoju), wreszcie spacer. Ale co to za spacer, co to za przyjemność, kiedy nie wolno ani podbiec, ani podskoczyć, kiedy trzeba iść grzecznie obok ciotki, trzymając mocno za rękę.

Można tylko patrzeć z zazdrością na huculskie dzieci zjeżdżające z pagórków na sankach, zrobionych

88

własnym przemysłem z drewnianej paczki. Wika ma w domu piękne, drogie sanki z metalowymi płozami, ale nie pozwolono jej ich zabrać, doktor zabronił.

Wika wie, że Huculi są biedni, sama widziała, jak u Bojków kartofle maczano w wodzie, w której rozpuszczono odrobinę soli, żeby tej soli oszczędzić, bo dodawać do gotowania to więcej wychodzi. A przecież Bojko robił takie piękne rzeczy z drzewa i sprzedawał w lecie gościom przyjeżdżającym na wakacje. Wasylko pracował przy wyrębie lasu, a Ołena zgodziła się do wszystkiego u aptekarza w Delatynie. I Bojko zbudował duży trzyizbowy dom z gankiem i werandą. W zimie mieszkali w tym domu, w lecie wszystkie izby odnajmowali letnikom, a sami spali w maleńkiej przybudówce obok stajni.

Ciocia tłumaczy Wice, że ziemia nieurodzajna, że Huculi sieją tylko owies, kukurydzę i sadzą trochę kartofli, że poza dorywczą pracą w lesie nie mają innych możliwości zarobku.

To wszystko z pewnością prawda, ale Wika nie może uwierzyć w tę biedę, odkąd poszła z ciotką w niedzielę do cerkwi. Wika widywała biednych ludzi w mieście, odziani byli w wyszarżale, nędzne ubrania, czasem nawet w łachmany.

A tu... Wika aż wytrzeszczyła oczy na te kolory, hafty i ozdoby. Czy biedni ludzie tak się ubierają?!

Wasylko na niedzielę wdziewał czerwone spodnie, na nogi kładł skórzane postoły (Wika już wiedziała, że tak nazywa się huculskie obuwie, podobne do góralskich kierpców), przepasywał się szerokim na trzy dłonie pasem, gęsto nabijanym srebrnymi ozdobami, koszulę miał tak zahaftowaną, że spod kolorowych ściegów i krzyżyków nie było widać białego płótna. Na to zarzucał kożuch.

Ale jaki kożuch! Biały, wyszywany czerwoną i czar-

89

ną skórą, ozdobiony metalowymi guzami i sprzączkami, lamowany szeroko białym barankiem. Na głowie nosił Wasylko ciemny kapelusz z podwiniętym rondem, opasany potrójnym, puszystym sznurem z włóczki. Wyglądał w tym stroju jak księżę z egzotycznej bajki, jak królewicz z tajemniczej, nieznannej krainy i patrząc nań, trudno było uwierzyć, że na co dzień Wasylko jada kartofle bez soli i mamałygę bez masła!

A dziewczęta, Marusia, Hafija, Ołena? Ciocia chcąc zrobić Wice przyjemność pożyczyła od Marusi jej paradny strój i sfotografowała siostrzenicę na progu werandy. Wika nie mogła napatrzeć się sobie, choć wszystkie części stroju były na nią za duże, biegała od okna do okna, żeby choć w szybie zobaczyć swoje odbicie, bo u Bojków nie było dużego lustra, wszyscy korzystali z małego lusterka wielkości dłoni, wiszącego na ramie okiennej.

Więc najpierw lniana, pięknie wyszywana koszula, potem śmieszna rzecz: dwa fartuchy, jeden z przodu, drugi z tyłu, fartuchy tkane w domu, grube, w poprzeczne kolorowe prążki, potem kozuch jeszcze piękniejszy i barwniejszy niż Wasylkowy, a na głowę wełniana, czerwona, w przemyślny sposób wiązana chustka z długimi frędzlami.

Hafija powiedziała Wice, że taki strój jest bardzo drogi i że każda dziewczyna składa pieniądze na kozuch, na postoły i chustkę. Bo koszule musi sobie sama uszyć i wyhaftować. I że ona, Hafija, dopiero za dwa, trzy lata będzie sobie mogła kupić świąteczny kozuch, a tymczasem dodziera stary, po Olenie.

Wika otworzyła szeroko oczy, ani przez myśl jej nie przeszło, że taka mała dziewczynka jak Zosia (Hafija to po huculsku Zofia) może zarobić tyle pieniędzy. A Hafija powiedziała, że czeka na lato, bo w lecie można sprzedawać letnikom uzbierane w lesie po-

90

ziomki, maliny i grzyby, a teraz to „niczoho ne można zarobyty”.

Te bajeczne stroje widywane w cerkwi (ciocia Jadzia po namyśle oświadczyła, że msza według obrządku greckiego jest tak samo ważna jak rzymska i że wobec tego nie będą jeździć do kościoła do Delatyna albo Jaremcza, bo Wika mogłaby się przeziębć) długo nie dawały dziewczynce spokoju. Więc jak to w końcu jest z tymi Hucułami, są bogaci czy biedni? Ciocia coś tam Wice tłumaczyła o ludowych zwyczajach, o przywią- zaniu do tradycji, o folklorze, ale widać dziewczynka była jeszcze za mała i nic nie mogła zrozumieć.

— Głuptas jesteś — rozgniewała się w końcu ciocia Jadzia. — Cała ich przyjemność, cała radość to te stroje. Nic nie mają: ani pracy, ani majątku, ani nawet swojej ojczyzny. Nic!

A widząc pytające spojrzenie Wiki, dodała:

— No tak, przecież to nie są Polacy. Sami o sobie mówią: „my tutejsi, Huculi”.

Ze sprawami narodowościowymi, z konfliktami polsko-ukraińskimi Wika zetknęła się kilka miesięcy później, latem. Pobyt zimą w Dorze okazał się zbawienny dla jej zagrożonych płuc i rodzice postanowili, że letnie wakacje dziewczynka też spędzi w górach.

W Dorze miał piękną willę pan Hołowiuk, malarz, znajomy rodziców. Sam zaproponował im wynajęcie pokojów, wygodniejszych i elegantszych niż izby u Bojków.

Wika z początku grymasiła, polubiła starego Lesia, Marusię i Hafiję, i wydawało się jej, że wakacje bez nich nie będą udane. Ale gdy dowiedziała się, że pan Hołowiuk ma córeczkę w jej wieku i starszego o trzy lata syna, z ochotą pojechała do willi „Mirośława”, nazwanej tak na cześć żony pana Hołowiuka.

Wyjeżdżano całym taborem ze służącą, garnkami.

92

pościelą, na bagaż nadano dwa ogromne kosze, ciocia Jadzia lamentowała, że z pewnością połowy rzeczy zapomniano zapakować.

Wika nie interesowała się przygotowaniami, chciała jak najprędzej być w Dorze, obiecywała sobie cuda po tych wakacjach, bo przecież doktor powiedział, że jest już zdrowa, więc z pewnością będzie mogła się kąpać w Kamionce, chodzić nad Prut, a może na-- wet zrobić wycieczkę na Makowicę i Syniaczkę.

Drewniana willa pana Hołowiuka stała na wzgórzu i miała rozległe werandy. W pokojach na górze nie było pieców, co niesłychanie dziwiło Wikę, ale wyjaśniono jej, że te pokoje są używane tylko latem.

Z tego powodu był kłopot z gotowaniem, służąca państwa Hołowiuków nie mogła zgodzić się z przywiezioną ze Lwowa Olgą (choć Olga była Ukrainką spod Stryja) i obie dziewczuchy

dzień w dzień obiecywały wydrapać sobie oczy, powyrywać kłaki i jeszcze gorsze rzeczy. Skończyło się na tym, że wstawiono na górę żelazną kuchenkę i Olga pomrukując i wydziwiając paliła w niej gałęziami.

Bohdan i Sławka okazali się całkiem znośni, Bohdan robił fenomenalne proce i ślicznie gwizdał, ale gardził „babami” i znikał gdzieś na całe dni. Sławka była spokojną, małomówną dziewczynką i Wika bardzo ją polubiła.

Wakacje przetaczały się leniwie w skwarze pięknej upalnej pogody, wśród zbierania poziomek, wypraw nad Kamionkę i wyjazdów do Jaremcza, do miejscowej cukierni. Wika uwielbiała te wyjazdy, choć zatruł je obrzydliwy doktor Goliński, który kategorycznie zabraniał jadań lodów! Za to Wika dostawała podwójną porcję ciastek i wolno jej było w pociągu stać przy oknie i krzyczeć na całe gardło przed odjazdem: „Hules, Hules”!

93

Co oznaczał ten okrzyk i dlaczego na całej linii kolejowej począwszy od Delatyna, a skończywszy na Worochcie, wszyscy w pociągu i na peronie wzywali tajemniczego Hulesa — Wika nie miała pojęcia, a kiedy wreszcie po wielu latach dowiedziała się, co oznaczały dziwne okrzyki, nie miało to już żadnego znaczenia.

I wszystko byłoby dobrze aż do końca, gdyby, nie fakt, że Wika przemoczyła nogi skacząc po kamieniach nad Prutem, że zanim doszły do domu, bardzo pochłódniało i że wszystko skończyło się przeziębieniem.

Ciocia Jadzia wpakowała dziewczynkę do łóżka, dała jej na „poty” i nie pozwoliła wstawać przez cały tydzień. Ponieważ Wika okropnie marudziła (jak tu nie marudzić, chorując podczas wakacji!), ciocia czytała jej na głos książki. Któregoś dnia wyczerpała cały zapas lektur i miała pod ręką tylko pierwszy tom „Ogniem i mieczem”. Zaczęła czytać, niepewna, czy Wika zrozumie taką „dorosłą” książkę, ale okazało się, że Wika nie tylko zrozumiała, ale zupełnie oszalała na punkcie Skrzetuskiego, Heleny i Zagłoby.

Po południu wpadli z wizytą Sławka i Bohdan. Wika, chcąc im sprawić przyjemność, odczytała na głos większy fragment opisu bitwy pod Żółtymi Wodami, akcentując z przejściem co dosadnie jsze epitety, jakimi autor obrzucił Kozaków i Chmielnickiego. Sławka jak Sławka, słuchała w milczeniu, ale Bohdan w pewnej chwili zerwał się i wybiegł z pokoju jak oparzony, w dodatku trzasnąwszy drzwiami. Ponieważ Bohdan był pędziwiatrem i zawsze robił nie to, co należało, Wika na razie nie zwróciła uwagi na jego zachowanie.

Dopiero wieczorem...

Bohdan uchylił drzwi, wrzucił do pokoju jakiś papier i uciekł.

Na kartce wyrwanej z rysunkowego bloku Wika zo~

94

baczyła dość udatne postacie żołnierzy, konie, armaty, sztandary. Wszystko to kłębiło się w strasznym ścisku, ponieważ malarz był realistą i chciał przedstawić bitwę z całą skrupulatnością. Wika w pierwszej chwili nie bardzo rozumiała, o co chodzi, dopiero podpis pod obrazkiem wyjaśnił wszystko.

Bohdan napisał po polsku: Polacy uciekają przed Kozakami, a niżej po ukraińsku: Haj żywe Ukraina, a Polska naj zhyne!

Ciocia Jadzia wróciwszy z Jaremcza, dokąd jeździła po owoce i lekarstwo dla Wiki, zastała siostrzenicę rozgorączkowaną, spłakaną, półprzytomną z oburzenia i obrazy.

— Ciociu — mówiła drżącym głosem Wika — on jest podły! Jak on mógł! On... obraził Polskę i mnie, i ciebie...

Ciocia Jadzia długo wpatrywała się w rysunek, wreszcie powiedziała cicho:

— Bohdan jest Ukraińcem, nie wiedziałaś o tym? Chmielnicki to ich bohater narodowy, tak jak dla ciebie Kościuszko...

Oczywiście, że Wika wiedziała, państwo Hołowiu-kowie między sobą mówili po ukraińsku, prenumerowali „Narodne Diło” i nie chodzili do kościoła, tylko do cerkwi Świętego Jura. Ale

mama też chodziła do Jura, zwłaszcza w Wielkim Tygodniu, i nie tylko ona. Wielu muzycznych ludzi zachwycało się chórem grecko-katolickich kleryków i chodziło do cerkwi jak na koncert. U państwa Hołowiuków bywali Polacy, mama bardzo lubiła panią Mirosławę, a pan Hołowiuk namalował piękny portret mamusi...

Ukraińcami byli również ukochana służąca Olga i dozorca kamienicy Hrabaj, i nauczycielka muzyki, panna Oleńczuk. Czy oni wszyscy nienawidzili Polski? Polaków? I jej, Wiki?!

95

Cudowny, najukochańszy Sienkiewicz zmałował spokojny świat, zmusił do zadawania trudnych pytań, sprawił, że ludzie okazali się bardzo skomplikowani, że podział na dobrych i złych przestał wystarczać. I w końcu nie wiadomo było, komu przyznać rację — Sienkiewiczowi czy Bohdanowi. Czy Chmielnicki był bohaterem, czy krwawym zbirzem?

Później, podczas okupacji, wszystko pogmatwało się jeszcze bardziej. Pan Hołowiuk współpracował z Niemcami, malował afisze propagandowe, rodzinę wysłał do Berlina i dzieci posłał do niemieckiej szkoły. Dobry malarz okazał się kiepskim politykiem, uwierzył, że współpraca z hitlerowcami okaże się korzystna dla Ukrainy. Pannę Oleńczuk aresztowało Gestapo za ukrywanie polskiego oficera, a Olga, ukochana Olga, okradła całe pozostawione jej pieczy mieszkanie rodziców Wiki. Syn dozorca Hrabaja wjechał do Krakowa na czołgu z czerwoną gwiazdą. Razem z radzieckimi żołnierzami wszedł między zbiedzony, wynędzniały tłum i tłumaczył, że teraz już koniec mąk, że wszystko będzie dobrze. Mama, stojąca gdzieś między ludźmi, poznała go. Nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć, bo przecież Hrabaj był Ukraińcem i przed wojną dostał wyrok za udział w antypolskiej manifestacji. Ale on ją dostrzegł, podbiegł i zawołał po rosyjsku:

— Zdrastwujtie, barynia, wot kakij słuczaj! — i dodał po polsku: — dobrze, że pani przeżyła. A co z panem doktorem, co z Wiką?

Kilka lat później Wika dowiedziała się, że Hrabaj wkrótce po tym spotkaniu zginął przy forsowaniu Odry, a państwo Hołowiukowie ze Sławką wyjechali do Ameryki, ale bez Bohdana. Został zabity odłamkiem bomby podczas oblężenia Berlina.

96

Pani Wiktoria krząta się po kuchni, wyjmując ze spizarki i lodówki prowianty potrzebne do przygotowania obiadu, nastawia zupę, obiera jarzyny, żyłuje mięso i wszystko to robi machinalnie, nie poświęcając swoim zajęciom ani odrobiny uwagi. Przez cały czas myśli, myśli intensywnie o przeszłości, o dawno minionych latach i każde wspomnienie w jakiś sposób łączy się z Frankiem. Czuje wzbierający lęk, z rozdygotanych palców raz po raz wylatuje z brzękiem to nóż, to widelec, to pokrywka. Gdy wreszcie drżące ręce nie mogą utrzymać szklanki i trzeba wziąć zmiotkę, śmietniczkę i uprzątnąć skorupy, pani Wiktoria otrząsa się i nakazuje sobie spokój. No więc jeśli choroba, nawet ciężka choroba? Trudno, losu nie da się odwrócić.

Nie on jeden, nie on pierwszy. Nie można opuszczać rąk i wpadać w panikę. Franek nie jest stary, ma silny, odporny organizm, będzie się leczył, odpocznie, zacznie się szanować, może nareszcie przestanie myśleć tylko o pracy, zawsze o pracy...

Pani Wiktoria zmieliła mięso na sznycle, dodała bułkę, jajko, sięgnęła po sól. A niech to diabli! W zamyśleniu pomyliła puszki stojące w kredensie, sypnęła do mięsa pełną łyżeczkę cukru! Dobrze, że zauważyła pomyłkę przed wymieszaniem, jeszcze nic strasznego się nie stało, można zebrać górną warstwę i wyrzucić. Odstawiła miskę z miazgą mięsną, sznycle usmaży przed samym obiadem. Sięgnęła po koszyk z ziemniakami, przez chwilę szukała ulubionego, ostrego noża.

...a jeśli Franek?... Co poczną bez niego? Co ona zrobi, jak sobie poradzi z trojgiem dzieci? I czy to w ogóle byłoby możliwe... Życie bez Franka? Nie, nie, nie trzeba dopuszczać do siebie tych myśli, niepotrzebnie się denerwuje, niepotrzebnie martwi na zapas.

Może Franek niedługo wróci, otworzy drzwi z trzaskiem i zawoła:



— Wikta, dawaj jeść, bo padam z głodu!

Tak przecież było zawsze, od samego ślubu, Franek wracał o różnych porach, zmordowany i od progu wołał o jedzenie. Tylko przed urodzeniem Michała, kiedy Wika jeszcze pracowała, chodzili na obiady do stołówki. Ale już wtedy Franek krzywił się i mruzczał, że nie po to wziął sobie kobietę, żeby wyłamywać zęby na stołówkowym mięsie. I koniecznie, ale to koniecznie żądał, by gotowała w domu kolację.

Mieszkali wtedy na Karłowicach, w dużej piętrowej willi z ogrodem. Od frontu po ścianie domu pięły się róże, z tyłu rosła ogromna płacząca wierzba o wiotkich cienkich gałązkach, które spływając aż do ziemi tworzyły zielony, szemrzący namiot. Pod drzewem stała ławeczka.

Ich pokój, wynajęty za psi grosz, mieścił się w suterenie, po drugiej stronie korytarza znajdowała się po prostu piwnica z piecem centralnego ogrzewania i hałdami koksu. Czynsz za pokój dlatego był niski, że odrabiali go częściowo w naturze, do ich obowiązków należało czyszczenie pieca, wybieranie popiołu i dokładanie koksu.

Wika nie umiała gotować, jej wiedza o sprawach kuchni była bardzo uboga, potrafiła usmażyć jajecznicę, placki kartoflane, kotlety, ugotować zupę. Przed wojną w domu była kucharka, podczas wojny gospodarstwem zajmowała się ciotka. Mama nie pozwalała Wice zaglądać do kuchni.

— Ucz się! — strofowała — to ważniejsze niż pich-cenie.

I Wika uczyła się. W czterdziestym pierwszym skończyła sześcioklasową szkołę powszechną i zaczęła uczęszczać na tajne komplety, na których przerabiano program gimnazjalny. Bo polskie gimnazja były zamknięte, Niemcy uważali, że Polakom nauka nie po-

trzebna. Więc Wika uczyła się, z tym większym zapałem, czytała masy książek, mama dawała jej lekcje francuskiego, wujek angielskiego. No i póki w domu był fortepian, uczyła się muzyki. Na zaglądanie do kuchni naprawdę nie starczało czasu.

W ileś lat później Wika wypłakiwała sobie oczy nad zasmażką, która zamiast połączyć się z wodą w gładką masę, miała pełno grudek i nie roztartych kluch. A Franek kpił z niej na potęgę, dokuczał, wyśmiewał się, aż kiedyś powiedział zupełnie poważnie:

— Kobieta, która nie umie gotować, to pół kobiety. Złościła się wtedy, gniewała, miała żal do Franka,

że nie ceni jej inteligencji, zdolności, jej świetnych wyników w pracy.

— Trzeba się było ożenić z kucharką! — rzuciła kiedyś brutalnie.

Pomału, pomalutku opanowała jednak tajniki kuchni i kiedyś nawet wystąpiła z potrawą własnego pomysłu, która zachwyciła męża. Co prawda nie było czym się zachwycać, wynalazek był rezultatem pustej przed pierwszym kieszzeni, ale Franek bardzo chwalił sos musztardowy do knedli ziemniaczanych i często domagał się powtórzenia tej potrawy.

„A jeśli z Frankiem jest naprawdę źle? — myśli pani Wiktoria — jeśli powinien pójść na rentę? Przecież renta nie starczy na taki dom, Michał dopiero za dwa lata zda maturę, a Małgosia, a Hania?...”

Do piekącego niepokoju przyłącza się coś jakby leciutkie uczucie niechęci. Pani Wiktoria nigdy nie mogła przeboleć porzucenia pracy, na uniwersytecie przyszłość zapowiadała się tak pięknie...

„... mama miała rację, powinnam była przyjąć asystenturę, pracować, zdobyć stanowisko, samodzielność, dziś może byłabym już docentem.

Franek mógł przenieść się do Krakowa, zamiast

trzymać się Wrocławia jak pijany płotu, tam też dostałby pracę. Matka nigdy nie darowała tego zięciowi, uważała, że on ponosi odpowiedzialność za to, co się stało. Śmieszne, ja sama zdecydowałam o swojej przyszłości i jeśli mogę mieć do kogoś żal, to tylko do siebie". Matka Wiki nie lubiła Franka, okazywała mu swoją niechęć wprost, bez ogródek. Ale motywy tej niechęci były dla córki tak absurdalne!

— Zero, chłop ze wsi, bez wykształcenia, bez ogłady! — mówiła. — Po to kształciliśmy cię, uczyli języków, gry na fortepianie, żebyś teraz prała takiemu prostakowi niewymowne?! (Matka zawsze bardzo uważała na „wyrażanie się", przez usta nie przeszłoby jej słowo „kalesony"). Nie mógł to się ożenić z dziewczyną ze wsi, musiał szukać panienki z dobrego domu? A twoja przyszłość? Chcesz zamienić pióro na balię, salę wykładową na kuchnię, chcesz prac pieluchy zamiast pisać rozprawy naukowe?

Wika poznała Franka w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. Przyjechała z wycieczką z uczelni na Wystawę Ziem Odzyskanych i od razu odłączyła się od grupy. Nie cierpiała łażenia w stadzie, wołała samotność. Oglądała wystawione maszyny, stała długo przy modelu kopalni, gdzie specjalne urządzenia demonstrowały codzienny urobek węgla, snuła się po korytarzach ogromnej Hali Ludowej, przyglądając się niechętnym, krytycznym okiem panoramie bitwy na Psim Polu, namalowanej bez talentu i polotu, zachwyciła się rzeźbami Robotnika i Robotnicy, dłuta Dunikowskiego, wreszcie poczuła głód.

Sprawa była prosta, wszędzie rozmieszczono prowizoryczne bufety pod gołym niebem i sprzedawano parówki z musztardą, bigos, barszcz i herbatę. Przepchnęła się do lady, zapłaciła, wzięła papierową tackę

100

z porcją parówek i zaczęła ostrożnie wycofywać się z tłumu, by gdzieś przysiąść i spokojnie zjeść.

Nagle tłum zafalował, ktoś popchnął Wikę, ktoś potracił jej rękę i cała zawartość tacki wylądowała na barczystych męskich plecach, odzianych w odświętną, ciemną marynarkę. — Ach, jej — przeraziła się Wika. — Strasznie przepraszam, trzeba to oczyścić, bo będzie plama.

Poszkodowany obejrzał się. Wika zobaczyła miłą, opaloną twarz z jasnym, rozwichrzonym czubem nad czołem, mnóstwo białych zębów wyszczerzonych w uśmiechu, a pod okrągłą brodą z zabawnym dołkiem węzeł przeraźliwie jaskrawego krawata.

„Co za gust!" — pomyślała rozbawiona.

Mężczyzna zaczął coś mówić, ale ledwo otworzył usta, między niego a Wikę wbiła się klinem wycieczka górników w paradnych strojach, kilkunastu zgłodniałych chłopaków rozdzieliło ich, rozniosło w przeciwne strony.

Zniechęcona Wika kupiła u sprzedawczyni w białym fartuchu dwa precle i przysiadła na słupku, gryząc ze smakiem ciasto posypane makiem i solą, które przypominało jej najwcześniejsze dzieciństwo. Ale tamte precle kupowane na Wałach Hetmańskich były znacznie smaczniejsze.

Zamierzała właśnie przejść mostem przerzuconym nad ruchliwą ulicą na drugą część terenów wystawowych, gdy nagle muzyka z głośników umilkła i rozległ się donośny głos spikera:

„Uwaga, uwaga, pan w granatowym ubraniu splamionym musztardą przez panią w niebieskim żakiecie — czeka pod Iglicą. Powtarzam, pani w niebieskim żakiecie jest proszona pod Iglicę."

Wika nie miała wątpliwości, że chodzi o nią. To ona przykleiła tackę z musztardą do pleców odzianych

■

101

w granatowy tenis i ona nosiła niebieski żakietik przerobiony z letniego płaszcza mamy.

Co robić? Iść czy nie iść? Może nieznajomy chce jej nawymyślać? A może każe sobie zapłacić za czyszczenie ubrania? Sięgnęła w popłochu do torebki, miała przy sobie niewielką sumę, bilet powrotny był opłacony z góry.

Nie, ten chłopak nie wyglądał na awanturnika, miał wesołą, szczerą twarz i miły uśmiech. Wstała ze słupka, strzepnęła okruchy ze spódnicy i przepychając się przez tłumy zwiedzających, poszła w kierunku Iglicy. Dlaczego? Po co? Ba, żeby to ona wiedziała! Coś niezrozumiałego, coś silniejszego od rozsądku pchnęło ją tam, gdzie czekał wesoły chłopak w granatowym ubraniu i okropnym krawacie. Zobaczyła go z daleka, rozglądał się na wszystkie strony, wspinał na palce, choć natura nie poskapiła mu wzrostu. Szukał jej, a gdy podeszła, wcale nie było mowy o splamionej marynarce. Chłopak powiedział po prostu:

— Czy... czy nie poszłaby pani ze mną na kawę? Pani mi się strasznie podoba.

Poszła z nim na kawę, piła mężnie straszliwą lurę, udawała, że nie czuje kwaśnego odoru piwa, że nie widzi brudnej, zaśmieconej podłogi, zataczających się mężczyzn i całej tej nędzy, udającej bez powodzenia wielkomięjski komfort i elegancję.

Przyzwyczajonej do przytulnych kawiarenek, do owianych tradycją lokali nie zniszczonego od wieków Krakowa ta prowizorka, ta improwizacja wydawała się straszna. Ale już po chwili zapomniała o tym. Chłopiec był rzeczywiście bardzo miły i zupełnie inny niż ci, których znała dotąd. Nic nie wiedział o Gałczyńskim i Norwidzie, mówił zabawną gwarą, w której rozpoznała wpływy wschodnie i zachodnie (w naszej brygadzie pracuje wielu lwowiaków, wie pani? Oni coraz

102

mówią „ta joj” — wyjaśnił), ale znał się na sprawach, o których ona nie miała pojęcia.

Opowiadał z przejęciem i dumą o zabezpieczaniu zabytków, o walce z szabrownikami, o swojej pracy, o planach na przyszłość.

— Wszystko zawdzięczam Olczakowi i naszej władzy — powiedział — gdyby nie oni, do dziś siedziałbym w Mostowicach na trzech morgach i klepał biedę. Skończyłem szkołę, niedługo zdam egzamin czeladniczy, majster bardzo mnie chwali — zakończył z dziecinną dumą.

Wika pomyślała, że ciotka, wuj i matka pomdleliby z przerażenia widząc, z kim spędza czas przeznaczony na zwiedzanie wystawy. Nagle poczuła, że coś ją ciągnie do tego młodego, świeżego chłopca, że wydaje się jej ciekawszy niż własna rodzina.

„Potrafią tylko narzekać, wspominać »dawne, dobre czasy« i czekać na trzecią wojnę!” — pomyślała z gniewem.

— Tu niedaleko jest piękny park — powiedział nieśmiało chłopak — zapuszczony, ale piękny.

Poszli. Włóczyli się po zarośniętych trawą alejkach aż do zmroku i patrzyli na siebie. Mówili mało. Dopiero gdy Wika spojrzała na zegarek i przeraziła się, że nie zdąży na pociąg, chłopiec stał się rozmowniejszy.

— Pani znowu przyjedzie do Wrocławia? Kiedy pani przyjedzie? Ja... ja muszę panią zobaczyć. Proszę mi dać swój adres, może uda mi się wpaść do Krakowa. Ja... ja chcę się z panią ożenić!

Roześmiała się. Propozycja małżeństwa wydała się jej śmieszna, głupia, nie do przyjęcia.

Była przecież wychowana w przekonaniu, że małżeństwo zawiera się ! po dłuższym narzeczeństwie, za zgodą rodziców. Gdyby mama to słyszała...

Jednak, dała mu swój adres, zanotowała ulicę i

104cf

numer domu, w którym on mieszkał, obiecała, że napisze. Klusem pobiegli do tramwaju.

Wika zdążyła w ostatniej chwili.

Pociąg już ruszał, gdy Franek krzyknął na cały dworzec:

— Wyjdiesz za mnie?

Wyszła za niego. Mimo awantur i łez matki, mimo perswazji ciotki Marty i sarkastycznych uwag wuja. Ale dopiero w cztery lata po spotkaniu pod Iglicą.

Pani Wiktoria wypluła obrane ziemniaki, przykryła gaz pod cicho bulgocącą zupą, umyła ręce i poszła do pokoju, Jakby to było najzupełniej oczywiste, bez namysłu podeszła do komódki i wyjęła z szuflady małą drewnianą szkatułkę. Przechowywała w niej różne drobiazgi, pamiątki z lat szkolnych i uniwersyteckich oraz kilkanaście listów od Franka. Z rozrzewnieniem przerzuciła gęsto zapisane kartki, często po prostu wyrwane z zeszytu. Patykowatym, niewyrobnym pismem Franek donosił jej o samych zwyczajnych sprawach. O uczuciach, o planach małżeńskich nie pisał nigdy, ale wynikały one same przez się z drobiazgowych opisów jego życia i spraw.

Donosił na przykład, że wyprowadził się z mieszkania, które zajmował wspólnie z trzema kolegami, i ma teraz „elegancki pokój w willi z ogrodem jak jaki burżuj”. Albo że kupił dwie kołdry „prawdziwe wełniane, nienowe, ale w bardzo dobrym stanie”. Że awansował w pracy i niedługo złoży egzamin czeladniczy. Że zapisał się do wieczorowej szkoły dla pracujących i jak dobrze pójdzie, za dwa lata powinien skończyć gimnazjum.

Wika odpisywała rzadko i krótko, przeważnie wysyłała pocztówki z pozdrowieniami z wakacji lub wy-

103

cieczek, życzenia świąteczne, noworoczne, imieninowe. Początkowo nie myślała serio o Franku, nie brała poważnie jego oświadczeń. Nie dlatego, że był chłopskim synem, że we Wrocławiu pracował jako murarz. Jego pochodzenie, jego zawód nie przeszkadzały jej, była w tym okresie gorliwą wyznawczynią nowych zasad, nowych prądów i w swej żarliwości uważała, że należy czynem potwierdzać swoje poglądy. Małżeństwo inteligentki z robotnikiem, córki doktora z synem wieśniaka mogło być ukoronowaniem teorii głoszonych przez nią z nie słabnącym entuzjazmem: że nie ma żadnych różnic między ludźmi, że przedziały klasowe są bzdurą i przeżytkiem, że liczy się tylko charakter, inteligencja, poziom umysłowy...

Otóż to, tu leżał pies pogrzebany! Gdy ona była studentką trzeciego roku polonistyki, Franek zapisał się do gimnazjum. Gdy ona pisała pracę seminaryjną o Fryczu H. Modrzewskim i polskiej literaturze politycznej XVI wieku, Franek z trudem i oporami (o czym skrupulatnie donosił) przegryzał się przez „Lalkę” Prusa i „Nad Niemnem” Orzeszkowej.

Gdy Wika pasjonowała się życiem intelektualnym, muzycznym i artystycznym kraju, Franek opisywał z zachwytem jakiś bzdurny film lub chwalił się, że nabył okazji makatkę na ścianę z wyhaftowanym „prawdziwym” łabędziem i girlandą róż oraz niezapominajek.

— Puknij się w czoło! — powiedziała Wanda, której Wika jako najlepszej przyjaciółce zwierzyła się z tej dziwnej, śmiesznej miłości — ty i czeladnik murarski!

— Majster — poprawiła cicho Wika, bowiem przed paroma tygodniami odebrała list, w którym Franek donosił o zdanym pomyślnie egzaminie mistrzowskim.

— Więc majster, co za różnica! — fuknęła Wanda. — Dziewczyno, opanuj się, bądź poważna! Za rok

106

robisz magisterium, stary na pewno zaproponuje ci temat pracy doktorskiej, dostaniesz stypendium, asystenturę masz już w kieszeni.

— Mogłabym przenieść się na uniwersytet wrocławski — wtrąciła nieśmiało Wika.

— Nie o to chodzi! Małżeństwo to nie tylko miłość, kwiatki, słowiki i te rzeczy. O czym będziecie rozmawiać ty i twój majster? O normach, o trójkach murarskich, o nowej metodzie tynkowania? Jeśli dwoje ludzi nie ma wspólnych tematów do rozmowy, nie powinni łączyć się na całe życie. Idiotko! — krzyknęła z nagłą irytacją. — Jesteś najzdolniejszą studentką na roku, masz przed sobą przyszłość, możesz pracować naukowo albo zostać krytykiem, redaktorem, wydawcą... Wybij sobie z głowy tego prostaczka. Nie przeczę, jest fajny, podoba

mi się z tego, co o nim opowiadasz, ale po pierwsze: miłość ci nakłada różowe okulary, a po drugie: na świecie jest tysiące fajnych chłopców, niekoniecznie murarzy!

— Kiedy... kiedy ja go chyba Kocham! — wyznała z determinacją Wika.

Wanda wzruszyła ramionami. Z tą idiotką nie sposób się dogadać. Mniej więcej tak samo wyglądała rozmowa z matką, te same argumenty wysuwała ciotka.

— Różnica poziomów, brak wychowania, kultury, ogłady może zabić największe uczucie.

— On się podciągnie, on sobie z tego zdaje sprawę, przecież dlatego kończy gimnazjum, chce pójść na politechnikę, zostać inżynierem — odparła Wika.

— Co to za nauka, co to za gimnazjum, dwie klasy zrobił w ciągu roku! — lamentowała matka. — Po łebkach, byle jak, tylko dla papierka... dziękuję za taką naukę. Zresztą są pewne sprawy, których nie można nauczyć się z książek, sama twierdzisz, że ma okropny gust, nie umie się ubrać, zachować, znaleźć... Wystar-

10T

czy popatrzeć na te straszliwe bohomyzy, na których wypisuje życzenia świąteczne albo imieninowe, to samo już dostatecznie świadczy o jego poziomie!

— Nauczę go wszystkiego.

— A te braki ogólne? Przecież on nie ma pojęcia o literaturze, sztuce, muzyce, nie zna języków...

— Kocha mnie. To najważniejsze.

Pani Wiktoria ułożyła starannie listy w szkatułce, przekręciła kluczyk. Tak, w rezultacie to okazało się najważniejsze. Pokonała wszelkie przeszkody, zrezygnowała z doktoratu, wobec niemożności zaczepienia się na uniwersytecie wrocławskim wzięła pierwszą lepszą pracę, kierownictwo biblioteki.

Ani matka, ani wujostwo nie byli na jej ślubie („Rób, co chcesz, jesteś pełnoletnia, ale nie wymagaj ode mnie, żebym na to patrzyła!"), który odbył się w Mostowicach, tylko ciocia Jadzia przyjechała aż ze Szczecina, gdzie ją zaniósł wojenna zawieruchami ona jedna pochwaliła decyzję i wybór siostrzenicy.

— Człowiek, Wikuniu, człowiek jest najważniejszy — powiedziała — a twój Franek wygląda mi na porządnego chłopca.

Pani Wiktoria sięgnęła w głąb szuflady, wyjęła album oprawny w szare płótno, przerzuciła kilka kartek.

Zdjęcia ślubne robił małomiasteczkowy fotograf, były sztywne, nienaturalne, wyglądali na nich oboje jak wystraszeni. Lepiej wypadły amatorskie fotografie robione przed domem rodziców Franka.

...był lipiec, upał, w ciasnych izbach nie mieścili się weselni goście, stoły wyniesiono do sadu, pod drzewa, wczesne papierówki spadały między talerze, pachniało miodem, kurzem i lipami.

Matka Franka szcuzu-

108

pła, przygarbiona kobiecina przyglądała się synowej z nabożnym podziwem, gładziła ją po włosach, po ramieniu, potem przenosiła wzrok pełen dumy i miłości na syna.

Wika nie miała ślubnej sukni, nie stać ich było na taki wydatek, włożyła niebieski kostiumik i białą bluzkę, chciała iść do kościoła z gołą głową. Teściowa oburzyła się.

— Jakże to tak, bez welonu, bez wianeczka? Zakrzętnęła się żywo, z baniastej okutej żelazem

skrzyni wyjęła kawałek gęsto zahaftowanego tiulu, upięła go zręcznie na ciemnych włosach synowej, z doniczki stojącej na oknie uszczknęła najbujniejsze gałązki mirtu i uplotła wianuszek.

Wtedy dopiero Wika zapłakała.

Franek rzucił się uspokajać, coś tam bezradnie tłumaczył, przekładał, nic nie pomogło, narzeczona szlochała coraz głośniejsze, coraz rozpaczliwiej. Matka odsunęła go, objęła płaczącą, powiedziała głośno, surowo:

— Bez płaczu nie ma wesela. I dodała ciszej, tylko do Wiki:

— Wnuczka obaczy, gniew minie. Toć to matka rodzona... nie potrafi wytrwać w zawziętości. Tylko się postarajcie, żebym jeszcze i ja Frankowi synusia po-kolebała, żebym zdążyła...

Nie zdążyła, umarła w rok po ślubie syna.

Pani Wiktoria wpatruje się w trzymane w rękę zdjęcie. Długi stół, na honorowym miejscu ona z mężem, obok rodzice Franka, brat Jasiek z żoną, stary siwy proboszcz, ciocia Jadzia, sąsiedzi, znajomi, kilkanaście osób, których imiona wymazał z pamięci czas. Tylko jednej twarzy brak, tej najważniejszej, ukochanej...

109

Jak to możliwe, że zdobyła się wówczas na takie bezwzględne okrucieństwo, że odrzuciła miłość, przywiązanie, obowiązki i poszła z mężczyzną, nie mając wcale pewności, czy będzie wart jej ofiary?

Teściowa miała rację, matka przyjechała na chrzciny Michała, pogodziła się z córką i zięciem, ale czy zapomniała?

„A ja, głupia, mam żal do moich dzieci, że okazują mi za mało serca, że ukrywają przede mną swoje sprawy, że ciągnie je bardziej do kolegów, do koleżanek niż do matki i ojca... A ja... co ja zrobiłam? A Franek? Też nie lepszy! Zostawił starych rodziców, bo mu się spodobało miasto, ruch, odbudowa. Załatwił taką ważną sprawę krótkim listem. Przyjeżdżał do domu rzadko, w ciągu tych siedmiu lat odwiedził rodziców trzy lub cztery razy. Nie miał czasu, pracował, uczył się, a gdy poznał mnie, każdy wolny dzień spędzał w Krakowie. Dopiero po ślubie zaczęliśmy jeździć do Mostowic na urlopy, potem i to się urwało. W domu został tylko Jasiek, gospodarował, dokupił gruntu, postawił nowy dom...

Gdyby Małgosia albo Michał mieli kiedyś tak postąpić jak ja...”

Jak łatwo, jak strasznie łatwo zapomina człowiek dorosły o własnej młodości i dzieciństwie!

Pamięta się rzeczy nieważne, błahe, otrzymane prezenty, kolory sukienek, smak niedzielnej leguminy, szkolne sukcesy i klęski, imiona przyjaciółek, nazwiska nauczycieli.

Zapomina się o własnych błędach, o stosunku do rodziców, o walkach i rozterkach, o starciach młodości z doświadczeniem, rozważą i niepokojem dorosłych.

A potem historia się powtarza. Już się nie jest młodym, ma się rozwagę, doświadczenie i przeżywa się rozterki i niepokoje patrząc na nierozumną młodość własnych dzieci.

110

„Czy ja byłam taka sama jak Małgosia, jak Hania, jak Michał? Ach nie, my byliśmy zupełnie inni, czas, okoliczności warunkowały naszą odmienność”.

...Wika, Wikunia, pieszczona, chorowita jedynaczka. Zamożny dom, obszerne, ciche pokoje, żadnych kłopotów materialnych, piękne sukienki, zabawki, książki.

Ojciec, wzięty i szanowany lekarz, matka zapewniająca pusty czas wizytami, muzyką i tak zwaną „dobroczyńnością”.

Wika ma nauczycielki języków i muzyki, wyjeżdża na wakacje nad morze lub w góry, ma kochających, zamożnych rodziców, którzy chcą i mogą spełnić każdą zachciankę córki, każdy jej kaprys. Ale Wika nie ma kaprysów.

Jest grzeczną, posłuszną dziewczynką, dobrą uczennicą, zdolnym, rokującym nadzieje dzieckiem. Rodzice nie mają z nią kłopotów, jedyne zmartwienie to słabe zdrowie córeczki, ciężkie, przewlekłe zapalenia płuc i komplikacje. Ale Wika nie jest temu winna.

I nagle — wojna!

Znany, uporządkowany, piękny świat wali się w gruzy. I trzeba to zrozumieć, trzeba sobie z tym poradzić, trzeba to przeżyć.

Latem trzydziestego dziewiątego roku Wika pojechała z mamą do Zakopanego, zamieszkały w pensjonacie „Giewont”. Wika wcale nie zwracała uwagi na przygnębione lub podniecone twarze dorosłych, na namiętne dyskusje toczone na Krupówkach, w cukierni, przy stole. Obijały się jej o uszy dziwne, niezrozumiałe wyrazy, takie jak: Anschluss, faszyzm, pakt nieagresji, nazwiska: Hitler, Beck, Chamberlain, ale znacznie ważniejsze były inne słowa — wigwam, skwaw, blada twarz, fajka pokoju. Bo Wika znalazła

111

sobie świetne towarzystwo i wszyscy razem, chłopcy i dziewczęta, zamienili przyległy do pensjonatowego ogrodu las w obóz indiański. Wika była żoną wodza i nazywała się „Błękitna Niezapominajka” (jakby istniały czerwone czy żółte!)

Pod koniec sierpnia dorośli zaczęli przejawiać niezrozumiałe zdenerwowanie, kilka rodzin wyjechało przed czasem, matka Wiki kilkakrotnie telefonowała do domu, do męża. Widać uspokoił ją, bo mama kazała pokojówce wynieść przygotowane do pakowania walizy i nawet mówiła do znajomych: — Mój mąż twierdzi, że wojny nie będzie. A jednak tatuś, ten nieomylny tatuś, który zawsze wszystko wiedział najlepiej, tym razem omylił się. Ogłoszono mobilizację, wśród letników powstała panika, przepelnione pociągi oblegane były przez tłumy ludzi, walczących o każdy skrawek wolnego miejsca.

Matce Wiki do spółki z pewną znajomą panią udało się wynająć taksówkę. Wyjechały trzydziestego pierwszego sierpnia i zatrzymały w Krakowie u wujostwa, bo Wika podczas długiej drogi oczywiście przeziębiła się i wieczorem miała 37,5. Nazajutrz spadły na Kraków pierwsze bomby i skończyło się szczęśliwe dzieciństwo

Wiki.

Zamieszkały z matką u wujostwa w obszernym, ale ciemnym i zagraconym mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej. Wujek, który był dyrektorem gimnazjum, z dnia na dzień stracił pracę i zaczął się w małej, prywatnej fabryczce wody sodowej (istnienie małych wytwórni Niemcy tolerowali), mama sprzedawała biżuterię, a gdy sprzedała ostatnią cenną rzecz, jaką posiadała, zaczęły do spółki z ciotką Martą piec ciastka i dostarczać je do okolicznych sklepików.

O ojcu długo nie było nic wiadomo, wreszcie ktoś,

112

kto przeszedł „zieloną granicę”, przyniósł tę okropną, tę najstraszliwszą wieść:

Ojciec zginął podczas ewakuacji szpitala, został zabity odłamkiem bomby konwojując rannych. Pochowano go we wspólnym grobie, w pobliżu miejsca, w którym padł.

Nie nosiły żałoby, zaledwie skromna opaska na rękawie świadczyła o stracie, jaką poniosły.

Nie miały wcale „normalnych” rzeczy, wyjechały na wakacje z walizkami pełnymi barwnych szmatek, puszystych swetrów i kolorowych parasolek.

Pierwsza wojenna zima upamiętniła się we wspomnieniach Wiki koszmarnym płaszczem, przerobionym nieumiejętnie przez matkę z przedpotopowego żakietu ozdobionego imitacją karakułów i wyrudziałą pasmanterią. Wika wyglądała w tym okryciu jak smutny, przydeptany grzybek...

Pani Wiktoria uśmiecha się niewesoło. Ileż to razy jej własne dzieci po obejrzeniu filmu z czasów okupacji lub przeczytaniu książki zasypywały ją tysiącem pytań. Jej odpowiedzi nie zadowalały ani Małgosi, ani tym bardziej Michała.

Nie było nic bohaterskiego, nic niezwykłego we wspomnieniach matki. Gdy opowiadała o braku pieniędzy, o chłodnych, nie opalanych pokojach, o plackach pieczonych na kuchennej blasze dla oszczędności oleju, o przerabianych dziesiątki razy sukniach, o swoistym okupacyjnym przemyśle, wyrabiającym płócienne pantofle na mocnej sznurkowej podeszwie (ciotka założyła całą wytwórnię, gdy choroba serca nie pozwoliła jej na wystawianie przy rozgrzanym piekarniku), o nauce w szkole, w której nie uczono ani geografii, ani historii Polski, a literaturę zastępowały idiotyczne czytanki z wydawanego przez okupanta czasopisma „Ster” — dzieci wrzuszały ramionami.

— Eee — krzywiły się — taka okupacja.. — i odchodziły rozczarowane.

Nawet pewną przygodę matki, której wspomnienie jeszcze do dziś wstrząsało ją dreszczem, zbyły śmiechem. Dla nich to nie znaczyło nic, dla niej bardzo wiele.

...był rok czterdziesty drugi, Wika po ukończeniu szkoły powszechnej zaczęła uczyć się na tajne komplety gimnazjalne. Nauka odbywała się w mieszkaniu jednego z profesorów, na Dębnikach.

W chłodny, listopadowy poranek Wika biegła szybko, podtrzymując skrzyżowanymi rękami książki i zeszyty, ukryte na piersiach pod płaszczem. Weszła na most i jak zwykle obróciła głowę, by spojrzeć na widoczny z tej strony masyw Wawelu, i jak zwykle, zacisnęła usta na widok flagi ze swastyką powiewającej nad siedzibą polskich królów.

Tam teraz mieszkał gubernator Hans Frank.

Szum rzeki i podmuchy jesiennego wiatru zagłuszyły kroki i gdy Wika oderwała wzrok od tamtego brzegu Wisły, zobaczyła tuż przed sobą, o kilka kroków zaledwie, trzy zwałiste postacie w hełmach zasłaniających oczy. Sztrajfa!

Przycisnęła mocniej dłonie w pocerowanych rękawiczkach do piersi i z przerażeniem stwierdziła, że jedna z książek wysunęła się i żółta okładka odbija wyraźnie od szarości zniszczonego płaszczyka. Niemiec też to zauważył, ujął dwoma palcami brzeg książki i pociągnął. Wika zmartwiała. To był podręcznik do łaciny, czarny tytuł „Litterae Romanae” był widoczny z daleka!

Przez głowę przeleciały jej wszystkie ostrzeżenia matki i wuja, straszliwe historie o aresztowaniach nauczycieli prowadzących tajne nauczanie i wreszcie świadomość lęku przed wszelkim bólem.

„Jeśli mnie będą bić — pomyślała — mogę nie wytrzymać, powiedzcie, dokąd idę, wydać panią Zabłocką i profesora Lichańskiego, i... wszystkich!”

Kątem oka spojrzała na balustradę mostu, na szarą, leniwą Wisłę.

„Tak, to jedyne wyjście...”

Niemiec wysunął książkę, przeczytał głośno tytuł i roześmiał się z zadowoleniem.

— Italienisch! — stwierdził — na, schon!

Odeszli powoli z twardym stukiem podkutych butów.

— A to dureń! — skomentował zdarzenie Michał. — Nie odróżnił łaciny od włoskiego.

Włosi byli sprzymierzeńcami Niemców, a Hitler przyjaźnił się z Musso-linim — błysnął erudycją.

Może rzeczywiście przygoda czternastoletniej Wiki nie była efektowna w porównaniu z bohaterstwem jej rówieśników przewożących broń, gazetki, narażających co dzień życie, może nic nie znaczyła. Ale pani Wiktoria nie zapomniała owego dreszczu nieodwołalnej decyzji, tego niedziecięcego postanowienia, błyskawicznego wyboru — umrzeć, żeby nie zdradzić! Uratowała ją ignorancja wroga.

To prawda, przeżyła okupację w biedzie, w nędzy nieledwie, lecz z daleka od bohaterskiej walki podziemia, od konspiracji. Oczywiście, wiedziała, że wujek jest przewodniczącym komisji maturalnych, że w mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej zbierają się panowie i dyskutują nad reformą szkolnictwa w odrodzonej \_ Polsce, że układają plany i biuletyny, że w nodze od tapczanu ciotka przechowuje gazetki, które potem ktoś zabiera i przekazuje dalej.

Ale w tym wszystkim nie było nic heroicznego; w każdym razie jej dzieci nie widziały heroizmu w tych poczynaniach, nie rozumiały, że w tamtych

czasach każde życie, nawet zwykłe i nieefektywne, co dzień ocierało się o śmierć.

Babcia... tak, babcia Seroczyńska była bliższa tych spraw. Babcia Seroczyńska, matka mamy, mieszkała na przedmieściu Bochni, a właściwie już za miastem. Dziadek, znany adwokat,



porzuciwszy praktykę kupił dom i kawałek gruntu i na starość bawił się ogrodnictwem i pszczelarstwem. Umarł po kilku latach na tężca, grzebiąc w ziemi skaleczoną ręką. Do babci jeździła Wika przez okres okupacji na święta i wakacje, czasami na niedzielę, przepełnionym pociągiem, zgnieciona w tłumie handlarzy, koszyków, tłu-moków i walizek. Babcia hodowała kury, miała krowę, duży ogród, pełen jarzyn, i sad, zdziczały po trosze, ale wciąż jeszcze rodzący smakowite papierówki, sztetyny i mali-nówki. Do Bochni Wika jeździła odżywić się, „odpaść”, jak mówiła babcia. Jakże smakowało dziewczynce białe, tłuste mleko po słodzonej sacharyną kawie Enrilo i namiastce herbaty wytwarzanej z karmelu i olejku rumowego do zapachu. Babacia sarkała z obrzydzeniem na te wymysły i rzucała na gorącą płytę kuchenną wąskie paski obierzyn z jabłek. Wysuszone i zaparzone wrzątkiem dawały napój o smaku sadu i dymu z ogniska.

— Jedz na zdrowie — mówiła babcia i podsuwała Wice kromki chleba, grubo smarowane masłem.

To masło wyrabiała służąca Antośka, stukając monotonnie drewnianą kierzanką i oblizując palce opryskane śmietaną. Masło było dziwnie białe i pienne, w niczym nie przypominało złocistych osełek owiniętych w liść chrzanu lub kapusty, kupowanych z rzadka na targu.

— Bo nasza Graniasta, ona nie jes maśiano — tłumaczyła Antośka — tak bywo. Jedno krowo jes ma-

117

ślano, a druga ni. Ale takiego syra jak od Graniastej to ze świcom sukać.

Wika lubiła przyglądać się pracy Antośki, lubiła słuchać jej dziwnej mowy. Antośka chowała dla Wiki obiad w „rule” (zamiast w rurze), chodziła „do lassa”, proponowała, by Wika urwała sobie „besu” (a ten bez u babci był piękniejszy niż w Botanicznym Ogrodzie), lubiła „przylegnąć” i wyjadać „zimnioki liskom z zeleźnioka”.

Te właśnie ziemniaki gotowane w żeleźniaku zwróciły wreszcie uwagę dziewczynki. Po co Antośka stawiała co kilka dni, a raczej co kilka wieczorów, ciężkie, perkocące parą gary na płycie kuchennej i gotowała ogromne ilości kartofli? Kto w tym domu miał taki apetyt? Gdzie się podziewały smakowite szaro-brązowe kule, z których po ugotowaniu skórka schodziła łatwo, przyklejając się do palców? Zagadnięta w tej kwestii Antośka, mruknęła: — To tam takie panine fanaberyje. A babcia zacisnęła wąskie usta i kazała Wice iść spać.

Aż wreszcie tajemnica się wykryła. Było to wczesną wiosną, piec w pokoju Wiki zaczął strasznie dymić i babcia wzięła dziewczynkę na jedną noc do swojej sypialni. Stara kanapa zwana otomaną stała pod oknem. W nocy obudziło Wikę pukanie. Zerwała się przerażona, przycisnęła czoło do szyby i zobaczyła z drugiej strony czyjaś twarz okoloną czarną brodą, bladą, przerażającą.

— Babciu, co to?! — krzyknęła zdjęta trwogą.

— Nic, nic, śpij — odparła szorstko babcia, dźwigając się z łóżka.

Zapaliła świecę, zarzuciła na szlafrok ciepłą chustkę i wyszła.

Wika skulona pod kołdrą długo słyszała jakieś kro-

118

ki, szepty, tajemnicze, niezrozumiałe odgłosy. Wreszcie zasnęła.

Rano babcia kazała jej uklęknąć przed świętym obrazem i przysiąc, że nigdy i nikomu nie powie, co widziała i słyszała. Wika z przejęciem wykonała polecenie.

— Zachodzi do mnie niejaki Feldsztajn, dawny aplikant mego nieboszczyka męża. Uciekł z żoną i ojcem z transportu i ukrywają się w lesie koło Pogwizdo-wa. Wykopali sobie ziemiankę, dałam im, co mogłam, z ciepłych rzeczy, starą kołdrę, parę koców i tak żyją jak zwierzęta. Boją się rozpalić ogień, żeby kto dymu nie poczuł, nie jedzą nic gotowanego, więc kazałam mu nocą przychodzić. Przebiera się lasem, polami, potem przez Uzbornię do naszego ogrodu. Bierze garnek ziemniaków, blaszanek zupy, czasem kaszy Antośka nagotuje.

Biedni, biedni ludzie, zaszczuci jak zające w nagonce! Ale pamiętaj — podniosła złoty, wyschły palec — gdybyś choć słówko komu pisnęła, nieszczęście ściągniesz na nich i na ten dom!

Wika nie pisnęła ani słówka, ale Feldsztajnowie i tak zginęli. Stary ojciec zmarł w lecie własną śmiercią, a syna zastrzelili parę tygodni później Niemcy, którzy przyjechali do pogwizdowskiego lasu na polowanie. Zbierał jagody i na widok podjeżdżających aut rzucił się do ucieczki. To Niemcom wystarczyło. Feld-sztajnowa wyszła z ziemianki i sama zgłosiła się na żandarmerię. Jakiś czas Niemcy węszyli po okolicy, bo rozumieli, że ktoś musiał tym Żydom pomagać, ale nic nie wywęszyli.

Ta historia również nie zrobiła na dzieciach pani Wiktorii większego wrażenia.

— Wielkie mi bohaterstwo kartofle gotować! — wykrzywił się Michał — gdyby prababcia u siebie w do-

119

mu urządziła schowek i ukryła tych ludzi, to już byłoby coś!

Pani Wiktorcia pomyślała, że wtedy jesienią, gdy dowiedziała się o śmierci Feidsztajnow, też potępiła babkę za połowiczność pomocy.

„Niby to się narażała, a oni i tak zginęli. Mogła ich" ukryć gdzie bądź: w domu, w piwnicy, na strychu i może by przeżyli”.

Dopiero później zrozumiała, że młodzi zawsze mają coś za złe starszym i uważają się za dużo mądrzejszych od nich.

Siedziała dłuższą chwilę nieruchomo, pogrążona w rozmyśleniach, oprzytomniała dopiero, gdy album zsunął się z kolan i upadł ze stukiem na podłogę. Podniosła go i zaczęła machinalnie przerzucać karty.

Nie mieli dużo zdjęć, Franek nie pasjonował się fotografowaniem, dopiero duża już Małgosia dostała na własność aparat.

Sprzed wojny nie uchowało się nic, grube albumy i pudełka z nie powklejanymi fotkami zostały w rodzinnym mieście, przepadły na zawsze. Z czasów okupacji miała kilka zdjęć, przeważnie robionych przez ulicznych fotografów. Oto obie z matką na plantach, mama ma włosy ułożone w wałeczek, ciasno upięty wokół głowy, Wika gruby warkocz, przerzucony przez ramię. Jakieś letnie, jasne sukieneczki, na nogach drewniaki. Mama niesie sznurkową torbę.

Pani Wiktorcia uśmiecha się z rozczuleniem. Sama zrobiła tę torbę, to był prezent imieninowy, palce jej popuchły od twardego, papierowego sznurka, z trudem przesuwiała metalowe szydełko przez ciasne oczka.

Sprzedawano wówczas takie torby, torebki, paski, nawet ozdobne kwiatki przeznaczone do wpinania w klapę płaszcza. Surowcem był zwykły papierowy sznurek, kupowało się kłębki w kolorze naturalnym

120

lub barwione. Torba mamy była brązowa, ozdobiona złotymi i pomarańczowymi listkami...

To było nawet ładne, tylko rączka ocierała dłoń i każdy deszcz stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo. Namoknięty sznurek rozłaził się w palcach jak... papier.

Następne zdjęcie. Rynek, puste miejsce, na którym niegdyś stał Mickiewicz, ale kwiaciarki jak dawniej sprzedają kwiaty na straganach, gołębie jak dawniej wąż pod nogi, domagając się okruszków. Grupka dziewcząt, jedna z nich, ta z lewej strony w białej bluzce, to Wika. Warkocz opleciony wokół głowy, w ręku „dorosła” torebka. Zdjęcie zrobione w dniu ukończenia drugiej gimnazjalnej.

Dalej jakaś wycieczka, chłopcy z rowerami, na trawie koszyk z prowiantem. Ten z czarną, opadającą na oczy czupryną to Maniek, Maniek Wróbel! Podkochi-wała się w nim pierwszą, jeszcze dziecinną miłością. Grali w listonosza, pocałował ją. Przez kilka tygodni umierała z niepokoju, bała się, że będzie miała dziecko. Taka była głupia!

Te zdjęcia to już powojenne. Wika z Wandą przed „Gołębnikiem”, Wika z Krystyną na plantach, Wika sama w białej, bratniackiej czapce. Bal studencki w AGH, dziewczyny poubierane w „ciuchowe”, przysyłane w paczkach UNRRY wieczorowe suknie. Wika nie miała wieczorowej sukni, nie miała w ogóle żadnej porządnej sukni, na wykłady chodziła w granatowej w kratkę, na niedzielę przyszywała do niej biały kołnierzyk. A tak bardzo chciała pójść na ten pierwszy w życiu bal... Wanda zdobyła dwa zaproszenia, jej brat był studentem Akademii Górniczej. Pocziwa ciotka! Wyciągnęła z kufra pachnącą naftaliną jedwabną letnią suknię w białe i fioletowe chryzantemy. Ciotka była wysoka i bardzo tęga. Ale i na to znalazły radę. Wika włożyła suknię na lewą stronę, a

121

Wanda upięła ją, przystosowała do figury przyjaciółki. Wika na balu wyglądała bardzo ładnie, psuły jej tylko humor zwykle, białe, letnie sandaalki, które absolutnie nie miały balowego wyglądu. Ale Wanda pocieszała ją, że na stopy nikt nie patrzy.

Pani Wiktoria przewróciła kilka kart i odnalazła ładne, pocztówkowe zdjęcie, robione u dobrego fotografa. Zdjęcie rodzinne. Dzieci w środku, ona z prawej, Franek z lewej strony. Małgosia miała wtedy cztery lata, Michał pięć, Hani jeszcze nie było na świecie.

Och, dawne, dobre czasy! Słusznie powiadają ludzie: „małe dzieci — mały kłopot, duże dzieci — duży kłopot”. Jakie wtedy miała zmartwienia? Zwykle, codzienne, proste. Małgosia kiepsko jadła, trzeba było sprytnie przemycać każdą łyżkę zupy czy kaszy, zagadując, opowiadając bajki, rozśmieszając grymaśną córkę. Michał stale kaszłał, chrząkał, miał opuchnięte migdały i zajęte zatoki. Oboje byli żywi, psotni, nie mogła ani na chwilę spuścić ich z oka, bo natychmiast coś psuli, niszczyli albo wydzierając sobie ulubione zabawki okładali się piśćciami, wrzeszcząc przy tym i tupiąc nogami.

W gruncie rzeczy nie żałowała porzucenia pracy, Franek chyba miał rację twierdząc, że dzieci są ważniejsze od jej książek, ambicji i planów. Była z nimi od samego początku, patrzyła, jak rosły, starała się rozumieć każde drgnienie powiek, każde skrzywienie ust, każdy najdziwniejszy nawet postępek.

Tylko czasem doznawała uczucia zazdrości, spotykając się w prasie z nazwiskami dawnych kolegów i koleżanek. Oni nie zmarnowali studiów, oni coś robili, coś osiągnęli. Wanda była znanym, cenionym krytykiem teatralnym i miała dwóch wspaniałych synów, Krysia pracowała w wydawnictwie naukowym i sama pisała ciekawe studia literackie, co jej nie prze-

122

szkadzało w wychowaniu córki, Anka, zdolna, pełna zapału i energii Anka, kierowała dużą placówką naukową i sama utrzymywała dwoje dzieci (mąż ją opuścił po kilku latach małżeństwa). Paweł, Krzysztof, Wacek, niegdyś filary Koła Polonistów, organizatorzy wieczorów poetyckich, spotkań ze znanymi pisarzami, również nie spoczęli na laurach. Pracowali w wydawnictwach, w tygodnikach kulturalnych, ich nazwiska były znane, ich praca ceniona.

Tylko ona, dawna Wika, ulubienica „starego”, najzdolniejsza studentka, której wszyscy przepowiadali świetną przyszłość, przycupnęła skromnie z boku, wyrzekła się osobistych ambicji, odsunięta od dawnych możliwości, zadowolona, gdy może złapać chwilę wolnego czasu, by przeczytać prasę literacką, pójść do teatru na dobrą sztukę lub obejrzeć wystawę obrazów.

Bo z tego jeszcze nie zrezygnowała, kupuje tygodniki i miesięczniki kulturalne, stara się nie opuścić żadnej premiery, słucha muzyki, nie poddaje się, nie chce, by zalała ją ostatecznie powszedniość życia, garnki, zakupy, pranie, naprawy, porządki.

Coż z tego, że od paru lat znowu pracuje, że gdy dzieci podrosły, wróciła do biblioteki? Owszem, lubi i ceni swoje zajęcie, ale czy wydawanie książek i wypełnianie kart czytelniczych może zastąpić pracę naukową, krytyczną czy dydaktyczną?

Pani Wiktoria zaciska usta. Gdyby Franek był inny...

Choć zdał maturę, choć skończył politechnikę i mieszka od dwudziestu kilku lat w mieście, na sprawy domu, rodziny, małżeństwa patrzy z perspektywy Mostowic. To one ukształtowały jego poglądy, niewiele się zmienił od czasów młodości, choć zdawać by się mogło, że nic go nie łączy z tamtym wiejskim chłopakiem wychowanym przez kościół, czteroklasową szkółkę i rodziców z dziada pradziada uprawiających ziemię.

123

Franek uważa, że sprawą mężczyzny jest praca poza domem, utrzymywanie rodziny, a sprawą kobiety dom i wychowywanie dzieci.

Franek jest przekonany, że mężczyzna, mimo wszelkiego równouprawnienia, jest najważniejszą osobą w domu, głową rodziny, i nie widzi nic niezwykłego w fakcie, że ona, kobieta, służy mu, czeka w nieskończoność z obiadem i zawsze jest w domu. A gdzież ma być u Boga Ojca?! W każdym razie tak uważał, dopóki Wiktoria znów nie zaczęła pracować. Franek ją kocha, może teraz mocniej niż w młodości, ale nie rozumie jej, rzadkich co prawda, skarg na monotonię życia, na wciąż te same obowiązki, na tępą nudę domowego kieratu. Jego matka pracowała jeszcze ciężiej, nie miała absolutnie żadnych rozrywek i nie skarżyła się!

Franek zostawił żonie wolną rękę w urządzaniu domu, w wybieraniu sprzętów i drobiazgów, ale pierwsza ich kłótnia dotyczyła właśnie kupna mebli. Wodził osowiałym wzrokiem po prostych sprzętach z jasnego drzewa, które Wika wybrała, gdy wreszcie otrzymali mieszkanie i mogli kupić meble na dogodnie raty.

— Taka... tandeta!... — skrzywił się i wyznał żonie, że nie wyobraża sobie domu bez sypialni z podwójnym małżeńskim łóżem, solidnymi szafami i lustrem — to jest sprawunek na całe życie!

Widział kiedyś sypialnię z ciemnego, błyszczącego drzewa w domu kolegi i uznał ją za symbol zamożności i pozycji towarzyskiej. Wyszli ze sklepu pogniewani, Wika bezskutecznie usiłowała wytłumaczyć mężowi, co jest estetyczne, a co nie i dlaczego. W końcu Franek ustąpił, ale jeszcze dziś wybuchał gniewem lub drwinami na widok nowoczesnej lampy, śmiałych w kolorze zasłon lub dziwacznych reprodukcji, którymi żona ozdabiała mieszkanie.

124

A jej imię? Nigdy nie przyjął do wiadomości spieszczenia „Wika”. Nazywała się Wiktoria (po matce ojca), więc nazywał ją Wikta. To było ludzkie, normalne imię, nie wykoślawiony dziwoląg. „Wika!” Tak można nazwać psa albo kota, ale nie kobietę!

Nie lubił też zdrobnień własnego imienia, złościł się, gdy w chwilach czułości żona nazywała go „Nunek”.

Pani Wiktoria znów przerzuciła kilka kart albumu. Zdjęcie małej Małgosi w wózku, Michał na drewnianym koniku, wakacje w Mostowieach, ona z dwojgiem dzieci na łące pod kopką siana. Franek w kąpielówkach nad morzem, znów Michał siedzący ojcu na ramionach, Hania malutka, z kokardą w jasnych włosach. Dzieci, wciąż dzieci, coraz większe, coraz ładniej ubrane, fotografie obrazujące w jakiś sposób kolejne szczeble Frankowej kariery, podwyżki pensji, premie, wzrost dobrobytu.

Sztywny, nie wklejony kartonik wysunął się spomiędzy kart albumu i upadł na podłogę. Pani Wiktoria schyliła się i ciemny rumieniec zalał jej policzki.

Była pewna, że zniszczyła to zdjęcie, że je podarła lub spaliła! Widać oślepią gniewem i przerażeniem, lękając się, by fotografia nie wpadła w ręce męża, wsunęła ją między inne zdjęcia, a potem zapomniała o nim. Pani Wiktoria patrzy na mały prostokąt papieru i czuje

taki sam gniew, lęk i wstyd, jak wówczas gdy znalazła zdjęcie między książkami starszej córki.

...to było podczas zeszłorocznego karnawału. Małgosia już od dłuższego czasu wypominała matce, że inne dziewczyny chodzą na zabawy, że ludzie tańczą, szaleją, tylko ona przesiaduje w domu jak w klasztorze.

125

— Chcesz iść na bal? — uśmiechnęła się matka. — Czy nie za wcześnie? I dokąd to? Do „Monopolu” czy na Politechnikę? — zakpiła dobrodusznie.

Małgosia wzruszyła ramionami. Też pomysł! INa bale chodzą starzy; oni, młodzi, bawią się na prywatkach.

— Grażyna urządza ostatki, zaprosiła mnie, to będzie „bal gałganiarzy”.

— „Gałganiarzy”? — zdziwiła się obecna przy rozmowie Hania. — To co, przebieracie się w gałgany?

— Głupia jesteś — ofuknęła siostrę Małgosia — tak się nazywa zabawa z przebieraniem w różne stroje własnego pomysłu i własnej roboty. Mama, ja muszę pójść do Grażyny, tam będzie cudownie! Ubaw nie z tej ziemi, mucha nie siada, szafa nie skrzypi!

— Gosiu — skrzywiła się matka — wiesz, że nie lubię takich wyrażen...

— No już dobrze, już nie będę, moja ty szacowna polonistko! — Małgosia uściskała matkę i powróciła do sedna sprawy. — Mama, to co? Będę mogła pójść do Grażyny?

Matka zadała wówczas szereg pytań: czy rodzice Grażyny będą w domu podczas zabawy, kto został zaproszony, jak długo potrważą tańce?

Małgosia skrzywiła się niechętnie.

—i Mama, jaka ty jesteś zacofana, po prostu aż strach! Co to ma do rzeczy, kto przyjdzie i czy matka Grażyny będzie w sąsiednim pokoju czy nie?

— (Ma dużo do rzeczy — odparła matka. — Chcę widzieć, z ikim i jak się będzie bawić moja córka. Jesteś jeszcze bardzo młoda i z wielu rzeczy nie zdajesz sobie sprawy. Ja na pierwszą w życiu zabawę poszłam mając dziewiętnaście lat, a ty zaledwie skończyłaś piętnaście.

— Ach, ty... — powiedziała Małgosia lekceważąco — ty przecież byłaś zupełnie inna i było ciężko, i nie

126

miałaś odpowiedniej sukni. Słyszałam o tym tysiące razy!

Pani Wiktoria zachnęła się lekko, zabołał ją lekceważący ton córki. Nie pokazała jednak tego po sobie, spytała spokojnie:

— A ty masz odpowiednią suknię?

Małgosia uznała widocznie, że rozmowa o toalecie jest już częścią przyzwolenia na prywatkę, ponownie uściskała matkę i zaczęła przymilnie:

— No, właśnie, mamuś, nie mam nic odpowiedniego, a to będzie bal gałganiarzy, mówiłam ci i już obmyśliłam sobie strój, tylko...

— Wykrztuś wreszcie — matka pociągnęła żartobliwie córkę za ucho — pewno zagięłaś parol na którąś z moich sukien, tylko nie wiem jeszcze na którą.

— Na tę amerykańską! — wypaliła Małgosia. Matka przez chwilę nie wiedziała, o czym mowa, po

dłuższym namyśle przypomniała sobie od lat nie wyjmowaną z kosza toaletę złożoną z dużej ilości tiulowych falbanek naszytych na szerokiej, kloszowej spódnicy. To był pomysł i zakup Franka, w pierwszych latach małżeństwa chodzili czasem na zabawy i Franek odkupił od kogoś balową toaletę, by żona godnie wystąpiła na balu sylwestrowym. Suknia była bardzo efektowna, ale pani Wiktoria, przyzwyczajona do prostoty, czuła się w niej jak przebrana, i powiewne, szmaragdowe tiule powędrowały do kosza. Zresztą wkrótce potem urodził się Michał i dla matki skończyły się bale.

— No, dobrze — powiedziała po namyśle — możesz ją wziąć, ale z pewnością potrzebna będzie przeróbka, suknia ma z osiemnaście lat, teraz nikt takich nie nosi.

— Nie szkodzi — zapewniała gorąco Małgosia. — Im śmieszniej będę wyglądała, tym lepiej!

127

Wyjęła z kosza zmięte szmatki, przymierzyła, zaśmiewała się przed lustrem z dziwnej, starej mody, potem porwała suknię i oświadczyła, że leci do Grażyny, że razem coś wykombinują. — To będzie bomba! — krzyknęła. Pani Wiktoria zadzwoniła do matki Grażyny, dowiedziała się, że zabawa potrwa najwyżej do godziny jedenastej, że broń Boże nie będzie żadnego alkoholu, nawet wina, i że wprawdzie oni z mężem idą do znajomych na brydża, ale w domu zostaje jej siostra, która przypilnuje młodych, i że wszyscy zaproszeni chłopcy to koledzy Gosi i Grażynki, bardzo mili i dobrze wychowani.

Małgosia poszła na prywatkę, wróciła posłusznie piętnaście po jedenastej taksówką zamówioną przez matkę i opowiadała bardzo zabawnie o tańcach i udanych pomysłowych strojach.

— A Witek, mamo, pożyczył sobie frak od ojca i wyglądał kapitalnie, zupełnie jak lord! Nawet miał w oku takie szkieleko na sznurku, zapomniałam, jak się nazywa ten przedpotopowy przeżytek...

— Monokl — poddała matka.

— Właśnie. I laskę z gałką, i cylinder... To było coś kapitalnego, kulaliśmy się ze śmiechu.

— A jak wypadł twój kostium? Dlaczego go nie pokazałaś?

Małgosia na moment zmieszala się i odparła niechętnie:

— Och, wiesz, te falbanki rozłaziły się po prostu w palcach, po zabawie zostały same strzępy.

Matka pokiwała ze zrozumieniem głową, suknię z góry spisała na straty, zresztą od tyłu lat była zupełnie nieprzydatna.

Mineło parę tygodni i któregoś dnia sprzątając pokój dziewczynek pani Wiktoria niechcący zawadziła

128

rękawem o stos książek. Spomiędzy kartek wyleciał sztywny, błyszczący kartonik.

Czy to była Małgosia ta półnaga dziewczyna stojąca w wyzywającej pozie obok chłopca we fraku i cylindrze? Pani Wiktorii pociemniało w oczach. A więc dlatego córka zabrała suknię do Grażyny, dlatego nie pokazała matce swego kostiumu!

Z balowej toalety wykorzystała tylko puszyste, tiulowe falbanki; opasywały one skąpą przepaską biodra i piersi, tworząc coś w rodzaju trenu spływającego z tyłu aż do ziemi. Na głowie Małgosia miała diadem, na nogach pantofle na bardzo wysokich obcasach, w rękę długą cygarniczkę z papierosem. Ładna, dziecinna twarzyczka uśmiechała się niewinnie.

— Nie ma o co robić tyle krzyku — powiedziała Małgosia, gdy matka, na przemian blednąc i czerwieniejąc, spytała, co ma znaczyć ten wyzywający strój, ta poza, ten papieros. —

Przebrałam się za girlse z francuskiego kabaretu... Pamiętasz, był taki program w telewizji.

— Jak mogłaś, nie masz wstydu, półnaga między chłopcami jak... jak... — matka zdusiła w gardle nie dokończone zdanie.

— A czy komuś przeszkadza, że na plaży noszę bi-kini? — zaperzyła się Małgosia. — Cóż to za różnica plaża czy dom? Falbanki przecież naszyłam na kostiumie kąpielowym, a pantofle i diadem pożyczyła mi Grażyna. Jurek przyniósł aparat i lampę błyskową, każdemu zrobił zdjęcie.

Pani Wiktoria nie pamięta już dokładnie, co wówczas powiedziała córce, wie tylko, że na wszystkie jej argumenty Małgosia odpowiadała, że nie zrobiła nic złego, że zabawa była

bardzo przyzwoita i że to oni, starzy, zawsze doszukują się czegoś podejrzanego i dwuznacznego w najniewinniejszych sprawach.

3 — W myślach, w sercu...

129

— Czy myślisz, że w sukience zapiętej pod szyję nie mogłabym się puścić, gdybym chciała? Pani Wiktoria zaciska ręce na wspomnienie tego, co wówczas zrobiła. Tak, nie mogła się opanować, zareagowała zbyt nerwowo, nieobliczalnie! Uderzyła córkę w twarz. Małgosia rozplakała się i płacząc powtarzała:

— Ja nic złego nie zrobiłam, nic, nic, nic!... Zazgrzytał klucz w zamku, pani Wiktoria poznała

kroki męża. Ukryła fotografię, objęła Małgosię i płacząc razem z nią, mówiła:

— No, już cicho, cicho, wierzę ci, tylko nie płacz, ojciec nie może o tym wiedzieć, ojciec by ci nie darował.

Miała zamiar zniszczyć zdjęcie, ale widać coś jej przeszkodziło, przeleżało cały rok między kartkami albumu. Dobrze, że Franek nigdy nie zagląda do szuflady, że nie wpadło mu w ręce! Teraz pani Wiktoria znów patrzy na smukłą postać córki, na długie zgrabne nogi, szczupłą talię, wyzywający strój i usiłuje zrozumieć, skąd temu dziecku przyszło do głowy takie przebranie? Czyj to wpływ, koleżanek, kina, telewizji? I czy swobodą, łatwością wystawiania na pokaz swoich nóg, pleców, piersi jest tylko swobodą, brakiem pruderii, czy też kryje w sobie coś więcej, zarodek przyszłych skłonności?

Pani Wiktoria drze sztywny kartonik na kilkanaście kawałków, usiłując równocześnie przypomnieć sobie, czy wówczas wytłumaczyła córce różnicę między plażą a zabawą, pomiędzy strojem kąpielowym a wyzywającym kostiumem rewiowej tancerki? Nie takie to łatwe, równie trudne jak wyjaśnienie Frankowi, dlaczego słoneczniki namalowane przez Van Gogha są arcydziełem, ale słoneczniki wyszyte żółtą lasetą na czarnej aksamitnej poduszce potwornym kiczem!

130

Pani Wiktoria schowała album, zamknęła szufladę i poszła do kuchni.

Nastawiła ziemniaki, przyprawiła zupę, przyrządziła sałatę. Za pół godziny wróci ze szkoły Hania.

Z tym dzieckiem nie ma żadnych kłopotów. Hania jest wprawdzie samowolna, uparta i przekorna, ale jak dotąd, matka umie przemówić jej do rozsądku, wszelkie szkolne i domowe konflikty rozwiązują wspólnie, mała nie ma żadnych tajemnic, zwierza się chętnie ze swoich klęsk i sukcesów.

Matka westchnęła polewając śmietaną liście sałaty ułożone w misce.

...Hania ma dziesięć lat, zaczęła jedenasty, jeszcze rok, dwa i zmieni się, odsunie od matki, przestanie ją uważać za najmądrzejszą, najpiękniejszą, niezastąpioną. Czy z Małgosią było inaczej? I czy ona sama, dawna Wika, w pewnym okresie nie zaczęła patrzeć sceptycznie na matkę, krytykować jej styl życia, wypowiedzi, zachowanie, nawet strój? Więc może tak musi być? Może to, co budzi lęk, sprzeciw, to tylko normalne przywary pewnego wieku, które z czasem miną?

„...ale ja nie zbywałam pytań matki niechętnym mruknięciem, wzruszeniem ramion, nie czułam się nieszczęśliwa i pokrzywdzona tylko dlatego, że musiałam opowiadać się, dokąd idę i kiedy wrócę, z kim się spotykam i o czym rozmawiamy. Podczas wojny to zrozumiałe, byłam dzieckiem, a zresztą wówczas każde nawet parominutowe spóźnienie mogło oznaczać coś najgorszego. Więc przywykłam, wychodząc, mówić:

— Idę na lekcję, do koleżanki, na spacer, wrócę o czwartej, o szóstej... — by oszczędzić matce niepokoju i wyczekiwania. Ale później, ale po wojnie? Byłam w wieku Małgosi, nawet starsza, i nie drażniły mnie pytania matki, która chciała wiedzieć, jak były

131

ubrane koleżanki na zabawie, co podano na imieninowym podwieczorku i o czym była mowa na kolejnym zebraniu Koła Polonistów.

Może po prostu przyzwyczaiałam się, a może już wtedy zrozumiałam, że mama nie ma swojego życia, że najważniejsze dla niej jest to, co ja robię, myślę, przeżywam.

Małgosia tego nie rozumie, irytuje się, złości, gdy pytam, dokąd wychodzi, kiedy wróci."

— Nie masz do mnie zaufania, nie wierzysz mi, kontrolujesz! Gdybym chciała cię oszukać, okłamywać, powiedziałabym ci byle co i musiałabyś mi wierzyć. Przecież nie będziesz chyba za mną chodzić, dzwonić do koleżanek, sprawdzać, czy rzeczywiście byłam na pływalni z Bożeną albo w kinie z Aliną!

To prawda, pani Wiktoria nie posuwała się aż tak daleko w nieufności, chciała wierzyć córce, przyjmowała za dobrą monetę jej niechętnie, skąpe odpowiedzi. Ale czasami nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Małgosia nie mówi jej całej prawdy, że coś ukrywa, że w jej szesnastoletnim życiu jest jakiś kącik okryty tajemnicą.

Małgosia nie jest już dzieckiem, jest dużą dziewczyną, jej babka w wieku szesnastu lat była już mężatką, a niespełna rok później urodziła pierwszego syna. Na wsi kobiety szybciej dojrzewają, ale...

— Nie jestem dzieckiem, mam szesnaście lat i wiern, co robię! — dowodziła Małgosia, gdy przed paru miesiącami ojciec skrzyczał ją za podmalowane na niebiesko powieki i przyczernione tuszem rzęsy. — Na zachodzie jeszcze młodsze ode mnie dziewczyny malują się i nikt nie robi z tego powodu tragedii!

— Dopóki nie jesteś samodzielna i nie zarabiasz na swoje utrzymanie, musisz podporządkować się woli rodziców — tłumaczyła spokojnie matka.

132

— Bo tata nic nie rozumie, tata jest zacofany, nie uznaje mody, kosmetyków i... w ogóle! — płakała Małgosia zmuszona do umycia twarzy. — On ma przedpotopowe poglądy, przecież nawet z ciebie zrobił czu-piradło! Och, mamuś, strasznie przepraszam, ja nie chciałam!... — zreflektowała się i przytuliła splekaną twarzyczkę do ramienia matki.

Pani Wiktoria pokiwała wyrozumiale głową, Małgosia miała trochę racji. Franek nie znosił malowanych twarzy, powyrzucał jej szminki i pudry, których zresztą w młodości używała bardzo oszczędnie, kpił, gdy wracała od fryzjera z głową pełną loków, i doprowadził do tego, że przestała dbać o własną twarz, uwierzyła, że najładniej wygląda z kokiem upiętym w tyle głowy (zapuściła znów obcięte po wojnie włosy), i że naturalność jest największą ozdobą. A potem nie miała już ani czasu, ani chęci na fryzjera, na kosmetyczkę, przyzwyczała się do swoich bladych warg nie pociągniętych kredką i tylko od wielkiego dzwonu, wychodząc do teatru lub z wizytą, lekko pudrowała twarz.

„Czego ja właściwie chcę od tej dziewczyny? — spłoszyła się nagle. — Czy nie za wiele od niej wymagam? Czy koniecznie musi przyjąć mój styl życia, być taka, jak ja byłam? A może właśnie lepiej będzie, jeśli pozwolę jej postępować według własnego uznania? Przecież Małgosia ma mnóstwo zalet, uczy się dobrze i chętnie, jest ambitna, chce być lekarzem (»Ale świetnym lekarzem, mamu!«), planuje swoją przyszłość rozsądnie, może nawet trochę za rozsądnie (»Najpierw skończę studia, potem wyjdę za mąż, urządzę mieszkanie, kupię samochód, i dopiero wtedy pomyślę o dziecku, ale będę miała najwyżej jedno, mamu!«)

Oczywiście, ma swoje wady, któż ich nie ma, czy ja byłam bez wad? — zastanawia się pani

133

Wiktoria — tyle że moje starcia z matką dotyczyły innych spraw, kłóciłyśmy się o politykę, o światopogląd, o zmiany, których mama nie chciała czy nie umiała aprobować. Małgosia nie zna takich problemów, moje kłopoty z nią są zupełnie innej natury. Ja nie robiłam matce scen o sukienki, pantofle, rozrywki, byłam przyzwyczajona do biedy, wyrzeczeń, oszczędności, ja w wieku Małgosi uważałam, że uganianie się za modą przynosi ujmę.



...my mieliśmy inne radości, zachłystywaliśmy się wolnością, swobodą, dla nas wieczór poezji, przedstawienie (polski e!), możliwość słuchania radia, chodzenia do kina były ważniejsze niż ładna sukienka, elegancka torebka czy modna fryzura. Przynajmniej w pierwszych miesiącach po wojnie...

Cóż znaczyły połatanе buty, wyszarzały płaszczyk, zimna, nie opalona sala Starego Teatru ledwo oświetlona migającymi żarówkami, skoro na estradzie działy się takie wspaniałe rzeczy, skoro wielcy, najwięksi pisarze rzucali w szary, zbiedzony tłum słuchaczy słowa, sycące niczym chleb, którego zresztą wciąż brakowało?

Małgosia nie zna tych radości, tych wzruszeń, ona dostała od razu wszystko. Nie rozumie, że można tęsknić za książką, filmem, muzyką, bo ma to na co dzień. Ale nudzi bez przerwy o modny sweterek, o nowy fason torebki czy butów, musi mieć niebieskie okulary w kwadratowej oprawce, nie może żyć bez zamszowej konduktorki z frędzlami, bez spodni z żaglowego płótna i bez sabotów na grubej, drewnianej podeszwie".

„O co najczęściej wybuchają awantury z Małgosią? — zastanawia się pani Wiktoria. — O spóźnione powroty do domu, o niechęć do ciepłej bielizny («Wyglądam w tym jak baryła!«), o bieganie z gołą głó-

134

wą w listopadzie («Nie jestem staruszką, żeby chodzić w czapce, jest niemożliwie gorąco»), o wstręt do domowych robót".

Pani Wiktoria, pomna własnych kłopotów, chce, żeby córki pomagały jej przy kuchni, aby nauczyły się gotować. Hania chętnie „pomaga", z zapałem uciera żółtka z cukrem na niedzielną babkę (ten zapach zostawia lepkie ślady wokół ust i na brodzie), potrafi samodzielnie przyrządzić (i zjeść!) czekoladowy budyń w proszku, uwielbia nakrywać do stołu. Ale Małgosia buntuje się, wykręca; na wszystkie argumenty matki odpowiada z przekonaniem:

— Nigdy nie będę gotować w domu, wystarczy mi restauracja albo stołówka; mam być niewolnicą garów jak ty?

I głośno marzy o czasach, kiedy ludzie przestaną wreszcie odżywiać się w sposób „tradycyjny", kiedy wystarczy im chemicznie spreparowana tabletką z potrzebną ilością witamin i kalorii.

Pani Wiktoria też nie miałaby nic przeciwko temu, by ktoś ulżył jej w ciężkiej, domowej pracy, by naukowcy chemicy zlikwidowali trud znoszenia do domu zakupów, gotowania posiłków, zmywania naczyń. Umiałyby wolny czas zapęłnić z pożytkiem i przyjemnością. Ale mówi do córki:

— Kochanie, to nigdy nie nastąpi, świat powoli odwraca się od sztucznych produktów, a mężczyźni zawsze będą cenili gospodarne żony.

I jest nieustępliwa, choć Małgosia płacze nad obieraniem jarzyn, przygotowywaniem kanapek i mlecznej zupy, która tak lubi się przypalać. W dnie powszednie dziewczynki są zwolnione od prac kuchennych, mają dużo nauki i pani Wiktoria nie chce odrywać córek od lekcji. Ale w sobotni wieczór i niedzielny poranek wybuchają zwykle spory, dyskusje i awantury.

135

„Zawsze twierdzimy, że nasze dzieci mają szczęśliwe dzieciństwo — pomyślała pani Wiktoria — nie brak im rozrywek, możliwości, mają te szanse, których nam brakowało. Ale czy to znaczy, że rzeczywiście mają życie łatwiejsze od nas? Przecież od najwcześniejszych lat stykają się z napięciami, żyją nerwowo, w ciągłym lęku przed złym stopniem, przed egzaminem do liceum, na wyższe studia, my sami wtrącamy je w te lęki, w te napięcia, przez naszą ambicję, nasze marzenia, by syn czy córka osiągnął więcej, niż nam udało się osiągnąć".

Zabrzączał dzwonek u drzwi wejściowych i pani Wiktoria porwała się spłoszona. Rzuciła okiem na kuchenny budzik, było kilka minut po pierwszej. To Hania!

Mała wpadła jak zwykle z trzaskiem i tupotem, rzuciła teczkę na ziemię, szastnęła bucikami na środek przedpokoju i szukając domowych pantofli, terkotała jak nakręcona:

— Dobry dzień, mamusiu, ale dzisiaj gorąco, pogoda jak malowana! Dostałam piątkę z rachunków, a z wypracowania czwórkę z plusem, i na rysunkach pani mnie skrzyczała, bo miałyśmy narysować krzesło, a ja nie wiedziałam jak i narysowałam taboret, przecież to też jakby krzesło, prawda, mamusiu? Na taborecie się siedzi, a jak coś jest do siedzenia, to można powiedzieć, że to jest krzesło, no nie? A pani powiedziała, że się wykręcłam i że chciałyby zobaczyć, jakbym ja — taka wygodnica — siedziała w klasie na takim krześle bez oparcia. Pani Wiktoria wykorzystała kilka sekund przerwy potrzebnych Hani do nabrania oddechu i powiedziała szybko:

— Umyj ręce i chodź na obiad.

Przy stole Hania w dalszym ciągu gadała jak naję-  
136

ta, co jej nie przeszkadzało z apetytem pałaszować podwójne porcje pierwszego i drugiego dania. Przy kompcie przypomniawszy sobie, że pani kazała na jutro przynieść karton i klej.

— Mamusiu, kup mi karton, ja nie zdążę, bo mam dużo zadane, o czwartej mam zbiórkę, a potem muszę wpaść do Jadźki. Ona jest chora i ja obiecałam, że przyjdę i powiem, co było w szkole, żeby mogła odrobić lekcje.

Pani Wiktoria odstawiła opłukane talerze na suszarkę i postanowiła, że wyjdzie po karton teraz, jeszcze przed powrotem starszej córki. Franek chyba nie wróci wcześniej do domu, może nie jest z nim tak źle, skoro od lekarza poszedł do pracy? Zajrzała do pokoiku córek, Hania leżała na brzuchu na tapczanie, pogrążona w czytaniu książki.

— Bierz się do lekcji — powiedziała — potem znów będziesz płakać, że nie zdążysz. Idę po karton. Gdybym nie wróciła do drugiej, zapal gaz pod ziemniakami, dobrze?

Pani Wiktoria wyszła z domu i znalazłszy się na ulicy od razu zapomniała o kłopotach i niepokojach. Dzień był rzeczywiście jak malowany, słońce, niebo, zieleń trawy, barwne plamy kwietników, zapach późnej wiosny, wszystko to mogło rozproszyć najczarniejsze myśli.

— Cudowny dzień! — westchnęła radośnie i poczuła leciutką niechęć na myśl, że jutro już kończy się tygodniowy urlop, że biblioteka odnowiona, odmalowana i znów trzeba będzie spędzać popołudnia w mdłym zapachu zakurzonych książek.

Lubiła swoją pracę, lubiła codzienne spotkania z ludźmi, z przyjemnością wysłuchiwała pochwał abo-

137

mentów, którzy twierdzili, że polecona przez nią lektura zawsze jest dobra i ciekawa. Ale bywały dni, kiedy dyżury w bibliotece ciągnęły się jak guma, kiedy do pasji (starannie ukrywanej) doprowadzali ją wpadający tuż przed zamknięciem spóźnialszy, kiedy między tytuły książek i karty czytelnicze wciąż wślizgiły natrętne, niespokojne pytania:

„Czy Franek zjadł przygotowany obiad? Czy Michał wrócił i odrobił lekcje? Czy Hania zażyła lekarstwo i czy jutro nie będzie miała zaczerwienionego gardła? Czy Małgosia znów siedzi u koleżanki zamiast zając się młodszą siostrą?”

Pani Wiktoria przerwała pracę w bibliotece po urodzeniu Michała, zgodziwszy się z Frankiem, że żaden żłobek nie zastąpi atmosfery domu i opieki matczynej. Zresztą wówczas żłobków było niewiele i nie miały najlepszej opinii. W rok później przysłała na świat Małgosia i pani Wiktoria obiecywała sobie, że gdy dzieci podrosną, odda oboje do przedszkola, a sama wróci do pracy. Niestety, Michaś od początku sprawiał jej bardzo dużo kłopotu, często chorował, wymagał starań i troskliwości, której nie mogło mu zapewnić najlepsze nawet przedszkole. Zresztą wtedy Franek już zapisał się na politechnikę, został kierownikiem budowy, zarabiał coraz lepiej i niewielka pensja bibliotekarki nie miała zasadniczego znaczenia w domowym budżecie. Po urodzeniu Hani znów trzeba było odłożyć na jakiś czas

projekt powrotu do pracy. Ale pani Wiktoria była uparta i gdy Hania podrosła, matka przeforsowała wreszcie swoje zamierzenia. Starsze dzieci chodziły do szkoły, najmłodsza chowała się dobrze, była zdrowa, odporna i miała łatwe usposobienie, nie było więc żadnych powodów, by ją trzymać w domu. Hania poszła do przedszkola, a pani Wiktoria po wieloletniej przerwie wróciła do pracy w bibliotece.

138

Franek słabo protestował, ale wreszcie zgodził się na projekt żony, ponieważ praca w bibliotece zajmowała jej prawie wyłącznie popołudnia i sprawy domowe nie cierpiały na nieobecności gospodyni. Pani Wiktoria jak dawniej załatwiała przed południem zakupy, gotowała obiady, sprzątała mieszkanie, a Małgosia, wówczas bardzo rozsądna i chętna do pomocy, przyprowadzała z przedszkola siostrę i zajmowała się nią do powrotu matki. Franek spędzał popołudnia w domu i właściwie to on powinien był przypilnować dzieci, ale tonął zazwyczaj w swojej robocie i nie bardzo wiedział, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami pokoju. Jego pedagogiczna współpraca ograniczała się do meldowania powracającej żonie, że Michał znów nie chciał pić mleka, że Hania zaśmieciła cały pokój skrawkami kolorowego papieru i „na miłość boską, wytłumacz Małgosi, że radio powinno grać cicho, a nie ryczeć jak rozjuszony zwierzę!”

Pani Wiktoria przeszła dwie ulice, przecięła na ukos niewielki park, rozkoszując się urokiem świeżo rozkwitłych bratków, i już z daleka ujrzała kraty zaciągnięte na drzwiach sklepu papierniczego. A to pech! Podeszła bliżej i z irytacją przeczytała kartkę wywieszoną na szybie „przyjęcie towaru”. Wewnątrz sklepu dwie ekspedientki siedząc na grubych zwojach pakunkowego papieru rozmawiały w najlepsze. Ponieważ drzwi były otwarte z powodu pięknej pogody, pani Wiktoria spytała przez kratę, czy jest biały karton i kiedy w sklepie zacznie się sprzedaż?

— Jest, jest — odparła jedna z dziewcząt — niech pani przyjdzie za pół godzinki.

Pani Wiktoria postanowiła nie wracać do domu i korzystając z okazji poszukać w okolicznych sklepach czegoś odpowiedniego na letnią sukienkę dla Hani. Ma-

139

ła bardzo urosła od zeszłego roku i trzeba było pomyśleć o uzupełnieniu garderoby. Małgosia już od dawna sama wybierała sobie sukienki według własnego gustu, ale dla Hani te problemy jeszcze nie istniały.

Idąc zalaną słońcem ulicą pani Wiktoria myślała z niechęcią o wciąż jeszcze złej organizacji handlu, o wędrówkach od sklepu do sklepu za byle drobiazgiem, o wiecznych napisach „remanent”, „przyjęcie towaru”, zmuszających do straty czasu. Minęła właśnie mały sklepik, w którym mieścił się warsztat szewski, i pomyślała z uśmiechem: „...tu był kiedyś jedyny w okolicy sklep spożywczy, ileż wtedy traciło się czasu na wystawanie w kilometrowych kolejkach, ile nerwów i zdrowia pochłaniały najprostsze zakupy. A ten mały, prywatny kiosk na Karłowicach... jakoś wtedy nie raziła mnie czarna od brudu podłoga, rura od żelaznego piecyka przeciągnięta przez całą szerokość sklepu (raz nawet przypaliłam sobie rękaw płaszczka, dotknąwszy nieostrożnie rozgrzanej blachy!) pyskata, nieuprzejma sprzedawczyni i tłum kupujących, niecierpliwy, kłótlivy, zły... A dziś Małgosia posłana po jakiś drobiazg do dużego, przestronnego Samu wydziwia, że musiała przepuścić w kolejce do kasy aż siedem osób!”

Pani Wiktoria mijając nowe, kilkunastopiętrowe bloki, z uznaniem stwierdza, że uporządkowano już otoczenie domów, że na świeżo założonych trawnikach zieleni się trawa, a chodniki wyłożono gładkimi płytami.

„...a jednak wolę nasz dom — myśli — nieduży, dwupiętrowy, spokojny, nie szumiący jak ul wiecznym gwarem. Znam wszystkich lokatorów z sześciu mieszkań, kłaniamy się, rozmawiamy o drobnych, powszednich sprawach, świadczymy sobie małe, sąsiedzkie usługi.

Pewno w tym roku sąsiadka z parteru znów poprosi o podlewanie kwiatów podczas urlopu, a pan Zyg-

140

munt z drugiego piętra przyprowadzi swego ukochanego boksera Kajtka..."

Pan Zygmunt jeździ corocznie w czerwcu na dwutygodniowe wczasy i Kajtek zostaje u nich na „sublo-katorce” ku radości Hani.

„...które to już mieszkanie w moim życiu? — zastanawia się pani Wiktoria i liczy w myślach — na placu Smolki, gdzie się urodziłam i mieszkałam do wojny — to jedno, na Grodzkiej u wujostwa — drugie, na Krowoderskiej, już po wojnie — trzecie. Potem we Wrocławiu, suterena na Karłowicach — czwarte, dwa pokoje na Sępolnie — piąte i teraz to ostatnie, szóste”.

Sześć różnych mieszkań, każde inne, każde w jakiś sposób ważne, upamiętnione zdarzeniami, których nie sposób pominąć przy życiowym „obrachunku”.

Dom, w którym się urodziła, i rodzinne miasto są już tylko wspomnieniem. W pamięci zostały ulice pnące się ostro w górę i spadające w dół, jezdnie brukowane „kocimi łbami”, zieleń parków... Stryjski, Pohulanka, Jezuicki, Wysoki Zamek, Kajzerwald... Te nazwy przypominają dzieciństwo, obręcz popychaną kijem (dlaczego dziś dzieci nie bawią się tą świetną i taną zabawką?), spacer z lalką w trzcinowym wózku, podwieczorki z rodzicami w ogródkowej restauracji na terenach powystawowych, wycieczki do Brzuchowic i do Zimnej Wody... Do szkoły Wika chodziła długą, stromą ulicą Mickiewicza, a wracając, wbrew zakazom i ku oburzeniu cioci Jadzi, pędziła w dół, ślizgając się na butach. Oczywiście w zimie. Zimą większość ulic zamieniała się w świetne tory saneczkowe, Wika pięła się mozolnie pod Cytadelę, by zjechać gładką stromizną aż na ulicę Ossolińskich. Wujostwo mieszkali tuż obok stawów Pełczyńskich, gdzie zimą grała orkiestra i pełno było dorosłych i dzieci, zażywających ślizgawki. Babcia, matka tatusia, miała dom na Teatyńskiej, pra-

141

wie pod Wysokim Zamkiem, i Wika jadąc do niej zawsze przeżywała chwile lęku, czy zgrzytający z wysiłku tramwaj da radę, nie zatrzyma się w połowie stromej ulicy i czy nie zjedzie z powrotem. Z mamą Wika najbardziej lubiła spacerować Akademicką, „korsem”, nie tylko dlatego, że była to ładna ulica, szeroka z rzędem równo przyszytych topoli i aleją spacerową między dwoma jezdniami. Na Akademickiej mieścił się sklep Zalewskiego, zaczarowane miejsce pełne najwspanialszych słodczy, a obok cukiernia z marcepanowymi ciastkami i pistacjowymi lodami w kolorze seledynowym. Na Akademickiej były jeszcze inne cukiernie, Dudek, Weltz, Hófflinger, ale Wika przedkładała nad wszystkie właśnie Zalewskiego. Może tylko kora czekoladowa sprzedawana u Weltza, pakowana w małe celofanowe paczuszki, mogła rywalizować z „tajokami” od Zalewskiego, znakomitymi irysami, oklejającymi dokładnie usta, zęby i język...

Mało jest wspomnień z krótkiego dzieciństwa, ale są słodkie jak lody, marcepany i cukierki całego świata!

Krakowskie mieszkanie wujostwa pachnie naftaliną, kurzem i smutkiem. Wszystko, co najgorsze, spotkało Wikę właśnie w tych dużych, mrocznych pokojach; wojna, śmierć ojca, bieda, strach, wciąż odnawiane (wojna potrwa najwyżej do wiosny!) i wciąż tracone nadzieje. Na Krowoderskiej małe mieszkanie składało się z dwóch pokojów i wspólnej kuchni, gdzie trzaskała garnkami zawsze zła i skwaszona pani Regina, główna lokatorka. Ale na Krowoderskiej Wika nie przejmowała się humorami gospodyni, marnymi obiadami i ciemnym pokojem, którego okno wychodziło na ślepa ścianę sąsiedniej kamienicy.

Na Krowoderskiej było już po wojnie, chodziło się do szkoły, zdawało maturę, a potem egzaminy, latało

142

się na wykłady i seminaria, przesiadywało w bibliotece, włóczyło godzinami po plantach, kłócąc się o Słowackiego, Gałczyńskiego, o Przybosa... Mieszkanie na Krowoderskiej mogłoby mieć miły, ciepły kącik we wspomnieniach, gdyby nie... Franek. To właśnie tam w tych dwóch małych pokojach z używalnością kuchni matka płakała i krzyczała, persadowała i prosiła, a Wika trwała w kamiennym uporze. To właśnie tam matka powiedziała wreszcie: „Rób, co chcesz, ale pamiętaj: nie mam już córki!” To z mieszkania przy Krowoderskiej Wika wyszła któregoś dnia z małą walizką i pojechała do Mostowic, gdzie czekał na nią Franek.

Pani Wiktoria zatrzymała się przed wystawą sklepu z materiałami i z uznaniem obejrzała różową satynę w białe grochy. Byłaby z niej śliczna sukieneczka dla Hani.

„Żeby tylko w sklepie mieli ten sam materiał — pomyślała wchodząc — bo z wystawy nie zdejmą, żeby nie wiem co...”

Na szczęście na półce dostrzegła duży kupon różowej satyny, a obok drugi, równie ładny w biało-nie-bieską kratkę. Przez chwilę nie mogła się zdecydować, wreszcie kupiła oba.

„Wydatek niewielki, a Hania nie ma nic porządnego na lato — pomyślała płacąc — uszyłabym sama, gdyby nie to, że maszyna ostatnio zacina się i strasznie płacze nici...”

Wróciła do sklepu papierniczego inną drogą, znów wspominając swoje minione mieszkania. „...z malutkim Michałem wróciłam ze szpitala jeszcze na Karłowice do naszej sutereny, która już wtedy przestała mi się wydawać ósmym cudem świata. Bo-

143

że, jaki człowiek był niewymagający, jak mało mu wystarczyło do szczęścia! Franek zdobył gdzieś szeroką siatkę z podwójnego łóżka i materace. Ustawiona na czterech słupkach siatka udawała tapczan, przykryty zresztą zwykłym kocem. Półkę na książki zmajstrował z drewnianej paki, a ponieważ deski były szerniałe, pełne drzazg i nierówności, których nie pokryły żaden lakier, sama obijałam jej wnętrze i boki materiałem, zużyłam na to stare, podarte już zasłony”. Pani Wiktoria wspomina robione własnym przemysłem abażury do lamp, firanki szyte z dużych płatów sztywno krochmalonej, zwykłej gazy, brak wanienki i kąpiele Michała w drewnianym ceberku, wiecznie gasnącą wieczorami elektryczność i świece ustawione przed lustrem, by ślęczący nad książkami Franek miał więcej światła, radość, gdy udało się kupić zwykły garnek, czajnik, szklanki... A entuzjazm, z jakim przyjęła zdobyty przez Franka wózek dla Michała! Szalała wtedy z radości, taka była zmęczona dźwiganiem dziecka na rękach. A potem matka odpowiedziała wreszcie na któryś z rzędu list córki, przyjechała na chrzciny wnuka. Biedna, o mało nie zemdląła widząc, w jakich warunkach żyje jej ukochana Wikunia! Matce załatwili lokum u przyjaciół, Wika nie odważyłaby się zaproponować jej noclegu we wspólnym, ciasnym pokoju. Spiorunowała wzrokiem zięcia, potem rozplakała się i powiedziała, że powinni wrócić do Krakowa, że jakoś się pomieszczą w dwóch pokojach na Krowoderskiej.

O tym nie mogło być mowy i Wika podziękowała matce za dobre chęci. A Franek jakby się ocknął, zaraz następnego dnia poszedł do kwaterunku i powiedział, że na głowie stanie, a mieszkanie zdobędzie.

1 zdobył!

Na Sępolnie mieli dwa pokoje z kuchnią, bez łazienki, ale za to z malutkim skrawkiem ogródka. Wika

144

mogła zostawiać śpiącego w wózku Michasia na powietrzu. Jasiek przysłał Frankowi spłatę za jego część gospodarki, mogli więc kupić meble, nieco bielizny, a nawet radio. „Obsprawili się” — jak mówił z humorem Franek. Na Sępolnie urodziła się Małgosia.

Pani Wiktoria weszła do otwartego już sklepu papierniczego, kupiła karton, papier listowy i większy zapas papieru śniadaniowego. Przechodząc w drodze powrotnej przez park, uległa

pokusie i przysiadła na ławce tuż nad stawem. Miała jeszcze blisko godzinę do powrotu starszych dzieci, a tu wśród drzew i rozkwitających kwiatów było tak pięknie...

Nad stawem kilku wyrostków rzucało chleb pływającej parze łabędzi, na sąsiedniej ławce drzemał staruszek, zakrywszy oczy rondem kapelusza, po alejkach z krzykiem goniły dzieci. Jakiś chłopczyk, różowy, tłusciutki, chwiejąc się na grubiućkich nóżkach, uciekał ze śmiechem, wymykał się goniącej go, rozbawionej, młodej matce.

Pani Wiktoria przymknęła oczy. Tak zdaje się niedawno malutki Michał dreptał po ścieżkach ogródka, ochraniały jej troskliwymi rękoma, mościł się do drzemki na kolanach matki, przytulał kędzierzawą główkę do jej ramienia i prosił o bajki...

Minęło niewiele lat i wyrośnięty drągał — tak niepodobny do tamtego miłego i ładnego dziecka — budzi coraz większy niepokój, jest przyczyną bezsennych nocy i pełnych trwogi rozmyślań o przyszłości.

Michał wyglądem ani usposobieniem nie przypomina żadnego z rodziców. Obie dziewczynki mają włosy jasne jak ojciec i ciemne, brązowe oczy matki, noski lekko zadarte po niej i dołki w okrągłych brodach po Franku. Małgosia uporem, wytrwałością i skłonnością do rozszczepiania włosa na czworo przypomina młodziutką Wikę, a Hania wesołość, energię i przekorę

10 — W myślach, w sercu.

145

odziedziczyła po ojcu. Tylko Michał jest inny, jakby obcy w tej rodzinie, ze swymi kasztanowatymi włosami, smagłą twarzą i pochmurnym spojrzeniem szarych oczu. Franek twierdzi, że syn wziął urodę po nieżyjącym bracie Pawle, ale i on przyznaje, że usposobieniem Michał nie przypomina nikogo z rodziny.

„Podobno pewne cechy można odziedziczyć po dziadkach i pradziadkach — rozmyśla pani Wiktoria — a cóż my wiemy o tych ludziach, którzy tak dawno pomarli? Ja pamiętam tylko obie babcie i nie umiałabym powiedzieć o nich nic ponad to, że były stare, samotne i dobre. Franek o swoich dziadkach nic nie wie, zmarli przed jego urodzeniem, a jedyne wspomnienia to mgliste opowieści ojca o kuźni, w której lubił przesiadywać w dzieciństwie. Może Michał jest podobny do któregoś z tych nieżyjących starców?”

Gdyby ktoś spytał, jaka cecha charakteru syna budzi w niej największy niepokój, pani Wiktoria odpowiedziałaby — bierność.

Nie lenistwo, nie częste kłamstwa, nie upodobanie do prostackich rozrywek, nie skłonność do przebywania w nie najlepszym towarzystwie, lecz właśnie bierność.

Michał żył jak we śnie, obojętny na opinie nauczycieli i kolegów, na wymówki matki, na ostre słowa ojca, na drwiny i złośliwości sióstr. Było mu wszystko jedno, czy ganią go, czy chwala, jedno i drugie przyjmował z pogardliwym wzruszeniem ramion, z miną człowieka znudzonego własnym istnieniem. Michał o nic się nie ubiegał, niczego chyba nie kochał i niczego nie nienawidził, przyjmował to, co mu niósł dzień dzisiejszy, nie buntując się, nie walcząc, nie angażując ani sił, ani uczuć.

Pani Wiktoria była skłonna tłumaczyć wszystkie wady syna, niechęć do nauki, brak ambicji, kłamliwe wy-

146

kręty, upodobanie do przebywania w towarzystwie chłopców o nie najlepszej opinii tą właśnie dominującą cechą jego charakteru: biernością.

Właściwie Michał interesuje się tylko sportem i jazzem, ale też w sposób bierny. Potrafi godzinami gapić się w telewizor na mecz piłkarski i bokserski, ale sam sportu nie uprawia, nie należy do żadnego klubu, nie chodzi na pływalnię. Wystarczy mu oglądanie cudzych osiągnięć. Jego zainteresowanie muzyką jazzową ogranicza się do leniwego leżenia na tapczanie lub podłodze i puszczania jednej płyty za drugą. Nie umie nic powiedzieć o tej

muzyce, nie interesuje się wykonawcami, nie pamięta nawet tytułów ulubionych melodii i piosenek.

„Skąd to się bierze, dlaczego Michał jest taki? — myśli ze smutkiem matka. — Od kogo nauczył się obojętności, zgody na wszystko, co życie przynosi, tej chłodnej, wyczekującej postawy? Przecież obie dziewczynki są zupełnie inne, pełne ciekawości świata, zdarzeń, ludzi. Obie ambitne, szczerze... Marzą o przyszłości, planują sobie życie lepsze, ciekawsze niż nasze. A Michał... Michał czuje się najlepiej, stojąc oparty o ścianę czy płot, patrząc pod nogi i milcząc”.

Pani Wiktoria poruszyła się niespokojnie na ławce. Drobne, nic nie znaczące zdarzenie uruchomiło jej wyobraźnię, skłoniło do cofnięcia się myślą. Widok matki prowadzącej za rękę rosnącego, może ośmioletniego chłopca, która w pewnej chwili przyklęła i zawiązała dziecku sznurowadło...

„A może... może to także i nasza wina? — pomyślała z lękiem. — Może to my sami, działając w najlepszej wierze, zrobiliśmy z Michała bezwolną kukłę, która niczego nie pragnie, o niczym nie marzy, bo dostaje wszystko gotowe bez wysiłku, bez trudu?”

10\*

147  
Franek szalał ze szczęścia, gdy urodził się Michał. Owszem, cieszył się Małgosią i Hanią, ale one były tylko dziewczynami, a on jeszcze przed ślubem wyznał, że marzy o synach.

Michałowi w dzieciństwie było wszystko wolno, niepokój matki, jej skargi na nieposłuszeństwo chłopca, na jego upór, zaciętość Franek zbywał śmiechem.

— Chciałabyś z niego zrobić maminsynka? — pytał. — Chłop musi być uparty, twardy i zawzięty.

Dziewczynki musiały we wszystkim ustępować bratu. Franek podświadomie wyrabiał w nich poczucie niższości wobec mężczyzny, który sposobi się na głowę domu i żywiciela rodziny. Te poglądy ugruntowały się u niego jeszcze w Mostowicach. Na wsi najcięższa praca kobiety jest zawsze mniej warta od pracy mężczyzny, zdanie najmądrzejszej kobiety pozostaje „babskim gadaniem”. Owszem, Franek w zażartych dyskusjach z żoną przyznawał, że te poglądy są przestarzałe, nieaktualne i niesprawiedliwe, ale we własnym domu nie umiał ich odrzucić. Michał rósł na małego egoistę, przeznaczonego do obsługiwania przez innych. „A ja? Czy ja nie dorzucam kamyczka do tego ogródka? — przeraziła się pani Wiktoria. — Czy nie przyzwyczaiłam moich dzieci do braku aktywności? Wyręczam ich przecież we wszystkim, nie wymagam nawet, by dbały o własne rzeczy. I sama przed sobą tłumaczę swoje postępowanie: »Ja to zrobię, niech się uczą, szkoda ich czasu i energii na domową krzątani-  
nę«”.

To też był wpływ Franka, zwłaszcza jeśli chodzi o Michała, bo co do dziewczynek to przeforsowała sobotnie i niedzielne „praktyki” w kuchni.

Ale Małgosia nigdy nie przeprała nawet własnej bielizny, nie umiała porządnie wyprasować bluzki, a o reperacji czy cerowaniu szkoda wspominać! Ze

148

wszystkim przychodziła do matki. Prawda, ostatnio zapaliła się do robót na drutach, wśród jej rówieśnic zapanowała moda na własnoręcznie szydełkowane czapki, szale, swetry... Małgosia długo biedziła się nad włóczką i szydełkiem i ostatecznie zaczęty szalik wykończyła matka. A Michał? Michał w ogóle nie interesował się domowymi sprawami, matka prała mu koszule, czyściła buty, robiła porządki w szafach i szufladach, szykowała jedzenie, sprzątała po nim, zmywała i wycierała.

— To są babskie sprawy! — oświadczył kategorycznie Franek, gdy pewnego razu Wiktoria zaproponowała nieśmiało, by Michał pomógł przy zmywaniu naczyń.

Franek nie cenił jej pracy, wielogodzinne stanie przy kuchni, pralce czy desce do prasowania nazywał „obijaniem”, czasem tylko, z łaski, pomógł przy przesuwaniu ciężkich mebli czy wyniósł dywan do trzepania.

Zresztą, prawdę mówiąc, nie wymagała od niego pomocy. Wiedziała, jak ciężko pracuje, uczy się... a jeszcze ten ogródek! To była sprawka Felka Derkacza. Któregoś dnia doszedł do wniosku, że Franek powinien mieć działkę, popracować na świeżym powietrzu, hodować rzodkiewki, kapustę i sałatę. Akurat nadarzała się okazja, sąsiedzi Felka wyprowadzali się z Wrocławia i chcieli odstąpić ogródek działkowy.

Pani Wiktoria wzdycha na wspomnienie tamtych odległych czasów. Przestała w ogóle widywać męża, Franek zapalił się do ogrodnictwa, wszystkie popołudnia, wszystkie niedziele i wolne dni spędzał na działce. Choć ją to gniewało, musiała przyznać, że wyniki były nadzwyczajne. Takich pomidorów, takich ogórków, takiej sałaty nie jadła nigdy w życiu. Tylko znów wybuchały między nimi spory, ona chciała, by Franek posadził róże, tulipany, piwonie, by altanka

149

tonęła w kwiatkach, a on był zdania, że szkoda takiej dobrej ziemi pod kwiaty, że ważniejsze są własne świeże jarzyny i owoce. Ale prawdziwe piekło rozpętało się, gdy Franek zapowiedział, że będzie na działce hodować kury i że ona, Wiktoria, powinna je co rano karmić i wypuszczać z kurnika.

— Rano nie mam czasu — dowodził — a ty weźmiesz Hanię (starsze dzieci chodziły już do szkoły) i będziecie miały piękny spacer.

Pani Wiktoria oparła się temu stanowczo. Kury i co jeszcze?! Nie przekonały jej kuszące wizje własnych świeżutkich jajek, kurczaków i niebываłych oszczędności w gospodarstwie.

— Nie cierpię kur! — powiedziała. — Są głupie, krzykliwe i śmierdzą. Jeśli ci na tym zależy, mogę do końca życia nie wziąć do ust jajecznicę, ale kur hodować nie będę!

No i Franek wreszcie ustąpił, a po paru latach musiał zrezygnować z działki, po prostu nie starczyło mu czasu, a Michał, który początkowo chętnie pomagał ojcu, z zapałem kopał i grabił, nagle zbuntował się i oświadczył, że zna ciekawsze zajęcia niż grzebanie w błocie.

Ach, ten Michał! Wszystkie jego sprawy tak właśnie się kończyły, zostawiały osad niepokoju i goryczy.

Pani Wiktoria podniosła się z ławki i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu. Przystanąła na rogu ulicy i od kobiety sprzedającej kwiaty kupiła kilka peonii. Wdychając ich zapach, poczuła się jakby spokojniejsza, ostry niepokój zgasł, pomyślała o synu z czułością i nadzieją. „Jestem zdenerwowana i dlatego widzę wszystko w ciemnych barwach. Z pewnością przesadzam, Michał nie jest złym chłopcem... jest tylko jeszcze bardzo młody, niedojrzały...

Dorośnie, skończy szkołę i studia,

ISO

będzie samodzielny i zmieni się. To, czego nie potrafiliśmy dokonać my, rodzice, sprawi życie, praca i... kobieta. Iluż to mężczyzn zmieniło się na lepsze pod wpływem żon. Choćby... Jędrak.

Uśmiechnęła się na myśl o ciotecznym bracie, nierobie i obiboku, „czarnej owcy”, przyczynie łez matki i wstydu ojca. „Nic z niego nie będzie — mówili świadomi rzeczy przyjaciele — to stracony chłopak”. Nie mieli racji. Jędrak spotkał dziewczynę, musiała być odważna, skoro nie zlekka się małżeństwa z człowiekiem o takiej opinii, ożenił się, skończył studia, jest najlepszym mężem i ojcem.

Tak, ale wady Jędrka były zupełnie inne i na innym wyrosły podłożu. Był wesoły, towarzyski, dla dobrej kompanii rzucał wszystko, miał niezziemskie pomysły, z których przeważnie nic nie wychodziło, nie potrafił zmusić się do systematycznej pracy czy nauki, był postrzelony i rozwichrzony. Ale nie żył w przekonaniu, że przyszedł na świat po to, by wszyscy: rodzice, siostry, przyjaciele usługiwali mu, że jego rolą jest brać, a tamtych dawać.



Michał uważa, że powinien osiągnąć wszystko tak sobie, mimochodem, bez pracy i bez wysiłku...

Pani Wiktoria przeszła przez jezdnię i podeszła ku oknom wystawowym księgarni. Lubiła rzucić okiem na rozłożone książki, często wstępowała do środka i wychodziła z nowym nabytkiem.

Dziś jednak przekonała się, że nic ciekawego nie nadeszło, a to, co leży na wystawie, nie budzi jej zainteresowania. Odwróciła głowę i kątem oka dojrzała dziwnie znajomą chłopięcą sylwetkę. Nadjechał tramwaj i chłopiec wskoczył do wozu. Teraz dopiero go poznała i zawołała głośno:

— Michał!

151

Tramwaj ruszył z donośnym dzwonieniem, stojący na pomoście chłopiec odwrócił twarz. Michał? Co tu robił o tej porze? Czy zdążył wrócić do domu, zjeść obiad i znowu wyjść? Dokąd pojechał?

Pani Wiktoria, gnana złym przeczuciem, szła szybko w stronę domu. Przeszkadzał jej nieporęcznie zwinięty rulon kartonu, paczki, pęk kwiatów. Doszła wreszcie i zadzwoniła.

— Jak klawo, że dostałaś karton! — wykrzyknęła Hania. — Już się bałam, że chodzisz po mieście i nie możesz znaleźć. A klej kupiłaś?

— Haniu, czy Michał był w domu? — przerwała dziewczynce.

— Michał? Nie. Przecież jeszcze nie ma trzeciej. Gośka też nie wróciła. Kartofle się gotują! Mamo, czy te biszkopty w spiżarce to na tort?

— Nie, możesz sobie wziąć.

— To dobrze, bo ja już wzięłam. To proszę o karton.

Pani Wiktoria machinalnie podała córce paczki i nagle uświadomiła sobie, że coś niezwykle uderzyło ją w wyglądzie syna. Nigdy nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy.

„Wyglądał jak człowiek śmiertelnie przerażony — przeleciało jej przez myśl. — Co się stało, czego on się boi? I czemu nie wrócił do domu?”

Posłyszała na klatce schodowej znajome kroki, poznała chód męża i szybko otworzyła drzwi. Jeden rzut oka na twarz Franka powiedział jej wszystko. Nie potrzebowała słów, nie zdziwiła się, gdy mąż usiadł ciężko na kuchennym taborecie i cicho powiedział:

— Byłem u lekarza. Źle ze mną, Wikta, całkiem źle.

## CZEŚĆ TRZECIA

### Pamiętnik Małgosi

11 marca 72. Postanowiłam pisać pamiętnik. Podobno to dzisiaj niemodne, ale gwizdzę na modę, i nie bez przyczyny.

Po pierwsze — nie mam z kim mówić o ważnych sprawach, mama mnie nie rozumie, Alina zakochała się w Jacku i jest zupełnie nieprzytomna, Grażyna interesuje się tylko kieckami i kinem, a innych przyjaciółek nie mam.

Po drugie — dostałam od babci z Krakowa gruby zeszyt w czerwonej skórkowej oprawce, z którym nie wiadomo co robić. Do szkoły za ładny, a na pamiętnik nadaje się w sam raz.

Po trzecie — spotkało mnie coś okropnego i nikomu nie potrafiłabym o tym opowiedzieć, nawet Alinie, a

153

czuję, że umarłabym, gdybym się przed kimś nie wywnętrzyła. Więc niech tym kimś będzie pamiętnik. Ale najpierw muszę napisać coś o sobie. Wprawdzie nie mam zamiaru nikomu pokazywać mojej pisaniny, ale tak się podobno zawsze robi. Na imię mam Małgorzata, przed miesiącem skończyłam piętnaście lat, chodzę do ósmej klasy i uczę się dobrze.

Mam starszego o rok brata Michała i dziesięcioletnią siostrę Hanię. Mieszkam od urodzenia we Wrocławiu, mamy ładne mieszkanie, mój tatuś jest inżynierem, buduje wysokościowce na

Pilczycach, mama pracuje w wypożyczalni książek, choć skończyła kiedyś, dawno, polonistykę i ma tytuł magistra.

Nie mamy tu we Wrocławiu żadnej rodziny, w Krakowie mieszka matka mamusi i ciotka (wujek niedawno zmarł), a w Szczecinie druga ciotka, czyli moja cioteczna babka, którą mama bardzo kocha, bo przed wojną ta właśnie ciocia Jadzia ją wychowywała. Co prawda nie rozumiem dlaczego, skoro babcia nie pracowała i mama była jedynaczką? Ale mniejsza z tym. Są jeszcze w Lublinie i w Bydgoszczy jacyś kuzynowie i kuzynki mamy, jednak rzadko się z nimi widzimy i właściwie to dla mnie zupełnie obcy ludzie. Tatuś ma jeszcze mniej rodziny. Babcia zmarła przed moim urodzeniem, dziadka pamiętam słabo, byłam zupełnie mała, kiedy tatuś pojechał na jego pogrzeb. «Wiem tylko, że nosił siwe, bardzo kolące wąsy, którymi drapał mnie po policzkach, że strugał mi śmieszne figurki z drzewa i pamiętam też, jak lubił się drażnić z mamą; gdy siedziała na ganku czytając (zawsze lubiła czytać), deklamował wierszyk, który mogę zacytować jeszcze dziś:

Rzuć tę książką do pieci, Niech w kawałki się rozleci!

154

Niechaj zginie, niech przepadnie, Chodź się bawić. Tam tak ładnie!

Wierszyk był chyba bardzo niepedagogiczny (kto widział namawiać do niszczenia książek?!), ale dziadek tak jakoś śmiesznie go recytował, że mama rzeczywiście odkładała książkę i szła z nami na huśtawkę zawieszoną na gałęzi starej gruszy albo na łąkę za domem.

Po śmierci dziadka przestaliśmy jeździć do Mostowic, przedtem spędzaliśmy tam część lata, pamiętam, że jeszcze tylko dwa czy trzy razy byłam z mamą i z rodzeństwem u wujka Jaśka. Z całej rodziny taty został teraz tylko on i najstarszy jego brat Jan, a kiedyś było ich pięcioro czy nawet sześcioro, dokładnie nie pamiętam. Wiem tylko, że jeden z braci taty utonął jako małe dziecko, a drugi poszedł do partyzantki i zginął. Tatuś zawsze mówi, że Michał to wykrapany portret tego brata Pawła i ma wtedy taki dziwny wyraz oczu, jakby chciał się rozpłakać. Pewno dlatego Michałowi wszystko wolno i ma w domu jedwabne życie, co mnie niesłychanie irytuje, bo nienawidzę niesprawiedliwości.

Czasem mi się wydaje, że nasza rodzina jest zupełnie zwyczajna, a czasem znów myślę, że jednak nie. To dlatego, że nasłuchiwałam się różnych, zupełnie odmiennych opinii o mamusi i tatusiu, i że zarówno babcia, jak i wuj Janek rzadko i niechętnie do nas przyjeżdżają, choć każde z innych powodów.

Babcia nie bardzo lubi tatusia, to się rzuca w oczy, i przy każdej okazji daje mu do zrozumienia, że zmarnował życie jej córce, to znaczy mamusi, że Wika, to jest mama, mogła zrobić karierę naukową, że była stworzona do czegoś lepszego niż pranie pieluch i mycie garnków. Tatuś wtedy bardzo się gniewa i pyta, czy mama naprawdę czuje się nieszczęśliwa i pokrzywdzona,

155

a mamie jest okropnie głupio i chciałyby odpowiedzieć tak, żeby oboje byli zadowoleni, no i oczywiście nic z tego nie wychodzi; babcia i tatuś gniewają się jeszcze bardziej.

Babcia nie lubi tatusia dlatego, że on pochodzi ze wsi, i przy każdej okazji to podkreśla. Nie wprost, oczywiście, że nie, na to jest za dobrze wychowana, ale na przykład rozwodzi się szeroko nad rodzinnymi koligacjami swoimi i swego nieżyjącego męża, wylicza, ilu lekarzy, inżynierów, adwokatów wydały te rodziny, podkreśla z dumą, że był nawet jeden profesor uniwersytetu, a jakaś jej ciotka wyszła za mąż za właściciela ziemskiego! No a tata, wiadomo, nie może się pochwalić ani jednym krewnym z wyższym wykształceniem. Okropnie nudne są te opowiadania i nie cierpię, gdy babcia zmusza nas do wysłuchiwania nie kończących się wspomnień o ludziach, których nie znam, których na oczy nie widziałam i którzy mnie nic a nic nie obchodzą! Ale już wolę te opowieści niż ironiczne uwagi babci, która oglądając nasze mieszkanie kiwa głową nad czymś, co jej się nie podoba, i pyta cedząc słowa przez zęby:

— To pewno kupił wasz ojciec?

Albo złości się na Michała, który wpada do pokoju jak bomba, zapomina pocałować babcię w rękę (wcale nie zapomina, dobrze wiem, że nie cierpi „lizania”), albo odburknie coś niegrzecznie. Babcia mruży wtedy oczy i mówi:

— Co za maniery!... Tego nie wzięliście z pewnością po waszej matce, która urodziła się w porządnym domu!...

Znowu wujek Jasiak nazywa tatę „jaśnie panem”, ma mu za złe, że przeniósł się do miasta i zostawił na jego głowie całą gospodarkę (choć przecież zyskał na tym, że został sam i nie trzeba było dzielić tych kilku

156

morgów!), dokuczają mamie, że się nie zna na wiejskiej robocie, że ma takie białe, delikatne ręce, które jego zdaniem — nie nadają się do niczego.

A to nieprawda, bo mama wszystko robi w domu i wszystko potrafi, a że nie umie doić krów albo żąć trawy sierpem, to nic dziwnego. Gdyby mieszkała na wsi, umiałaby na pewno!

Wujek czasem pisze do nas i przy końcu listu zaprasza, żebyśmy przyjechali na święta albo na wakacje, ale zawsze dodaje uszczypliwie: „jeśli wam nasze progi nie są niskie i gnój nie przeszkadza”.

Bo kiedyś podczas wakacji akurat po naszym przyjeździe wujek czyścił chlewy i to świństwo okropnie śmierdziało, tak że wcale nie mogliśmy spać, bo okien nie dało się zamknąć z powodu upału. I wujek do dziś mamie nie może zapomnieć jej pojękiwań na niemiłe zapachy. Więc tak to jest, dla jednych tata jest za mało elegancki, ma „gminne gusta” i „prostackie maniery”, a dla drugich został „jaśnie panem” i przewróciło mu się w głowie, bo „kto to widział, żeby stary chłop brał się do nauki?”

Tatusz rzeczywiście bardzo późno skończył studia, dawniej nie miał możliwości, musiał pracować; zarabiał i kończył gimnazjum wtedy, kiedy inni już dawno byli inżynierami i magistrami.

A mnie się to właśnie bardzo podoba, że tata miał ambicję i nie spoczął na laurach, czyli na stanowisku technika budowlanego, ale uczył się dalej wieczorami, zrobił dyplom i teraz jest inżynierem.

Ja już byłam dość duża i doskonale pamiętam, jak nocami paliło się w kuchni światło, ponieważ mieliśmy wtedy małe mieszkanie i tatuś nie chciał nikomu przeszkadzać. To musi być okropnie ciężko pracować i studiować równocześnie, a w dodatku (wcale nie ro-

157

zumiem dlaczego?) tata nie chciał, żeby mama wzięła posadę. Więc było nam wtedy trochę trudno i pamiętam, że nieraz musiałam się obejść smakiem, bo mama nie miała pieniędzy na czekoladę albo na lody, albo na nową lalkę.

Ale to już dawne czasy i teraz jest zupełnie inaczej.

I jestem bardzo dumna, że mam takiego ojca, i kiedyś nawet powiedziałam to babci, gdy jak zwykle zaczęła się czepiać naszego taty. Byłam wściekła i niegrzeczna dla niej.

— Wszyscy lubią naszego tatusia! — krzyczałam. — I wszyscy uważają go za porządnego i mądrego człowieka. A dyrektor Derkacz mówi, że takiego jak Franek Słapa to ze świecą szukać. Tylko babci zawsze coś się nie podoba!

Dyrektor Derkacz to najstarszy, najdawniejszy kolega i przyjaciel ojca, a ich przyjaźń zaczęła się bardzo śmiesznie i dziwnie, bo od bójk. Najpierw się pobili, a potem żyć bez siebie nie mogli. I pan Derkacz bardzo lubi wspominać te dawne czasy i opowiadając co raz mówi „cholender”. Takie już ma przyzwyczajenie.

Babcia wtedy jakoś dziwnie na mnie popatrzyła i zauważyłam, że jest jej przykro. Może się zawstydziała, a może

12 marca 72.

Musiałam wczoraj przerwać pisanie pamiętnika, bo wpadła do mnie Ceśka (na sekundę, tylko porównać wyniki zadania z algebry, i siedziała półtorej godziny), a jak dziś przeczytałam te

kilka stron, to doszłam do wniosku, że nie potrafię chyba pisać pamiętnika, bo okropnie szeroko opowiedziałam o naszej rodzinie, zamiast od razu przystąpić do rzeczy.

158

Ale mniejsza z tym, piszę przecież dla siebie i nikt nie będzie krytykować ani tym bardziej oceniać.

To tylko nasza polonistka, którą nazywamy Kaphor-nem, żąda, by wypracowania były zwięzłe i na temat. Choć i ona wymaga ogólnego wprowadzenia, więc może moje bazgroły nie są takie złe, a zresztą Kaphorn nigdy ich czytać nie będzie. Muszę jeszcze wyjaśnić, dlaczego tak nazwaliśmy panią Szamlińską. Kaphorn pochodzi od nazwy Cape Horn (i właściwie należałoby raczej nazywać ją „Kejphorn”, żeby to brzmiało podobnie j do angielskiego.) Otóż ów Cape Horn to jest miejsce szalenie niebezpieczne dla żeglarzy. Podobno ginęli tam masami z powodu ostrych prądów, wiatrów i podwodnych skał. A pani Szamlińską też jest okropnie niebezpieczna i lepiej ją omijać, żeby się nie nadziać. I jeszcze jedno muszę wyjaśnić, zanim przystąpię do sedna sprawy, żeby nie było nieporozumień.

Bardzo kocham moją mamę i chciałabym, żeby zawsze między nami wszystko było w porządku. I mama mnie kocha, i jest dobra, wyrozumiała i sprawiedliwa.

Ale od jakiegoś czasu wcale nie możemy się zrozumieć nawzajem, ja swoje, mama swoje, ja biało, mama czarno.

I chyba już teraz wiem, dlaczego tak jest. Mama (przykro mi, ale trudno, postanowiłam, że będę absolutnie szczerą, nawet gdybym musiała ujawniać różne sprawy niemiłe albo wstydlive), otóż mama jest niedzisiejsza, zacofana, nie potrafi iść z prądem czasu i przystosować się do nowych warunków.

Właściwie od początku (to znaczy od chwili, kiedy mogłam pewne rzeczy zrozumieć) nie podobało mi się, że mama nie pracuje. Uczyła się tyle lat, napisała pracę magisterską tak dobrą, że fragmenty jej były drukowane w jakimś literackim czasopiśmie, miała róż-

159

ne piękne plany i w rezultacie — klops! Przez dwanaście lat siedziała w domu i zajmowała się wyłącznie nami.

Moim zdaniem kobieta, która przez cały dzień myśli tylko o kuchni, praniu, sprzątanii i zakupach, po prostu głupieje! Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że moja mama jest głupia, wcale nie! Wprost przeciwnie, uważam ją za bardzo mądrą, inteligentną i nieraz podziwiam, ile rzeczy pamięta z tego, czego uczyła się tak dawno, potrafi mi różne zagadnienia wytłumaczyć lepiej, niż to robią nauczyciele.

No i mama dużo czyta, kupuje stopy tygodników i miesięczników, zawsze wie, co grają w teatrach i która sztuka jest dobra i dlaczego.

Więc nie o to chodzi, że mamie brak inteligencji albo wiadomości, wcale nie. Mama po prostu za mało styka się z ludźmi (bo nawet teraz w tej swojej bibliotece ma do czynienia przede wszystkim z książkami i mówi tylko o książkach!) i nie wie, że wszystko się zmienia, że czas nie stoi w miejscu i że młode dziewczęta są teraz zupełnie inne niż kiedyś.

I chce, żebym ja była podobna do niej, żebym zachowywała się, myślała i mówiła tak jak ona, gdy miała piętnaście lat, a przecież to jest absolutnie niemożliwe i nie mogę pojąć, że mama tego nie rozumie.

W tej chwili uprzytomniłam sobie, że krążę wokół pewnej sprawy jak ćma koło lampy i chyba... chyba nie mam odwagi zacząć.

Basta, Małgorzato! Skoro się coś postanowiło, trzeba być konsekwentnym. Najlepiej zacznę od końca, bo to ostatecznie jest najważniejsze.

Otóż jakieś dwa tygodnie temu miałam awanturę z mamą i mama... mama uderzyła mnie w twarz.

Wprawdzie zaraz potem rozplakała się i ryczałyśmy obie i, oczywiście, widziałam, że było jej szalenie przy-

160

kro, ale to nie zmienia faktu. Zostałam znieważona przez własną matkę. Powód? Zupełnie głupi, moim zdaniem. Mama szperała w moich rzeczach i znalazła zdjęcie robione przez Jurka (jego ojciec pożyczył mu aparat i lampę błyskową) na prywatce u Grażyny.

To był bal gałganiarzy i postanowiliśmy przebrać się w naj-najdziwniejsze stroje. Żeby nie było nudno, żeby nikt nie był podobny do siebie, żeby wyszła z tej prywatki hecna draka.

Co prawda nie wszystkim to się udało. Grażyna włożyła po prostu suknię balową swojej matki i choć wyglądała bardzo ładnie, wszyscy orzekli, że jest zbyt zwyczajna. Za to Jurek przebrał się za hippisa i wyglądał niezmiernie, z włosami do pasa zrobionymi z brązowej włóczki, w łatanych portkach, podartej koszuli i boso. Witek był niesłychanie wytworny we fraku swojego starego, który jest skrzywką i gra w filharmonii. Witek miał nawet monokl zrobiony ze szkielec od zegarka i tekturowy cylinder, który mu okropnie przeszkadzał, zwłaszcza przy szybkich tańcach. Ki-ka była kwiatkiem, trudno zgadnąć jakim, bo nawaliła na siebie wszystkie kolory tęczy, Alina bardzo przystojną małpą w masce i brązowych trykotach, z kapitalnym ogonem zrobionym ze sprężynek, falującym i podrygującym przy każdym ruchu. Ale pierwszą nagrodę przyznano mnie i Jackowi.

Jacek (sympatia Aliny) przebrał się za Tarzana. Miał na sobie tylko jakieś slipki i tygrysią skórę. Jego stary siedział dwa czy trzy lata w Indiach, gdzie budował cukrownię albo elektrownię, nie jestem pewna co, i przywiózł różne cuda. Posążki Buddy z kości, drzewa, jakieś kadzielnice, lampy, haftowane jedwabie i skórę tygrysa. Oczywiście kupił ją w sklepie, nie wyobrażam sobie pana Wilkowskiego, z jego brzuszkiem i okularami, na polowaniu. Normalnie

skóra wisi w gabinecie nad kanapą i wygląda tak sobie, nawet w pierwszej chwili podejrzewaliśmy, że jest sztuczna jak te futra w komisie, ale okazało się, że prawdziwa. Na Jacku prezentowała się wspaniale, zwłaszcza gdy zaczął wydawać dzikie okrzyki i bębnić pięściami po piersiach. Kompletny dzikus i pierwotniak!

A ja przebrałam się za tancerkę z francuskiego kabaretu. Namordowałam się do siódmego potu odpruwając falbanki z wycyganionej od mamy, przedpotopowej szaty, ale efekt był bombowy. Gdy weszłam (trochę niepewnie, bo pożyczone pantofle miały cienkie i szalenie wysokie obcasy), wszyscy zaczęli bić brawo.

Powinłam była sfotografować się razem z Jackiem, bo oboje byliśmy najlepsi, ale Jurek orzekł, że nie będzie efektu, gdy stanę obok dzikusa w tygryziej skórze i że do mojego kostiumu pasuje wyłącznie Witek i jego frak, a do Tarzana małpa, czyli Alina.

Zdjęcie wypadło wspaniale, wyglądaliśmy jak aktorzy z operetki albo telewizji, ale ja zaraz zdjęłam te szmatki i włożyłam normalną sukienkę i własne pantofle. Trochę mi było chłodno, wciąż przydeptywałam sobie tren, a taniec na tych szczydłach to była męka. I nie tylko to... Nie wiem, dlaczego nie powiedziałam o tym mamie, była przekonana, że przez cały czas bawiłam się w „wyuzdanym”, „wyzywającym” stroju.

Oczywiście mama zabrała zdjęcie i prawdopodobnie zniszczyła, co w pierwszej chwili okropnie mnie zirytowało, ale potem gdy pomyślałam, że Jurek może mi zrobić sto odbitek, jeśli zechcę, machnęłam ręką.

I właściwie to, że dostałam po buzi, nie jest najgorsze, choć mama nigdy dotąd mnie nie uderzyła, jeśli nie liczyć klapsów zbieranych w zamierzchłej przeszłości, gdy jeszcze byłam zupełnie mała.

и\*

163

Co innego mnie gryzie. Wściekam się, że mama nie ma do mnie zaufania, że traktuje mnie jak małą, głupią dziewczynkę, która nic nie rozumie i marnie zginie bez jej uwag i przestróg.

Powiedziała, że jestem bezwstydną, bo pokazałam się w takim stroju chłopcom. A ja... ja właśnie dlatego zdjęłam strój i ubrałam się normalnie, bo ten głupi Witek wrzasnął:

— Patrzcie, ale Gośka ma nogi! Sam miód!

Wiem, że nogi mam niezłe, ale gdy ten dureń powiedział o tym głośno i przy wszystkich, zrobiło mi się okropnie głupio i zaczęłam udawać, że mam dreszcze i że zmarzłam, a Kika z wielką satysfakcją poradziła mi, żebym wskoczyła w swoje normalne rzeczy, „bo jeszcze się przeziębisz i będzie klops”. Widziałam, jaka była zadowolona, kiedy wróciłam w zielonej spódnicy i bluzce w kwiatki, bo aż ją skręcało, że to właśnie ja wpadłam na taki szalony pomysł z kabaretem, a nie ona.

Kika jest zazdrosna i nie może znieść cudzego powodzenia, a swoją drogą nie wyobrażam sobie, jak by wyglądała w moim stroju, przecież ona nie ma wcale wcięcia w pasie, jest jak wałek do ciasta.

Więc najbardziej irytuje mnie to, że mama mi nie wierzy, że uważa mnie za idiotkę, która na widok chłopca traci głowę i gotowa jest zrobić każde głupstwo.

Oczywiście wiem, że są takie kretynki, które bez przerwy gadają o miłości, o randkach, które całkiem serio chodzą z chłopcami i nie mają głowy do nauki ani do poważnych spraw. Ale mnie, przyznam się, wcale to nie bawi i nieraz zastanawiałam się, czy ja jestem normalna? Bo skoro Alina twierdzi, że kiedy Jacek bierze ją za rękę albo przytula w tańcu, to ona jest zupełnie nieprzytomnie szczęśliwa, a ja w takiej samej sytuacji

164

myślę o tym, że chłopak ma spoconą dłoń albo że pogniecie mi sukienkę, albo że jadł na kolację ser ze szczypiorkiem, to chyba coś jest ze mną nie w porządku, no nie?

A mama, jak mama. „Jesteś bardzo młoda, naiwna, niedoświadczona, możesz przez lekkomyślność popaść w złe towarzystwo, unieszczęśliwić się na całe życie”.

Jakie znów złe towarzystwo? Przyjaźnię się z Aliną, która jest bardzo kława, choć teraz przyszedł na nią mały rozum przez tę miłość do Jacka i zamiast pogadać jak człowiek, bez przerwy wzdycha i przewraca oczami. Ale to z pewnością minie i Alina znów będzie przytomna.

Grażyna też nie jest najgorsza, zawsze wie, co się nosi, a czego nie, ma niezwykłe żurnale, „Burdy”, a nawet te najdroższe, francuskie „Vogue”; umie poradzić, jak uszyć kieckę i w czym komu jest do twarzy.

Najmądrzejsza to może nie jest, ale ma świetny gust, a co najważniejsze daje się lubić, bo niczego nikomu nie zazdrości, jest koleżeńska i uczynna.

Z chłopcami z naszej klasy prawie wcale się nie zadaję, chyba tylko z Wojtkiem, bo zwykle razem robimy gazetkę ścienną. Wojtek jest poważny, inteligentny. Więc o co mamie chodzi? 18 kwietnia 72.

Robiłam dziś porządki i znalazłam swój pamiętnik w skrytce pod szafą. Mam takie „sekretnie” miejsce, odkryłam już dość dawno, że kilka płytek parkietu w rogu pokoju odkleiło się i całkiem łatwo można je wyjąć. Wydłubałam to coś, co było w środku, jakiś kit czy inną masę, i w ten sposób uzyskałam idealne miejsce do przechowywania rzeczy, których nie chcę

165

nikomu pokazać, choćby Hani. Smarkula pcha nos w nie swoje sprawy, a potem paple na prawo i lewo.

Swoją drogą to niesprawiedliwe, że muszę gnieść się z Hanką w jednym pokoju, a Michał jest sam. Co prawda ma pokój znacznie mniejszy od naszego. Klitkę dwa na trzy metry.

Schowałam pamiętnik do skrytki przed dwoma miesiącami i zupełnie zapomniałam. Teraz przeczytałam od nowa to, co napisałam, i przyszło mi na myśl, że mama może ma trochę racji.

Tyle się słyszy o różnych lekkomyślnych dziewczętach, które postępują jak idiotki, a potem płaczą, bo już nic nie można poradzić.

I reakcję mamy na mój ubiór po namyśle uznałam za słuszną, bo strasznie się wygłupiłam i powiedziałam coś, co ją wytrąciło z równowagi.

Chociaż w dalszym ciągu uważam, że nie to jest ważne, jak człowiek się ubiera, lecz to, jak się zachowuje. Może mój kostium był rzeczywiście „wyzywający”, ale ja nie robiłam ani takich min, ani nie uśmiechałam się jak Marta, która w przepisowym szkolnym mundurku potrafi zrobić z siebie coś zupełnie obrzydliwego.

10 maja 72.

Dostałam dziś od mamy na imieniny zamszową konduktorę. Cudo! Wprawdzie moje imieniny są w czerwcu, ale mama dała mi prezent wcześniej, bo i tak wiedziałam jaki, ponieważ razem wybierałyśmy torebkę. Wieczorem była straszna awantura, Michał znów oberwał dwie dwójce z chemii i mama musiała powiedzieć ojcu, że trzeba mu załatwić pomoc. Tatuś tak się zirytował, że nie jadł kolacji i wciąż pytał: „Co z ciebie wyrośnie, dlaczego się nie uczysz, jak sobie

166

wyobrażasz przyszłość bez nauki, bez zawodu, chcesz iść do łopaty?” A ten idiota odpowiedział: „Nie zależy mi, nie muszę zdawać matury, mogę pracować łopatą, być robotnikiem. Ty też zaczynałeś od łopaty.” Taki dureń. Chciałabym go widzieć jako robotnika bez kwalifikacji, przecież on jest leniwy jak nie wiem co i dlatego najbardziej lubi niedzielę, bo może spać do południa.

11 maj 72.

Wczoraj zapomniałam napisać, że ojciec krzycząc na Michała, wciąż powtarzał: „Za dobrze ci jest na świecie, gdybyś się pouczył choć miesiąc w takich warunkach jak ja, umiałbyś ocenić to, co masz”. Trochę się uspokoił i zaczął opowiadać, jak przyjechał do Wrocławia w czterdziestym piątym, jak zaczął pracować przy odgruzowaniu i jak zapisał się do wieczorowej szkoły. Miał wtedy siedemnaście lat i tylko cztery klasy podstawówki, bo w Mostowicach nie mógł skończyć więcej.

Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego przed wojną były takie dziwne szkoły, czteroklasowe, a nawet podobno dwuklasowe. Czy nie można było ustanowić normalnych sześcioklasowych dla wszystkich? Na przykład nasza mama skończyła sześć klas, a potem gimnazjum i liceum. Zła jestem na siebie, bo wciąż przekonuję się, że w wielu sprawach jestem ciemniak i nie mam pojęcia, gdzie się oświecić. W szkole nie, w podręcznikach nie, najczęściej jeszcze mama wytłumaczy mi coś, czego nie rozumiem. To dziwne, bo przecież uczę się tylu rzeczy, mam coraz więcej lekcji do odrobienia, a wciąż mi się wydaje, że coś tu nie jest w porządku. Zadają nam „stąd dotąd”, przepytują, niektórzy nauczyciele wymagają, żeby odpowia-

167

dać dokładnie, tak jak jest napisane w podręczniku, a gdy chcę naprawdę coś poznać, coś zrozumieć, wcale nie wiem, jak się do tego zabrać. I mama twierdzi, że nie umiem myśleć samodzielnie, że nie widzi u mnie „umysłowej aktywności”. I że to bardzo niedobrze. Być może...

Ale wracam do tatusia. Więc ojciec w dzień pracował przy odgruzowaniu Wrocławia, a wieczorem szedł do szkoły i uczył się. Podobno nieraz miał palce tak poobtłukiwane i zmęczone, że nie mógł w nich utrzymać pióra, a ucząc się nocami, kładł sobie mokry ręcznik na czoło, żeby nie zasnąć. I zrobił te dwie brakujące klasy w ciągu jednego roku, a namówił go do nauka Felek Derkacz, ten sam, który do nas teraz przychodzi i nazywamy go „Cholender”. A jak tata poznał mamę i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia (tatuś tak mówi, ale mnie się nie chce wierzyć, żeby to było możliwe!) i dowiedział się, że mama studiuje na uniwersytecie, powiedział sobie: „Żebym miał trupem paść, skończę gimnazjum i politechnikę i zostanę inżynierem”.

I zrobił to, zresztą zdaje się już o tym pisałam.

A Michał, taki bezczelny: uśmiechnął się drwiąco i spytał:

— Więc w końcu dlaczego się uczyłeś? Żeby mieć lepsze stanowisko, wyższą pensję, czy żeby nie być głupszym od żony?

Myślałam, że Michał oberwie, bo tata poczerwieniał jak burak i wstał z krzesła, ale mama złapała go za ramię i powiedziała:

— Franeczku, nie denerwuj się, znów nie będziesz mógł zasnąć.

A do Michała:

— Michaś, przepraszaj ojca i nie mów nigdy więcej takich głupstw.

168

Michał burknął „Przepraszam” i wyszedł z pokoju, a tatuś jeszcze długo sapał głośno i wyglądał, jakby mu tchu brakowało.

Swoją drogą, jaki ten Michał potrafi być podły, to coś okropnego!

Nie powinnam tak mówić o rodzonym bracie, ale co prawda, to prawda.

Wie doskonale, wszyscy wiedzą, że jest podobny do brata tatusia, który zginął podczas wojny. I że tatuś okropnie tego wujka Pawła kochał. Więc jak tylko coś zbroi albo potrzebuje forsy, albo w ogóle chce tatę „podkreślić”, idzie do niego i zaczyna rozmowę o tym wujku.

Wypytuje, jaki był, co robił, udaje, że szalenie go interesują różne drobiazgi, i zawsze osiągnie to, co chce. Kiedyś mu to wypomniałam, a on się roześmiał i mówi:

— Głupia jesteś, trzeba łapać każdą szansę. Moją jest podobieństwo do szanownego wujaszka i nie widzę powodu, dla którego nie miałbym wykorzystać tego, że ojciec się rozczula i mięknie jak wosk, kiedy się wspomina drogiego nieboszczyka.

Czasem mi się wydaje, że Michał jest zupełnie wredny, ale to przecież niemożliwe, bo gdyby tak było, nie zdarzyłaby się historia ze Staszkiem, z drugim śniadaniem i z kurtką. Ale o tym wiem tylko ja i Michał chyba mnie zabił, gdybym komuś powiedziała. A i tak dowiedziałam się zupełnie przypadkowo...

27 maja 72.

Znów nie miałam nic ciekawego do zanotowania w pamiętniku i nie zaglądałam do niego blisko miesiąc, a zresztą mam dużo nauki, bo niedługo będę zdawać do liceum.

Podobnie niektórzy ludzie, i to bardzo sławni (Dąb-

169

rowska, Nałkowska), przez całe lata pisali dzień w dzień, notowali wszystko, co się zdarzyło. Ja naprawdę nie mam o czym pisać; choć niby dzieją się różne rzeczy i w domu, i w szkole, ale są zwykłe, nieciekawe. Pewno dlatego, że ja jestem zwykła i nic nadzwyczajnego mi się nie przytrafia. Zresztą ci wielcy ludzie notowali swoje mądre myśli i spostrzeżenia, a co ja mogę zanotować? Że dostałam piątkę z fizyki, że nie lubię pani od historii albo że mama nie pozwala mi się odchudzać i łąduje mi co dzień do teczki dwie podwójne kromy chleba z masłem i z wędliną? Ale ja i tak ten chleb zostawiam w szkole, bo wszystkie bluzki są na mnie za ciasne i muszę stracić do wakacji co najmniej trzy kilo! Więc postanowiłam napisać coś o moim bracie Michale, bo byłam niesprawiedliwa wobec niego i ta historia ma coś wspólnego z innymi śniadaniem.

Michał ma zawsze nieludzki apetyt, potrafi zjeść takie masy, że od samego patrzenia człowiekowi robi się niedobrze. Ale jakoś w październiku czy listopadzie przeszedł sam siebie i nawet mama, która zawsze się cieszy, gdy jej dzieci mają dobry apetyt, była zdziwiona. Otóż Michał zażądał, by do szkoły dawano mu nie dwie, ale cztery kromki chleba i jeszcze jabłko, i jeszcze coś słodkiego. A potem przy obiedzie rzucał się na jedzenie jak zgłodniały pies i można by przypuszczać, że nie miał nic w ustach od dwudziestu czterech godzin. Ja nawet się śmiałam i dokuczałam Michałowi, że pewno ma solitera. To trwało jakieś trzy lub cztery tygodnie, aż któregoś dnia wybuchła bomba. Ni mniej, ni więcej tylko



Michał wrócił ze szkoły bez kurtki. Mamie powiedział, że kurtkę mu ukradli, ale ja zaraz poznałam, że kłamie, bo miał czerwone uszy i patrzył w ziemię.

Mama zaczęła wydziwiać na szkołę, na brak dozo-

170

ru i oczywiście lamentowała, że Michał wrócił do domu w samym swetrze, bo przecież było bardzo zimno na dworze i mógł dostać zapalenia płuc.

— Trzeba było poprosić któregoś kolegę, żeby skoczył do domu i przyniósł ci coś ciepłego — powiedziała i kazała mu na wszelki wypadek zażyć aspirynę.

Pewno Michałowi byłoby się upiekło, bo mama nie jest drobiazgowa i nie lubi awantur, a kurtka, choć całkiem porządna, nie była nowa i trochę już na Michała za ciasna i za krótka. Ale gdy wrócił ojciec i dowiedział się o kradzieży kurtki, zapowiedział mamie, że ma bezwzględnie iść do szkoły, do dyrektora i powiedzieć mu o wszystkim.

— Do czego to podobne, żeby takie dzieci okradały jedno drugie? — irytował się. — To' trzeba przeciąć w zarodku, odnaleźć złodzieja i ukarać go, żeby raz na zawsze odechciało mu się takich numerów.

Mama, choć niechętnie, zgodziła się z ojcem i powiedziała, że zaraz jutro pójdzie do szkoły.

Wtedy Michał zaczął kręcić i wystękał, że kurtka zginęła mu nie w szkole, lecz w parku, że zdjął ją na chwilę i położył na ławce, a gdy wrócił, kurtki nie było.

Tata zaczął go naciskać, pytał, w którym parku, o której godzinie, co tam robił w porze, kiedy powinien był siedzieć w szkole, i ostatecznie Michał całkiem się zaplątał. Tata trzepnął go ze trzy razy i bardzo krzyczał, że to wszystko kłamstwo i że Michał ma natychmiast powiedzieć, co zrobił z kurtką?

I wtedy mój ukochany brat zupełnie zwyczajnie i po prostu wyznał, że kurtkę sprzedał, bo był winien pieniądze jednemu koledze, który groził, że pójdzie do szkoły i do domu, i wszystko powie. I że to nie jest kolega z klasy, że poznał go pod kinem i wcale nie wie, jak się nazywa i gdzie mieszka.

No, wtedy zapanowało u nas coś pośredniego mię-

171

dzy bombardowaniem a trzęsieniem ziemi. Michał dostał potężne lanie, ojciec tak się zdenerwował, że mama chciała wezwać pogotowie, co tylko wprawiło tatę w jeszcze większą furję, a ja uciekłam do swego pokoju i siedziałam tam aż do wieczora. Zdaje się, że nawet ryczałam, bo to wszystko było takie okropne!

Chyba przez tydzień ojciec nie odzywał się do nikogo, choć my nie miałyśmy nic wspólnego z tą sprawą. Michał chodził do szkoły w starym płaszczu ojca, w którym wyglądał jak pajac, a mama popłakiwała po kątach.

Jakoś tuż przed Bożym Narodzeniem zobaczyłam Michała spacerującego ulicą Świerczewskiego (szłam do kina z koleżanką) w towarzystwie chudego, bladego chłopca ubranego w kurtkę zupełnie podobną do tej, która przepadła. Ostatecznie to mogło nic nie znaczyć, granatowe ortalionowe kurtki nosi co drugi chłopiec, ja jednak wiedziałam, że Michał swoją rozdarł kiedyś na plecach i że mama bardzo zgrabnie ją naprawiła, ale ślad pozostał.

Chyłkiem pobiegłam za Michałem i przyjrzałam się plecom tego chłopca.

Tak, to była ta sama kurtka.

Wieczorem spytałam Michała, co to wszystko znaczy, a on oczywiście burknął, że nie mój interes, żebym nie wsadzała nosa do cudzego prosa i żebym w ogóle dała mu święty spokój. Nie wiem czemu, ale czułam, że coś tu nie gra i że sprawa nie wygląda tak, jak ją przedstawił Michał. Na własną rękę przeprowadziłam śledztwo (brat Grażyny chodzi do jednej klasy z Michałem) i dowiedziałam się, że ten chłopak to ich kolega, nazywa się Staszek Wójcik, niedawno stracił ojca, ma chorą matkę i troje młodszego rodzeństwa.

No i kiedy wszystko to wygarnęłam Michałowi, bar-

dzo niechętnie i z ociąganiem przyznał się, że całe podwójne śniadanie dawał temu Staszкови, a sam nie jadł nic i że dał mu swoją kurtkę, bo tamten chodził w deszcz i zimno w samym swetrze, a płaszcz musiał oddać młodszemu bratu. I że teraz już zajęła się tą rodziną Opieka Społeczna, dostają zapomogę, a dwoje najmłodszych oddano do Domu Dziecka na czas choroby matki. A potem kazał mi przysiąc, że nigdy i nikomu nie powiem ani słówka.

— Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, rozumiesz?

— Ale chyba rodzice... — wtrąciłam.

— Przede wszystkim oni! — krzyknął.

— Ale dlaczego?... — nie mogłam pojąć.

— Bo nie! — uciął i zagroził, że jeśli się wygamam, to on ucieknie z domu albo zrobi coś jeszcze gorszego.

No więc dotrzymałam obietnicy i nie zdradziłam Michała, choć nie raz i nie dwa miałam ochotę opowiedzieć mamie, jak to było naprawdę z tą kurtką. Bo Michał okropnie zamazał sobie opinię i mama zrobiła się strasznie podejrzliwa w stosunku do niego, a ojciec przez dłuższy czas przy każdej okazji wypominał mu tę historię.

Dziwny jest ten Michał. Czasami mi się wydaje, że on wstydzi się być dobrym, że udaje i zgrywa się na gorszego, niż jest. Ale dlaczego? Nie rozumiem.

20 czerwca 72.

No, nareszcie po wszystkim, dostałam się do liceum bez egzaminu, bo miałam same piątki na świadectwie i tylko jedną trójkę ze śpiewu. Z Michałem oczywiście gorzej, ma pięć dostatecznych i poprawkę z chemii. W lipcu jadę na obóz wędrowny w Bieszczady, a później w sierpniu, wszyscy razem wyruszamy nad morze.

174

4 stycznia 73.

Przed świętami robiło się u nas jak zwykle gruntowne porządki i mama zauważyła ruchome płytki, parkietu pod biblioteczką. Na szczęście w pokoju była Hanka, dałam jej cynk i mała tak zgrabnie zakręciła się koło mamy, że zdążyłam wyjąć ze skrytki moje „skarby”.

Mama nic nie zauważyła i tylko ponarzekła sobie, że dzisiaj wszystko jest zrobione byle jak. A potem przyniosła klej i przykleiła parkiet na amen.

Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie zmartwiło, bo. teraz nie potrzebuję żadnych skrytek. Mam w biurku dwie szuflady zamykane na klucz, który stale noszę przy sobie, i mogę tam chować wszystko, co nie jest przeznaczone dla ciekawskich.

Gdy mama skończyła porządki (musiałyśmy jej pomagać, czego ja nie znoszę, a Hania, owszem, lubi, nawet rwała się do mycia okien), przejrzałam sobie moje „skarby”.

Boże, jaka ja byłam głupia! Po prostu wierzyć mi; się nie chce, że jeszcze rok temu miałam takie wariackie pomysły.

I w ogóle nie mogłam sobie przypomnieć, po co schowałam na pamiątkę jakiś kamyk, zasuszone kwiatki, kawałek czerwonej wstążki? Widać te rupiecie były dla mnie bardzo ważne, bo umieściłam je w pudełku wysłanym różową bibułą. Oczywiście wyrzuciłam te szpargały. Także i kilka kartek od Aliny napisanych naszym sekretnym alfabetem, a zawierających opis „cierpień miłosnych” zadawanych jej przez Jacka. Potem nawet żałowałam, trzeba było pokazać te kartki Alinie.

Byłaby zrobiła wielkie oczy i zapytała: „Jaki Jacek, co za Jacek?” Bo od zeszłego roku Alina cierpiała ze

175

cztery razy i straciłam już rachubę jej „jedynych” i „prawdziwych” miłości.

Kilka drobiazgów wyjętych ze skrytki obejrzałam z przyjemnością, przypominały mi sympatyczne sprawy i zdarzenia.

Program koncertu Marka Grechuty z jego autografem (myślałam, że nie wyjdę żywa z tego dzikiego tłoku) albo rysunek Wieska przedstawiający mnie i Alinę jako leśne wróżki. Jestem na tym rysunku-prawie, prawie zupełnie ładna. Wiesiek namalował nasze portrety na obozie harcerskim. Pamiętam doskonale pożegnalne ognisko, na które zaprosiliśmy mieszkańców sąsiedniej wioski, występ Wojtka z gitarą, piosenki śpiewane przez Martę i Jadzkę i naszą „Leśną balladę”. Okropie nam wtedy imponowało, że zbieramy oklaski jak prawdziwe artystki. Dziś z pewnością już nie chciałoby się nam tak wygłupiać.

Zachowałam te dwie rzeczy, a także podziękowanie od samorządu klasowego za pracę społeczną, legitymację Kółka Krajoznawczego (nie mam pojęcia, dlaczego schowałam ją do skrytki, wszyscy wiedzieli, że należą...), a także wiersz napisany na moją cześć przez Adama J...

Wiersz był absolutnie zerowy, Adam wcale mi się nie podobał, ale wtedy (miałam niecałe piętnaście lat) byłam przekonana, że powinnam zachować na zawsze pierwsze oświadczyń, w dodatku napisane, pożałuj Boże, wierszem.

Miałam ochotę wyrzucić pamiętnik, okropne bzdury pisałam w zeszłym roku, ale szkoda mi było zeszytu w pięknej oprawie. W dodatku większość kartek była czysta, nie wysilałam się wcale, pisząc od przypadku do przypadku...

Ostatecznie, schowałam pamiętnik, może się jeszcze przyda.

1T6

18 stycznia 73.

Mam zamiar kontynuować moje zapiski, oczywiście nie po to, by notować błahе zdarzenia czy sentymentalne bzdury. Chcę zapisywać swoje myśli, wątpliwości, może w ten sposób uda mi się skryształizować poglądy na pewne sprawy. Jestem już prawie dorosła, niedługo skończę szesnaście lat i wbrew temu, co sądzą rodzice, interesują mnie różne zagadnienia, nie tylko moda, kino i koleżeńskie ploteczki.

Co prawda uważam modne ubranie za bardzo istotną część mojego życia, dziewczyna w przedpotopowej kiecce czuje się inna, wyobcowana ze swego otoczenia, a my nie lubimy się wyróżniać. Jak moda na mini, wszystkie noszą mini, nawet te, które powinny chować swoje nogi tak, żeby ich niczyje oko nie widziało. Jak midi to midi, choć ta długość okropie postarza i mało która z nas wygląda zgrabnie w spódnicy do połowy łydki.

Mama załamuje ręce i twierdzi, że nasze upodobania do jednakowych strojów, fryzur, makijażu to brak wyobraźni i bierność. Podobno nie chce się nam wysilać i dlatego wolimy ubierać się i zachowywać według wzorów, które ktoś za nas wymyślił. Może.

Napisałam, że uważam modę za coś bardzo istotnego, i to jest prawda. Lubię mieć coś nowego, coś szalonego nie po to, by imponować innym. Przeciwnie, chcę być taka jak inne. W ogóle zauważyłam, że my dobrze czujemy się tylko w gromadzie, a w gromadzie lepiej się nie wyróżniać. Upodobanie do samotności, przesadny indywidualizm jest źle widziany i w szkole, i w paczce.

Mama oczywiście twierdzi, że zamiłowanie do stałego przebywania w grupie jest oznaką słabości, ale ja się z tym nie zgadzam.

!2 — W myślach, w sercu,

177

Lubię samotność od czasu do czasu, ale lepiej czuję się w towarzystwie. Człowiek pozostawiony sam sobie musi rozstrzygać swoje problemy osobiście, nie może odwołać się do zdania innych, oczekiwać od nich rady i pomocy. I przecież w grupie jest o wiele fajniej. A propos mody, pokazały się szalone, supermodne pantofle na podwyższonych podeszwach. Grażyna dała mi przymierzyć. Owszem, ładne, ale niezbyt wygodne.

A zresztą mama i tak nie da się naciągnąć na taki wydatek, więc nie ma o czym mówić...

25 stycznia 73.

Coś się zaczyna psuć w naszym domu. Wydaje mi się, że ojciec nie jest zupełnie zdrowy, słyszałam, jak mama prosiła, by poszedł do lekarza. Oczywiście ofuknął ją i powiedział, że nic mu nie jest.

Pod tym względem nasz tata jest dziwny, będzie się nosem podpierał, ale nie pokaże po sobie zmęczenia czy złego samopoczucia. Uważa, że prawdziwy mężczyzna nie powinien się pieścić, że silną wolą można pokonać chorobę i że łożenie po przychodniach i zażywanie tabletek to dobre dla bab i dzieci.

Nie jestem zupełnie pewna, czy nasz tata jest „prawdziwym mężczyzną” i co w ogóle znaczy to określenie? Co prawda jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to ojciec jest okazem stuprocentowym. Wysoki, barczysty, bardzo silny, ma donośny głos i energiczne ruchy. Lubi sportowe rzeczy, najlepiej czuje się w swetrze, w wiatrówce i z gołą głową. Chyba nigdy w życiu nie miał kapelusza, nie mówiąc już o parasolu. Dużo pali, lubi sobie wypić od czasu do czasu (ale zawsze w miarę), nie znosi słodczy i jarzyn. Ale nie uprawia żadnych sportów, nie umie jeździć na nartach, pływa ra-

178

czej słabo i po pracy najbardziej lubi położyć się i drzemać na tapczanie.

Z przykrością zauważyłam, że tatuś właściwie nie ma żadnych zainteresowań. Czyta tylko codzienną prasę i fachowe czasopisma, nie słucha muzyki poważnej, rzadko chodzi do teatru. Nawet sport go specjalnie nie bawi, choć od czasu do czasu ogląda mecze w telewizji. Mama tłumaczy to przepracowaniem i brakiem czasu. Tak naprawdę to tata lubi tylko spotkania z kolegami (przychodzą do nas parę razy w miesiącu, piją kawę, trochę grają w karty i przez cały czas rozmawiają o aktualnej budowie) i wyprawy do lasu albo na wieś. Te upodobania ojca doprowadzają mnie do rozpacz, bo gdy tylko śnieg stopnieje, tata wyciąga nas na długie spacerki do lasu, gdzie jest mokro, szaro i obrzydliwie. Ojciec nazywa nas mieszcuchami, pokazuje jakieś ptaszki (dla mnie wszystkie wyglądają jednakowo), każe podziwiać zielone ździebełka trawy przebijające spod warstwy jesiennych liści, oddycha pełną piersią i mówi, że ziemia pachnie.

W lecie ojciec potrafi gnieść się w zatłoczonym autobusie po to, by parę godzin pochodzić po miedzach, brać w palce kłosa zboża, krytykować lub chwalić urodzaj albo leżeć na trawie i patrzeć w niebo. My oczywiście umieramy z nudów, bo w takim otoczeniu nie ma ani towarzystwa, ani kawiarni, nie można popływać ani pograć w piłkę. Ale mama mówi, że to bardzo zdrowo pooddychać świeżym, wiejskim powietrzem. Jednak najgorsza jest jesień. Ojciec ma pełnego bzika na punkcie zbierania grzybów i w każdą niedzielę zrywa nas o świcie, wręcza koszyki i dalejże w lasy, na maślaki i podgrzybki, na kurki i borowiki. Michał zbuntował się pierwszy, powiedział, że wcale nie bawi go łożenie po lesie z oczami wbitymi

!2«

179

w ziemię, że nie lubi grzybów marynowanych ani suszonych, a nawet zupy grzybowej. Ojciec z początku się złościł, potem machnął ręką, bo Michał (dałabym głowę, że naumyślnie) zbierał same niejadalne okazy, które ojciec z obrzydzeniem wyrzucał.

Mama odpadła w jakiś czas potem, męczyło ją wczesne wstawanie i jakoś nigdy nie mogła zapamiętać, który grzyb jest trujący, a który nie, z każdym znalezionym biegała do ojca, żeby się upewnić, i w końcu tata powiedział, że mama lepiej zrobi siedząc w do-mu; Przy okazji i mnie udało się wymigać... Ostatnio tatuś jeździ na grzyby tylko z Hanią, która ma pełnego kota na punkcie grzybobrania i często udaje się jej prześcignąć samego mistrza. Jeżdżą znacznie wygodniej niż dawniej, nie tłuką się autobusem lub pociągiem. Tata zdołał zarazić swoją grzybomanią dyrektora Derkacza i zasuwały jego fiatem daleko, aż za Milicz albo w lasy Bolesławieckie, albo w bory Żagańskie.

A później mama godzinami ślęczy nad obieraniem grzybów, zalewa je octem, soli, suszy i gotuje w słojach Vecka.

Mama twierdzi, że ojciec uwielbia grzybobranie, łażenie po polach i lesie dlatego, że robił to wszystko w dzieciństwie i że podświadomie tęskni do wsi, do dawnego trybu życia. I że wszyscy dorośli lubią wspominać odległe czasy, które wydają się im nieprzerwanym pasmem szczęścia. I gdy ja będę w wieku ojca (nie mogę sobie wyobrazić siebie w roli starszej pani po czterdziestce!), przekonam się, że to prawda.

Odbiegłam od tematu, miałam przecież zastanowić się, czy mój ojciec jest prawdziwym mężczyzną... Charakter ma, owszem, męski, w tym gorszym znaczeniu. Nigdy nie zhańbił się pomaganiem мамie w kuchni, nie przypominam sobie, by choć raz załatwił zakupy w sklepie lub wyniósł śmieci. Za to bardzo chętnie na-

180

•"ТІІ- Г

prawią w domu różne rzeczy, sam polakierował ściany w łazience i w kuchni, sam założył pawlacz nad drzwiami i dopasował nieszczelne okna.

Jest stanowczy, a nawet uparty (zwłaszcza w drobiazgach), ale wobec nas, dzieci, mięknie jak воск i łatwiej udaje się nam wycygnąć coś od ojca niż od mamy.

Jestem przekonana, że tatuś bardzo kocha мамę, ale nigdy nie słyszałam, by o tym mówił.

Może cechą prawdziwego mężczyzny jest właśnie ta niechęć do wypowiedziania uczuć.

W końcu nie wiem, jaki jest mój ojciec, chyba klawy, choć mam mu wiele do zarzucenia.

Za to świetnie wiem, jaka jest nasza mama.

181

Jeśli nawet ojciec nie jest „prawdziwym mężczyzną”, to ona z całą pewnością jest „prawdziwą kobietą”, w tym dawnym, przedwojennym znaczeniu. Nie wiem, czy potrafię dokładnie powiedzieć, o co mi chodzi. Nie o wygląd zewnętrzny, wcale nie. Mama nie dba o siebie, nie uznaje fryzjera, nie maluje się, ale mimo to wygląda dużo młodziej od ojca, choć są prawie w równym wieku. Moja mama nie jest elegantką, ubiera się skromnie, najczęściej w spódniczkę i bluzkę, ale jej w tym ładnie. Bardzo lubi spodnie i na pewno wyglądałaby w nich świetnie, bó jest szczupła i ma długie nogi, ale tata powiedział kiedyś, że nie potrzebuje w domu takiego „pół na pół”, co miało oznaczać, że kobieta w spodniach jest tylko w połowie kobietą.

Mama oczywiście usłuchała i nigdy, nawet w największe mrozy, nie wkłada spodni, które leżą bezużytecznie w szafie i czekają, aż Hania podrośnie, bo na mnie już są za krótkie. (W stosunku do nas ojciec nie wyraża sprzeciwu, a nawet lubi nas w spodniach!)

I właśnie w tej uległości mamy widzę tę „kobiecość”. Mama nie ma własnego zdania (a jeśli nawet ma, to ukrywa je starannie), we wszystkim słucha ojca, „bo tatuś zawsze ma rację”, ustępuje mu, „bo tatuś ciężko pracuje i nie trzeba go denerwować”. Tata jest na pierwszym miejscu w domu, my na drugim. a mama na szarym końcu.

I to właśnie mnie okropnie denerwuje, bo w naszym domu wcale nie widać tego

„równouprawnienia”, o którym tyle pisze się w prasie. Mama ma swoją pracę (przyznaję, że lżejszą niż praca ojca, bo przecież nie ma porównania między kierownictwem budowy osiedla a wydawaniem książek w bibliotece), ma na głowie cały dom, gotowanie, pranie, sprząatanie i jeszcze nas troje. Bo ojciec do niczego się nie wtrąca, oddaje мамie pensję i uważa, że wszystko załatwił, że to

182

mama jest od gospodarstwa i wychowywania dzieci, a on tylko od dawania forsy. Odkąd pamiętam, z wszystkim? ważnymi sprawami ojciec zawsze odsyłał nas do mamy i ona sama musiała sobie radzić z naszą nauką, zatargami w klasie i innymi problemami.

Pewno dlatego Michał jest taki niemożliwy, że ojciec się wcale nim nie interesował, a jeśli się interesował, to w zupełnie niewłaściwy sposób. Nigdy, ale to dosłownie nigdy nie był w szkole na wywiadówce, nie zna nauczycieli Michała ani jego kolegów, nie ma pojęcia, co on robi po południu.

Potrafi tylko chwalić go, że duży i silny, że podobny do wujka Pawła, że wyrośnie na tęgiego chłopca. Albo wpada w gniew, tłucze Michała, zabrania mu oglądać telewizję, krzyczy, irtuje się i ma pretensje do mamy, że źle wychowuje syna.

Ale sam nigdy nie rozmawia z Michałem o jego sprawach, nigdy mu nic nie tłumaczy, bo jest zmęczony albo nie ma czasu.

Mama też jest przemęczona i też nigdy nie ma czasu, ale kiedy ja albo Hania chcemy jej coś opowiedzieć, poradzić się, odkłada najpilniejszą robotę i słucha. Rozmawia i z Michałem, ale jakoś nic z tego nie wychodzi i Michał jest coraz gorszy.

A ostatnio zrobił się zupełnie niemożliwy, w ogóle się nie uczy, zbiera dwójce setkami i znów musi mieć korepetycje z matmy, fizyki i chemii. Ja miałam tylko raz w życiu pomoc, kiedy chorowałam i opuściłam prawie cztery tygodnie. I wtedy przychodził do mnie jeden student i pomagał mi przerobić zaległy materiał.

10 lutego 73.

Ależ mamy w tym roku zimę, można się wściec. Śniegu ani na lekarstwo, wszystkie ślizgawki stoją pod

183

wodą, na dworze zupełna wiosna. Obiecywałam sobie, że będę porządnie trenować, że nareszcie nauczę się przekładanki do tyłu, no i figa. Na Torpiast nie cierpię chodzić, straszny tam tłok, trzeba jeździć ciągle w kółko i w dodatku pełno łobuzów, którzy zaczepiają dziewczęta i zajeżdżają nam drogę.

Zazdroszczę Hani: zapisała się do szkołyki łyżwiarskiej i dwa razy w tygodniu ćwiczy na pustym lodowisku. A w naszej szkole nikt o to nie zadbał, dyrektorka powiedziała, że urządzi się ślizgawkę na boisku szkolnym. No i była ślizgawka przez trzy tygodnie, a teraz zrobiło się z tego brudne bajoro.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego do tej pory ktoś nie wymyślił sposobu na regulację klimatu? Skoro ludzie wynaleźli tyle różnych rzeczy, kolorową telewizję, sputniki, elektrownie atomowe, transplantacje, czemu nikt nie pomyśli, że najwyższy czas uporządkować sprawy suszy i nadmiernych deszczów, zim jak wiosny i letnich wakacji przypominających temperaturą listopad?! Wspomniałam kiedyś o tym mamie, a ona roześmiała się i powiada: — Chciałabyś, żeby starsi wszystko za was zrobili? Coś przecież musimy zostawić dla was, młodych...

Ładne „wszystko"! Mało jest na świecie spraw nie załatwionych albo spartaczonych właśnie przez dorosłych? Może to nasza wina, że wciąż ludzie do siebie strzelają, że wciąż gdzieś jest wojna i że to całe ONZ nie potrafi niczego załatwić? Dawniej działała jakaś Liga Narodów, sama czytałam, że była to organizacja o bardzo szlachetnych intencjach, ale jak przyszło co do czego, dopuściła do zajęcia przez Niemców Austrii i Czechosłowacji, a wreszcie do wybuchu wojny. A teraz ONZ też całymi latami nie mogła sobie poradzić z wojną w Korei i w Wietnamie. I nigdzie nie ma spokoju, wciąż się dzieje coś złego, w Irlandii wybuchają

184

bomby, w Bengalii ludzie umierają z głodu, jacyś nieprzytomni fanatycy porywają samoloty, biorą zakładników, a potem ich mordują. Czy to my stworzyliśmy taki świat?...

Nie mogę spokojnie myśleć o tych sprawach, zimno mi się robi, kiedy oglądam w telewizji okropne zdjęcia rozbitych domów, pomordowanych ludzi, płaczące matki i dzieci.

Dlaczego ludzie są tacy? Dlaczego nie potrafią załatwić swoich sporów i pretensji spokojnie, bez strzelaniny i nalotów? Czy już zapomnieli o wojnie, o tych strasznych czasach, o tych milionach zabitych i pomordowanych?

Czasami myślę, że kiedy my dorośniemy, zrobimy wszystko, żeby na świecie było spokojnie, żeby żaden człowiek nie strzelał do drugiego i żeby już nigdy nie było wojen.

A potem przypominam sobie historię od najdawniejszych czasów, egipskich, babilońskich, fenickich i cóż?... Okazuje się, że ludzie zawsze o coś walczyli, historia powszechna jest historią wojen, zamieszek, napadów... Zmieniła się tylko broń, jest coraz doskonalsza, coraz groźniejsza.

A nasza historia, historia Polski? Nie wiem, czy naliczyłabym sto lat pokoju na przeszło tysiąc lat istnienia naszego państwa. I przecież zawsze byli ludzie, którzy nienawidzili wojen, matki, które nie chciały posyłać synów na śmierć, żony opłakujące mężów. Więc jeżeli przez tyle wieków nikomu nie udało się skutecznie zapobiec wojnom, to jakie istnieje prawdopodobieństwo, że uda się to nam?

Niewesoła perspektywa! A mama twierdzi, że starsi już wszystko za nas młodych zrobili. Czasami wprost mi się wierzyć nie chce, kiedy czytam o tamtych powojennych czasach, że nie opuścili

185

ruk, że z tych ruin, z tych cmentarzy potrafili odbudować miasta i fabryki, huty i kopalnie, kościoły i teatry, szpitale i uniwersytety.

Ale % drugiej strony złości mnie, kiedy starzy opowiadają o tamtych czasach i mają do nas pretensje, że nam jest za dobrze, za wygodnie, więc nie umiemy ocenić tego, co posiadamy. Ciekawa jestem, co to ma do rzeczy?

Zgadzam się, że zaraz po wojnie praca nie miała nic wspólnego z normalną pracą w dzisiejszym pojęciu. Ze ludzie narażali życie (niewypały), nie liczyli godzin, nie brali urlopów, pracowali za marne grosze albo za przydział żywności, że ludzkie ręce musiały zastąpić dźwigi i koparki, windy i podnośniki. Aż trudno uwierzyć, że jednak ludzie wytrwali, nie załamali się, nie rzucili wszystkiego w diabły.

Tatus opowiadał mi takie zdarzenie z tamtych czasów

Mieszkał już we Wrocławiu blisko miesiąc, razem z panem Derkaczem i jeszcze z dwoma kolegami wy-porządzili sobie pokoik w ruinach, ściągnęli trochę gratów, dostali wojskowe przydziałowe koce, jakiś piecyk, trochę naczyń. O jedzenie głowa ich nie bolała, mieli ruchomą „stołówkę”, czyli kuchnię polową, która wydawała kawę, obiady i chleb (tata pracował przy usuwaniu gruzów). Elektrownia już dawała prąd, od września były czynne szkoły i uniwersytet. O kinie, o teatrach szkoda było marzyć. Nawet czytać nie mieli co, bo polskich książek we Wrocławiu nie uświadczyl, a jeśli były, to nikt nie wiedział, gdzie ich szukać. Wychodziła tylko jedna gazeta.

Pewnego dnia z początkiem września ich majster przyszedł do pracy bardzo podniecony. — Chłopaki! — zawołał już z daleka. — Zaczęło się. Miałem rację!

186

1— Co się zaczęło? — spytał tata i aż mu skóra ścierpła, bo myślał, że pan Olczak mówi o nowej wojnie.

.— Co? Wiesz gdzie ulica Świdnicka? — pyta pan Olczak. — Wiesz gdzie Opera?

— Wiem — mówi tata.

— No to leć i poczytaj sobie. Afisze wiszą na Operze. Przyjechali artyści i wystawiają polską operę, „Halka” się ta opera nazywa. Kto chce iść na przedstawienie? Dostałem w Komitecie dziesięć biletów.

Niestety, chętnych było znacznie więcej i tata nie poszedł do Opery, choć artyści grali przez kilka dni. A Olczak zaczął opowiadać, co słyszał o teatrze, jakie piękne perspektywy ma Wrocław na przyszłość. Powstanie opera, teatry i filharmonia, i teraz te wszystkie cuda będą dla zwykłych ludzi, nie tylko dla wybranych. Tata mówił, że Olczak opowiadał z takim ogniem i przekonaniem, jakby już jutro miało nastąpić otwarcie tych teatrów, a przecież

dookoła były gruzy i ciemności, i na razie grupka zapaleńców przyjechała ciężarówką z Krakowa i grała w naprędcie ze-sztukowanych dekoracjach i we własnych kostiumach, a w orkiestrze byli sami Niemcy, których na gwałt uczono polskiej opery pt. „Halka”.

A potem ci, co byli na operze, opowiadali ojcu, że kiedy podniosła się kurtyna i zabrzmiały pierwsze takty muzyki, to ludzie płakali jak dzieci. A przedstawienie zaczęło się o piątej po południu, żeby ludzie zdążyli do domów przed nocą, bo wciąż jeszcze nie wolno było chodzić po mieście po ciemku, bo to mogło być bardzo niebezpieczne.

Rozpisałam się o pierwszym polskim przedstawieniu we Wrocławiu z powodu tej wyobraźni, ale przecież chodziło mi o coś innego. Lubię słuchać albo czytać o tamtych dawnych czasach i naprawdę szczerze

187

podziwiam ludzi, którzy w takich strasznych warunkach potrafili żyć, uczyć się i pracować. Ale wściekam się, kiedy starsi wytykają nam, że mamy jedwabne życie i nie potrafimy docenić czasów, w których żyjemy.

Jestem przekonana, że gdyby nam wypadło żyć w tamtym okresie, potrafilibyśmy pracować nie gorzej niż nasi rodzice.

Wtedy liczyło się bohaterstwo, siły na zamiary i porywanie z motyką na słońce. A dziś, tak mi się przynajmniej wydaje, ważna jest organizacja pracy, dobre zaopatrzenie i w ogóle głowa na swoim miejscu.

Tatusz często narzeka, że stoi z budową, bo transport nawalił, nie dowieziono na czas cementu albo piasku, albo czegoś jeszcze. I wspomina dawne czasy, kiedy w takich wypadkach dzwoniło się do jednostki wojskowej i żołnierze pomagali.

To była moim zdaniem improwizacja, wtedy może konieczna, ale dziś niemożliwa. Dziś każdy powinien robić (porządnie robić!) to, co do niego należy, i wszystko będzie okej.

25 lutego 73.

Muszę zanotować coś bardzo ważnego. Wczoraj po południu (sobota) weszłam do pokoju rodziców (mama była w bibliotece, a tatuś poszedł do pana Derkacza) i zobaczyłam Michała grzebiącego w szufladce, w której mama przechowuje pieniądze na domowe wydatki. Strasznie poczerwieniał na mój widok i prędko zamknął szufladę, ale głowę bym dała, że coś wsunął do kieszeni.

— Co tu robisz? — spytałam, a on burknął pod nosem „nic” i wybiegł jak oparzony.

Zajrzałam do szufladki, pieniądze były rozrzucone

188

j z pewnością nie zrobiła tego mama, która zawsze układała banknoty równiutko i porządnie w starym portfelu. Machinalnie wyrównałam setki i pięćdziesiątki i przy okazji przeliczyłam je. Było siedemset pięćdziesiąt złotych.

Wróciłam do siebie bardzo zdenerwowana. Czy Michał zaglądał do szuflady tak sobie, z ciekawości, czy wziął pieniądze? Co mam teraz zrobić? Powiedzieć mamie? Skarżypycie na własnego brata? I przecież nie jestem pewna, czy coś brakuje, nie wiem, ile mama miała pieniędzy w szufladzie. A może Michał znów komuś pomaga? Dostaje od mamy setkę miesięcznie na swoje wydatki (ja zresztą też, tylko Hania musi się zadowolić na razie pięćdziesiątką), więc mógłby zaoszczędzić. Ale on wszystko przepuścił w ciągu dwóch tygodni i potem pożyczka ode mnie. I wiem na co. Dziwię się, że mama dotąd nic nie zauważyła. Ja zaraz się domyśliłam, bo skąd u Michała nagle takie umiłowanie czystości? Wraca ze szkoły i zaraz sunie do łazienki. Raz zapomniał zamknąć drzwi, weszłam i zobaczyłam, że myje zęby i płucze usta. Przed obiadem. Oczywiście po to, żeby zniweczyć zapach papierosów.

Och, Michał to jest dobre ziółko i wciąż z nim są jakieś kłopoty! Aż mnie głowa rozbolała z tego zastanawiania się, co będzie lepsze: udać, że o niczym nie wiem, czy powiedzieć mamie? Mama wróciła ze straszną migreną, zażyła proszek i położyła się, więc na razie miałam z głowy ten problem.



W niedzielę przy obiedzie mama była strasznie zdenerwowana i domyśliłam się, że zaglądała do szufladki i że już wie, ale nic nie mówiła. Pewno nie chciała zaczynać awantury przy ojcu, bo kiedy tatuś spytał, czemu jest taka nieswoja, odparła, że nic takiego, że po prostu źle się czuje. Dopiero kiedy tata z Hanką

189

poszli do kina na western (mnie też proponowali, ale nie lubię takich filmów), mama zawołała Michała do pokoju i słyszałam jej podniesiony głos.

Michał po półgodzinie wyszedł czerwony jak burak i przechodząc obok mnie rzucił przez zęby: „świnia”.

A ja przecież nic nie powiedziałam, mama sama się domyśliła, że to sprawka mego braciszka, bo ani ja, ani Hania nigdy nie zrobiłybyśmy nic takiego.

Pamiętam, kiedy miałam osiem lat, mama posłała mnie do sklepu po jabłka i dała dwadzieścia złotych. Wróciłam i powiedziałam, że jabłek zabrakło. „A gdzie pieniądze?” „Zgubiłam”.

Mama dopiero na drugi dzień zawołała mnie i miała ze mną długą rozmowę. „Skłamałaś, jabłka były w sklepie, dlaczego to zrobiłaś?” Więc przyznałam się, że zgubiłam koleżance książkę, nie miałam za co odkupić i wstydziłam się powiedzieć. Mama nie krzyczała.

Powiedziała tylko: „W naszej rodzinie wszyscy mamy do siebie zaufanie. Gdy ktoś kłamie i oszukuje, wywołuje to nieufność. Jeśli chcesz, żebym ci wierzyła, mów zawsze prawdę. Jeśli ci czegoś trzeba, powiedz, a dostaniesz”.

Było mi bardzo przykro, wstydziłam się i obiecałam mamie, że już nigdy tego nie zrobię. I dotrzymałam słowa. Do dziś, gdy coś zmałuję i przyznam się od razu, mama nie krzyczy, lecz rozmawia ze mną spokojnie.

Poszłam do pokoju Michała i powiedziałam:

— Sam jesteś świnia. Ja nie pisnęłam ani słówka. Powinnaś była cię zmusić, żebyś zwrócił pieniądze. Mama dość ma kłopotów i zmartwień, a jeszcze musi się użerać z tobą.

Myślałam, że Michał swoim zwyczajem fuknie na mnie jak rozgniewany kocur, ale on milczał i gapił się w okno. Dopiero gdy spytałam, na co mu były potrzebne pieniądze, wściekł się:

190

— Co cię to obchodzi? Odczep się!

Postałam jeszcze chwilę i wreszcie wyszłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. Kiedy mamusia albo tatuś gniewają się na Michała i pytają: „Co z ciebie wyrośnie?”, czasami mam ochotę się śmiać. Bo każdy przecież kiedyś miał siedemnaście lat i robił głupstwa, a potem mu przeszło. Ale dziś sama się przeraziłam i pomyślałam: „Co z tego Michała wyrośnie?” Bo on wciąż kłamie, nie chce się uczyć, po kryjomu pali papierosy i co najgorsze, podbiera mamie pieniądze. Głowę bym dała, że ten wczorajszy wypadek nie był pierwszy. Ciekawa jestem, ile wziął i na co mu była potrzebna forsa?

Mam uskładane prawie dwieście złotych, ciułam już od dawna na saboty, ale gdyby Michał poprosił, może bym mu pożyczyła... oczywiście gdyby potrzebował tych pieniędzy na coś ważnego, bo na kino albo na papierosy to nie.

Poszłam do kuchni i zobaczyłam, że mama szykuje podwieczorek i płacze. Łzy kapały jej na stół, ocierała je wierzchem dłoni, ale płynęły dalej, zupełnie jak woda z nie dokręconego kurka.

Strasznie mi się zrobiło żal mamy, podeszłam, objęłam ją i powiedziałam:

— Nie płacz, mamusiu, on się poprawi, zobaczysz... I wtedy usłyszałam, że mama szeptem powtarza:

— Dlaczego? Mój Boże, dlaczego?

4 marca 73.

Przed chwilą wróciłam z imienin kolegi (nazywa się Kazimierz) i mimo że już jest po dziesiątej, muszę coś zanotować. Rodzice oglądają telewizję. Hania śpi, Michał, nie wiem, co robi, a ja sobie spokojnie opiszę, co mi się przydarzyło.

191

To jest bardzo dziwna rzecz i do tej pory nie mogę ochłonąć, ręce mi drżą, policzki palą, jest mi i miło, i wstyd, i tak jakoś...

A jeszcze niedawno wyśmiewałam się z Aliny i twierdziłam, że pewno jestem nienormalna, bo nie podoba mi się żaden chłopiec i w ogóle nigdy się nie zakocham. A tymczasem...

Ale muszę wszystko opisać po kolei.

Więc przyszedłam do Kazika razem z Alką (kupiłyśmy wspólny prezent „Atlas ptaków”) i tam już było bardzo wesoło. Kazik zaprosił połowę klasy, bo oni mają duże mieszkanie i można zmontować prawdziwy bal. Nawet mazura dałoby się zatańczyć, gdyby ktoś chciał się wygłupiać na staroświecko i ludowo.

Alina chwilowo nie kochała się w nikim, więc usiadłyśmy razem w kącie i najpierw troszkę obgadawałyśmy koleżanki, potem odkryłyśmy na parapecie szalowe kanapki i znów miałyśmy zajęcie. Magnetofon ryczał jak wściekłe zwierzę, całe szczęście, że jeszcze było wcześniej, bo zaraz zaczęłoby się stukanie w ściany i sufit, rodzice Kazika wyszli i mogliśmy stawać na głowie aż do dziesiątej.

Przetańczyłam coś ze trzy kawałki, ale bez specjalnej rozkoszy, bo nasi chłopcy lepiej kopią piłkę, niż tańczą, i usiadłam na kanapce pod lampką. Alina tańczyła z Jackiem i choć już dawno ją „odeszło”, zachowywała się tak, jakby znowu ją „naszło”; i nawet byłam zła, że robi słodkie oczy do kogoś, kim się nie interesuje.

Nagle otworzyły się drzwi i weszło dwóch chłopców. Jednego z nich znałam, Kazik miał starszego brata, który chodził do naszego liceum, do trzeciej klasy. Ale nie Andrzej był ważny, razem z nim wszedł do pokoju drugi...

Sama nie wiem, dlaczego zaczerwieniłam się, jak-

192

bym zrobiła oos złego. A ja tylko gapiłam się na niego i im dłużej patrzyłam, tym bardziej mi się podobał.

Nie umiem powiedzieć, czy był przystojny, nie wiem nawet, jakie miał oczy, włosy... Zresztą to są nieważne detale, najważniejsze, że był taki jakiś... Wysoki, elegancki, swobodny, ubrany jak z obrazka.

Od razu poczułam, że to coś innego niż nasze głupty, które czerwienią się, chichoczą bez sensu i nie wiedzą, co zrobić z rękami. Ktoś zatrzymał magnetofon i kiedy muzyka ucichła, Andrzej powiedział głośno:

— Dziewczęta, zostawcie tych smarkaczy, którzy nie mają pojęcia, do czego służą nogi. To jest mój kumpel, Romek, zwany Romeo, on wam pokaże, jak się tańczy.

O Boże, jeszcze i takie imię. On ma na imię Romeo! Puścili w ruch magnetofon, Andrzej zaczął tańczyć

z Aliną (stała najbliżej), a ten... Romeo przez chwilę nie ruszał się z miejsca i patrzył. Po prostu oglądał nas jak rasowe pieski na wystawie. A potem... potem podszedł prosto do mnie. Jeszcze teraz, gdy to piszę, robi mi się gorąco. Ukłonił się (słowo daję!) i spytał:

— Zatańczymy?

Skinęłam głową (choć nie jestem zupełnie pewna, czy to zrobiłam, czułam się jak zahipnotyzowana) i wstałam. Tańczył zupełnie bosko, za to mnie plątały się nogi i robiłam masę błędów. Ale on był bardzo grzeczny, wcale nie zwracał uwagi na moje potknięcia, a gdy nadepnęłam mu (nienaumyślnie) na nogę, powiedział:

— Nie szkodzi, przecież tańczymy ze sobą pierwszy raz.

1 rzeczywiście, za drugim razem poszło mi lepiej, a za trzecim po prostu fruwałam jak ptak...

Alina, Grażyna, Kika były żółte z zazdrości, bo Romeo okazał się zupełnie super i tańczył szalowo.

184

Byłam już trochę zdyszana i prawdę mówiąc zmęczona, bo tańczyliśmy same szybkie kawałki, ale nie przyznałabym się za nic i wcale nie chciałam przerywać tańca. Kto wie, czy Romeo drugi raz mnie poprosi? I wtedy z magneta popłynęły dźwięki walca.

— Do kitu z taką muzyką!

— Kazik, przeskocz te starocie!

— Walczyk babuni.

Wrzeszczeli ze wszystkich stron i Kazik już położył palec na przycisku, gdy Romeo powiedział:

— Ja lubię tańczyć walca... A ty?

Skinęłam głową, pewna zwycięstwa. Mama pokazywała mi, jak tańczono za jej czasów, nauczyła mnie walca i tango, i slow-foxa.

Ach, co to był za walc! Tańczyliśmy zupełnie sami, a reszta stała wokół i gapiła się. Romeo zataczał szerokie kręgi, trzymał mnie mocno, po prostu płynęłam w powietrzu, a dźwięki walca sypały się jak perełki albo jak krople wiosennego deszczu. Przez sekundę żałowałam, że nie mam na sobie długiej, szerokiej sukni, która rozkwitałaby przy obrotach jak kwiat. Ale pocieszyłam się zaraz, bo i tak było cudownie, mimo krótkiej spódniczki i sweterka w paski. Resztę wieczoru spędziłam jak we śnie. Romeo posadził mnie na kanapce pod lampą i usiadł obok.

Zdaje się, że coś jedliśmy, tort albo lody, nie pamiętam co. Wziął mnie za rękę i obejrzał kolekcję srebrnych bransoletek (uzbierałam ich już sześć), a potem nie puścił mojej dłoni, choć ostrożnie usiłowałam ją cofnąć. Nie chciałam się z nim szarpać, bo może byłoby mu przykro? Wstydziałam się i równocześnie czułam, że mogłabym tak siedzieć do rana. Trochę mi było głupio, że inni na nas patrzą i że jutro cała klasa dowie się o moim „sukcesie” (Kika już się o to postara, nie ma obawy), ale jeszcze bardziej dziwiłam się samej sobie. Wbrew temu, co sądziłam dawniej, było mi bardzo przyjemnie, gdy ścisnął moją rękę, i pomyślałam, że jednak Alina miała rację.

Spytałam, czy specjalnie przyszedł na imieniny Kazika? Odparł, że nie, że wpadł na chwilę do Andrzeja po książkę.

— Lubię tańczyć, gdy usłyszałem muzykę, zachciało mi się trochę poskakać — a potem spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie i dodał:

— Gdybym wiedział, że czeka tu na mnie taka miła, taka śliczna, przyszedłbym o szóstej, nie straciłbym tylu godzin...

Musiałam się chyba zaczerwienić, bo poczułam, że robi mi się strasznie gorąco, i nie wiedziałam, co powiedzieć. Przecież nie czekałam na niego, nie wiedziałam wcale, że przyjdzie.

W sąsiednim pokoju ktoś otworzył telewizor, Wojtek stanął na progu i wrzasnął:

— Chodźcie, idzie bombowy film.

Odruchowo wstałam, ale Romeo przytrzymał moją rękę i szepnął:

— Zostań. Zdziwiłam się.

— Nie chcesz popatrzeć na film?

— Nie — odparł — wolę patrzeć na ciebie.

Zostaliśmy na tej kanapce pod lampą, trochę rozmawialiśmy, trochę milczeliśmy, zresztą nieważne, co robiliśmy, byłam zupełnie nieprzytomnie szczęśliwa. W pewnej chwili Romeo powiedział:

— Spotkamy się jeszcze kiedyś? Zadzwoń do ciebie.

Ze wstydem wyznałam, że nie mamy telefonu.

— To świetnie — parsknął śmiechem — ja też nie mam i musiałbym lecieć do budki na rogu.

Za piętnaście dziesiąta wrócili rodzice Kazika, trze-  
196

ba było uporządkować rozsunięte meble (zobowiązaliśmy się, że doprowadzimy mieszkanie do pierwotnego wyglądu) i pożegnać się.

Romeo gdzieś zniknął.

Musiałam mieć bardzo zgnębioną minę, bo Kika parsknęła śmiechem i wydeklowała z patosem:

— ■ Nieszczęsna Julio, czeka cię samotność...

— Odczep się — warknęłam — wcale mi nie zależy. Alina (kochana, porządna Alina!) ścisnęła mnie za ramię i szepnęła do ucha:

— Nie martw się, pewno nie chciał się z tobą żegnać przy wszystkich.

Okazało się, że miała rację. Romeo czekał przed bramą i odprowadził mnie pod sam dom. Chyba jeszcze żadna droga nie wydawała mi się tak beznadziejnie krótka. Po prostu nie wiadomo kiedy znaleźliśmy się na miejscu i musiałam pożegnać Romea.

— Zobaczmy się wkrótce? — spytał.

— Nie wiem — bąknęłam, bo naprawdę nie wiedziałam, jak i kiedy zaproponować mu spotkanie. — Może po szkole? Chodzimy chyba do tego samego liceum...

— Nie, kociątko, Andrzeja znam z przystani żeglarskiej, nie jesteśmy, niestety, kolegami. Milczałam, naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Okej, jakoś sobie poradzę. Chodzisz do „trójki” na Składową?

— Tak.

— W które dni masz sześć lekcji?

— W czwartki i w soboty.

— Świetnie. Więc w czwartek czekam pod szkołą.

Pochylił się i dotknął ustami mego policzka. A potem... Nie, nie pocałował mnie w usta, bo ja... bo ja przeraziłam się, zrobiłam gwałtowny ruch głową i tak jakoś to wypadło niezręcznie, że uderzyłam go w pod-

197

bródek. Skrzywił się i pocierając bolące miejsce, powiedział:

— Ale masz refleks. Pierwszorzędny unik.

Coś jakby rozczarowanie zadźwięczało w jego głosie i nagle bez żadnej przyczyny poczułam lęk.

— Do widzenia — powiedziałam prędko. — Do czwartku.

— Ciao! — odparł i uśmiechnął się. — Do czwartku. Wpadłam do bramy jak bomba. Całe szczęście, że

miałam przy sobie klucze i nie musiałam dzwonić. Mama zaraz by spostrzegła, że coś się stało. Zawołała z pokoju, nie wstając od telewizora:

— Małgosia? Kolacja stoi na stole w kuchni, kwaśne mleko jest w szafce pod oknem.

Nie chciałam kolacji, nie chciałam kwaśnego mleka.

Chciałam zostać sama i spokojnie pomyśleć. Myjąc

zęby w łazience przez cały czas patrzyłam w lustro. On powiedział, że jestem śliczna...

5 marca 73.

Kika nie przyszła dziś do szkoły (pewno złapała grypę, bo wylatywała co chwila w cienkiej sukience na balkon) i nie ma kto plotkować. Alina, Grażyna i reszta nie są groźne. Boże, jak ja przeżyję te cztery dni?

7 marca 73.

To już jutro. Jutro jest czwartek i mamy sześć lekcji i R... będzie czekał przed szkołą. Ciekawa jestem, co mi zaproponuje. Może pójdziemy na spacer? Ale taka brzydka pogoda. A może tylko odprowadzi mnie do domu? Zresztą wszystko jedno, co będziemy robić, najważniejsze, że go zobaczę...

198

9 marca 73.

Wczoraj byłam taka zła i smutna, i zdenerwowana, że nie chciało mi się pisać. R. nie przyszedł. Czekałam blisko godzinę na darmo. W dodatku zupełnie zapomniałam, że jest Dzień Kobiet i że chłopcy zapowiedzieli jakąś niespodziankę dla nas. Wyleciałam z klasy zaraz po dzwonku, a Wojtek łapie mnie w drzwiach i wrzeszczy:

— Stój, gdzie pędzisz, Kozacze? Gwiżdżesz na kwiatek dla Ewy?

Powiedziałam mu, że gwiżdżę i że się bardzo śpieszę i żeby spływał. Pędziłam po schodach, bo mi się zdawało, że nawet minuta spóźnienia może mieć znaczenie, że Romeo nie będzie czekał i... figa. Czekałam i czekałam, zmarzłam solidnie, bo dał zimny wiatr, tłumaczyłam sobie, że kilka minut nic nie znaczy, że akademicki kwadrans, w końcu zaczęłam się niepokoić, bo przecież tyle jest wypadków...

Nie sterczałam przed szkołą, nie chciałam, żeby mnie ktoś zobaczył (oczywiście ktoś niepowołany), weszłam do bramy kamienicy, naprzeciwko naszej budy. Dwadzieścia po drugiej poszłam do domu i chciało mi się beczeć.

12 marca 73.

Jestem wściekła na siebie, bo nie mogę przestać myśleć o R. Wciąż wspominam jego słowa („...wolę patrzeć na ciebie...”) i naszego walca, i kanapkę pod lampą. Dlaczego nie przyszedł? Przecież sam mi zaproponował spotkanie, ja się nie narzucałam. Podobałam mu się, powiedział, że jestem miła i śliczna, chciał mnie zobaczyć. A może coś mu przeszkodziło, może zachorował?

Nie wyglądał na takiego, co chłapie ozorem byle

199

co i zaraz zapomina. W ogóle nie wyglądał na podrywacza. A może rzeczywiście coś się stało? Nie mógł zawiadomić, że nie przyjdzie, nie mógł zatelefonować, bo nie mamy telefonu. Przy kolacji powiedziałam ojcu, że powinien postarać się o aparat. I że w dwudziestym wieku taki brak kontaktu ze światem utrudnia życie. Tata odparł, że telefon w domu dopiero utrudniłby mu życie i że chce mieć spokój przynajmniej we własnych czterech ścianach.

13 marca 73.

Postanowiłam pojutrze poczekać przed szkołą na R. Poprzednim razem coś mu przeszkodziło, ale tym razem przyjdzie z pewnością.

15 marca 73.

Nie przyszedł...

25 marca 73.

Tu na tym miejscu, na osobnej, czystej kartce pamiętnika oświadczam, co następuje:

Chłopcy są p o d l i !

Nigdy nie dam się poderwać!

Chciałam te zdania umieścić w czerwonej ramce, ale gdzieś zgubiłam kolorowy ołówek. Zresztą mniejsza o to. Najważniejsze, że napisałam prawdę i dotrzymam słowa. Po tym, co mnie spotkało dziś rano, byłabym idiotką bez ambicji, gdybym chciała mieć cokolwiek do czynienia z R. i w ogóle z chłopcami.

Od paru dni jest zupełnie nieziemski pogoda, ciepło jak w lecie, słońce, niebo bez jednej chmurki. Ulice pełne ludzi ożywionych, uśmiechniętych, wszyscy od razu lepiej się poczuli w tym cudownym wiosennym nastroju. Chciałyśmy pójść z Aliną do kina na

200

niedzielny przedpołudniowy seans, ale doszliśmy do wniosku, że jest za pięknie, żeby kisić się w dusznej sali. Zawróciliśmy sprzed „Śląska” i poszliśmy spacerkiem Świdnicką. Fundnęłam Alinie włoskie lody z automatu w „Barbarze”, obejrzałyśmy wystawy, w końcu nogi nas zabolowały i poszliśmy do parku Hanki Sawickiej, bo tam są ławeczki i można spokojnie pogadać. Siedziałyśmy może kwadrans, może trochę dłużej, gdy nagle Alina wali mnie łokciem w bok. Spojrzałam i poczułam, że robi mi się słabo. Alejką szedł sobie jakby nigdy nic... Romeo. Był sam, wymachiwał gazetą i wyglądał na bardzo zadowolonego z życia.

W ciągu sekundy co najmniej dziesięć projektów przeleciało mi przez głowę. Udać, że go nie widzę? Obrócić się tyłem? Wstać i odejść? Powiedzieć zwyczajnie: „Cześć, Romeo”?

Był już zupełnie blisko, zwolnił, spojrzał na nas (czułam, że jeszcze sekunda i nie wytrzymam, zrobię coś najgłupszego w świecie!), potem sięgnął po chusteczkę i wytarł nos. A potem po prostu poszedł dalej w/ swoją stronę.

On... on... mnie nie poznał! Widziałam to po jego roztargnionym wzroku, prześlizgującym się po mojej postaci jak po ławce albo drzewie. Nie poznał mnie. Zapomniał, jak wyglądam. Miałam ochotę krzyknąć i tupać nogami, ale chyba najbardziej — płakać. Alina usiłowała mnie bardzo pocziwie pocieszać, mówiła, że przecież widzieliśmy się tylko raz, że u Kazika światło było kolorowe i przyćmione, a na ulicy tylko latarnie świeciły, ale czułam, że pociesza mnie bez przekonania, po prostu z dobrego serca.

W takim razie dlaczego ja (zresztą i Alina też!) poznałam go od jednego rzutu oka? Dlaczego pamiętałam doskonale, jak wyglądał, jak był ubrany, co mówił?...

201

Tak się rozżaliłam, że opowiedziałam Alinie wszystko. O tym, że pocałował mnie w policzek i że chciał... I że rzuciłam głową i trzasnęłam go niechcący w szczękę. (Przedtem nie wspominałam jej o tym, powiedziała tylko, że mnie odprowadził i umówił się na czwartek.) Alina pokiwała głową.

— To dlatego — oświadczyła kategorycznie. — Niektórzy chłopcy nie lubią wstydliwych dziewcząt, takich co to ani be, ani me. Widać wydałaś mu się za młoda, dziecinna i naiwna. A on już w tym roku zdaje maturę, wiem od Kazka.

Więc to tak?... Alina ma rację, ona się zna na tych sprawach. Więc mam pozwolić, żeby mnie pierwszy lepszy bałwan... (Och, Romeo, do czego doprowadziłeś!) całował tylko dlatego, że on tak chce, że on to lubi?... O nie, moi panowie, to się po mnie nie pokaże! Ja też mam swoją ambicję i będę robić to, na oo ja mam ochotę. A komu się nie podoba, niech się wypcha.

Powiedziałam Alinie, że mam w nosie Romea i że wcale mi na nim nie zależy. Ale to nie jest prawda. Okropnie mnie obeszło jego zachowanie, czułam się zupełnie zmiażdżona, straciłam humor i wydawało mi się, że jestem stara, brzydka i już nigdy nikomu się nie spodobam.

Trudno. Postanowiłam nie myśleć więcej ani o chłopcach, ani o miłości. Zostanę starą panną jak mamina ciocia Jadzia i znajdę sobie inny cel w życiu. Będę lekarzem, może nawet naukowcem, a chyba mąż, dzieci i gospodarstwo okropnie przeszkadzają w pracy naukowej. Zresztą dziś już się nie używa określenia „stara panna”. Znacznie lepiej brzmi: „kobieta niezamężna” albo „kobieta samotna”. Samotna... nie powiem, żeby to było przyjemne określenie. W każdym razie postanowiłam nigdy nie wychodzić

202

za mąż. Bo jeśli wszyscy chłopcy są tacy podli jak Romeo, to lepiej w ogóle z nimi nie zaczynać. Niezależność, praca, oto co mnie czeka. Będę z pewnością lepszym lekarzem niż ta pani doktor z naszego Ośrodka, która każe się rozebrać i w tym czasie telefonuje do domu, rozmawia z babcią i pyta, czy Basia zjadła śniadanie, czy nie bolał jej brzusek i „żeby mama nie zapomniała utrzyć marchewki na soczek”. Ona nawet się stara, ale jest taka... rozdwojona. Tu pacjenci, a w domu małe dziecko, może chore, może grymaśne. Ja będę zupełnie inna. W tym momencie przypominałam sobie Marię Skłodowską. Była wielką uczoną, odkryła rad, a

przecież miała męża i dwie córki. I te córki pisały o niej, że była najlepszą matką... A jakim była naukowcem, chyba świadczy fakt, że dwa razy dostała nagrodę Nobla. Więc widać można pogodzić jedno z drugim...

Wszystko jedno. Pani Skłodowska pewno miała więcej szczęścia niż ja, spotkała kogoś lepszego niż Romeo. Ja w każdym razie mam dość.

2 kwietnia 73.

Niby już wcale nie myślę o R., a jednak moja głowa nie funkcjonuje normalnie. Zupełnie zapomniałam, że wczoraj był „prima aprilis” i dałam się zrobić w konia jak ostatni tuman. Oczywiście Hance, ona jedna pamiętała i dla każdego miała jakiś kawał. Mamę nabrała na plamę na sukni, tatusiowi powiedziała, że nie ma gazu (zamknęła główny kran przy liczniku), a Michałowi, że od jutra papierosy zdrożają o sto procent.

Swoją drogą smarkacz ma dobrego nosa i wie, czym do kogo trafić. Michałowi twarz się wydłużyła, dopiero potem burknął, że przecież jego to nie dotyczy.

A ja... w pierwszej chwili, gdy Hanka ukryta za firanką zaczęła do mnie psykać i kiwać, żebym podeszła,

203

a potem z tajemniczą miną szepnęła, że jakiś chłopak stoi przed domem i gapi się w nasze okna, poczułam, że robi mi się i zimno, i gorąco, i przez sekundę miałam nadzieję.;

Oczywiście nikt nie stał przed domem i Hanka aż tańczyła z radości, wrzeszcząc „prima aprilis”, „prima aprilis!”.

Miałam ochotę ją trzepnąć, bo ten głupi dowcip ujawnił to, co sama przed sobą ukrywałam, ale dałam spokój. Przecież Hania nie wie o niczym, nawet się nie domyśla i przez zupełny przypadek trafiła w dziesiątkę.

Powiedziałam tylko tonem starszej o sześć lat siostry:

— Zamiast się wygłupiać, lepiej uczesałabyś porządnie włosy. Wyglądasz jak strach na wróble.

Hania spoważniała i pogłaskała mnie przymilnie po ramieniu.

— Nie gniewaj się — szepnęła — ja przecież nie chciałam ci dokuczyć.

Miała bardzo skruszoną minę i przez sekundę zdawało mi się, że ona wie, że się domyśla.

Czyżby dobrała się do pamiętnika? To niemożliwe, kluczyk noszę zawsze przy sobie. Więc może moje zachowanie zwraca uwagę? Bo i mama kilka razy pytała, czy mam jakieś kłopoty?... Oczywiście zaprzeczyłam. Muszę bardziej panować nad sobą. Alina też mi zwróciła uwagę, że w mojej twarzy można czytać jak w książce. Ze zaraz poznać, czy jestem wesoła, czy smutna, czy spotkało mnie coś radosnego, czy mam kłopoty.

To chyba normalne, nie jestem manekinem i przecież nie mogę się śmiać i być wesoła, kiedy przeżywam tragedię. Słyszałam, że ze zmartwienia można osiwieć w jedną noc, bardzo dokładnie oglądałam swoje włosy, ale nie znalazłam nic. Jasne, jak były.

İM

5 kwietnia 73.

Od kilku dni jest zupełnie wariacka pogoda, raz słońce, raz deszcz, dmie zimne wietrzyśko, cały świat wygląda rozdrażniony i zły. Mama zażywa krople i pigułki na uspokojenie, twierdzi, że zmiany pogody bardzo źle na nią wpływają, a nawet tata, który nie uznaje żadnych lekarstw, poprosił wczoraj o tabletki od bólu głowy, położył się i spał do kolacji. Ciekawa jestem, jaka będzie pogoda na święta? Chciałabym, żeby było depło i ładnie, bo chodzą nigdzie nie wyjeżdżamy, przyjemniejsza jest Wielkanoc słoneczna i wiosenna. O święta zawsze jest u nas awantura, nie dosłownie, bo rodzice rzadko kłócą się naprawdę, powiedzmy — gorąca dyskusja.

Mama co roku proponuje, by wyjechać na te parę dni gdzieś w góry, twierdzi, że spacer i wycieczki są zdrowsze od siedzenia przy stole i objadania się.

Tatusz natomiast nie uznaje świąt wśród obcych. Boże Narodzenie, Wielkanoc powinno się spędzać w domu, w rodzinie. Sama nie wiem, komu przyznać rację? Bo z jednej strony fajnie byłoby pojechać do Karpacza albo do Szklarskiej Poręby (większość moich koleżanek tak spędza święta), a z drugiej szkoda mi tych smakołyków, które mama zawsze szykuje. Trudno, żeby w domu wczasowym podawali mazurki i paschę, i sernik na piętnastu żółtkach, i indyka z borówkami...

Ostatecznie mama zawsze ustępuje tatusiowi i co roku obchodzimy święta zgodnie z tradycją. Tu muszę zaznaczyć, że tata, który na ogół nie interesuje się domem, osobiście dba, żeby wszystko było jak należy. Sam przynosi choinkę, sam ją ubiera, zawsze zdobędzie gdzieś troszkę siana i garstkę owsa na stół, a przed Wielkanocą idzie do Hali Targowej i kupuje nasiona

205

rzeżuchy, które potem sam wysiewa na flaszce oklejonej bibułą. Nikomu nie pozwala tknąć nasion ani butelki, sam podlewa i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by na wielkanocnym stole brakowało rozwichrzonego słupa zieleni, a także baranka z cukru, choć mama okropnie wydziwia, że to brzydactwo psuje jej wygląd świątecznego stołu.

Mama zawsze się śmieje, że nie zna drugiego człowieka tak przywiązanego do tradycji jak tatuś, chociaż sama nie jest lepsza. Ponieważ jako dziecko jadła na wilię kutię, więc i teraz, żeby nie wiem co, musi być u nas kutia. Nie przepadam za tą potrawą, choć mama daje dużo miodu i maku, i wszystkie bakalie. Ale pszenica mimo moczenia w mleku i gotowania nigdy nie jest naprawdę miękka i trzeba ją gryźć, aż szczęki boją. Tatusz zjada małą porcję, chyba tyllro przez grzeczność, natomiast bardzo chwali kluski z makiem „prawie takie same jak w domu”.

Kiedyś mamie zebrało się na wspomnienia i zaczęła opowiadać, jak to na wschodzie rzucano kutią o sufit. Robił to zawsze gospodarz i z ilości ziaren przyklejonych do powały wróżył przyszłoroczny urodzaj. Tata bardzo się zapalił (mieliśmy wtedy jeszcze ogródek działkowy i pewno uważał się za „gospodarza”) i mama z trudnością wyperswadowała mu to kontynuowanie tradycji. Ładnie wyglądałyby nasze sufity!

Mam wrażenie, że mama wolałaby wyjeżdżać na święta do domu wczasowego nie tylko ze względu na świeże powietrze, spacer i wycieczki. Chyba ma dość sterczenia przy kuchni i chciałaby odpocząć od garów... Ale w tym względzie tata jest nieugięty i co roku mama piecze, smaży i gotuje, a wcześniej znosi do domu wypchane i ciężkie torby.

W tym roku też tak będzie, mama już powoli robi zakupy, widziałam w szafce rodzynki, migdały i pra-

206

sowane daktyle, potem przyjdzie kolej na szynkę i inne wędliny. Tylko kiełbas nie kupujemy nigdy. Jaki ten wujek Janek jest, to jest, ale co roku przysyła nam na święta pięć kilo kiełbasy własnej roboty. Ta kiełbasa tak pachnie i jest taka wspaniała, że gotowa jestem wybaczyć mu wszystkie złośliwości i docinki. Mama zamyka spiżarkę na klucz, bo kiełbasa ma dziwną skłonność do kurczenia się i kiedyś przyłapałam samego tatę, jak chyłkiem skradał się do spiżarki, a potem mama lamentowała, że nawet dla gości nic nie zostanie.

Goście... to jest osobny rozdział. Myślę, że te domowe święta nie byłyby takie nudne, gdyby co roku nie przychodzili do nas przyjaciele tatusia. Pana Derkacza nawet bardzo lubię, on jest fajny, dowcipny, i tak śmiesznie opowiada. Ale jego żona jest niemożliwa, przychodzi wystrojona jak na pokaz, obwieszona biżuterią, wypindrzona jak czupiradło i patrząc na maminią suknię pyta: „Czy to krajowy materiał?”

Żadne pióro nie jest w stanie oddać ogromu politowania i lekceważenia kryjącego się w tych słowach. Bo ona ubiera się wyłącznie w angielskie krempliny i elastyki, nosi tylko włoskie buty i niemiecką bieliznę. Za to gust ma prosto z Kozich Trąbek. Inni koledzy tatusia są nieszkodliwi i nudni, przy stole albo opowiadają głupie kawały, albo wałkują w



nieskończoność swoje sprawy zawodowe. Ich żony są jeszcze gorsze, już słyszę te „inteligentne” rozmowy:

— Gdzie pani dostała płatki kokosowe?

— Musi mi pani dać przepis na ten tort orzechowy. Naprawdę wspaniały.

— A ja szynkę gotuję w wywarze z jarzyn i zostawiam do ostygnięcia.

— Dziękuję, kochana, nic nie będę jadła, jestem na diecie, wątroba mnie boli (to pani Bujakowa, żona

207

głównego księgowego) ...chyba że płatek indyka, jeśli chudy...

A potem wcina, aż jej się uszy trzęsą, i jajka na twardo, i kielbasę, i nawet bigos. Ale za każdym razem nie omieszka podkreślić, że odchoruje to i że musi wyjechać do sanatorium na porządną kurację.

Mama (dobrze to widzę) jest śmiertelnie znudzona przyjęciem, które ciągnie się od południa do wieczora, wołałaby poczytać książkę albo pójść do teatru. Oczywiście robi dobrą minę, częstuje, zaprasza, kroi, nalewa, a potem do północy zmywa naczynia.

Czasami się dziwię, że mama jest zadowolona, że swego losu, że jest szczęśliwa. Bo przecież w jej życiu chyba nic ciekawego się nie dzieje, dni są beznadziejnie monotonne i spokojne, codziennie te same zajęcia, sprzątanie, gotowanie, zakupy, co dzień ta sama biblioteka i te same twarze.

A jednak mama nie skarży się, przeważnie jest uśmiechnięta, pogodna, nawet wesoła (jeśli czasami płacze, to tylko przez Michała). Widać mają rację ci, którzy twierdzą, że miłość upiększa życie, bo gdyby mama nie kochała ojca i nas, z pewnością obmierzłyby jej te gary i stanie przy pralce albo przy desce do prasowania, brak czasu na fryzjera i krawcową, upór taty i jego dziwne upodobania, nasze grypy, katary i migdałki, awantury z Michałem i wygłupy Hani.

I myślę, że... że gdyby R. wtedy w niedzielę podszedł i zagadał, to wybaczyłabym mu te trzy kolejne czwartki, daremne czekanie i mokre chustki do nosa i... wszystko byłoby dobrze. Ale teraz to już nie wybaczyłabym! Co to — to nie. Teraz ja przesłabym z podniesioną głową i udałabym, że go nie poznaję, a gdyby ktoś spytał mnie o niego, zrobiłabym roztargnioną minę i powiedziałabym: „Romeo? Jaki Romeo?”

208

9 kwietnia 73.

Nasz Kaphorn ma absolutnego kota. Na środę mamy napisać wypracowanie domowe pt. „Zabytki Wrocławia na tle współczesnej architektury”. Nawet mama, która nigdy nie krytykuje nauczycieli, tym razem była zła.

— Jeszcze złapiesz gripę łąząc po mieście w taką pogodę — powiedziała.

Bo Kapci nie wystarcza, żebyśmy opisały stare kościoły i inne budowle, posługując się sprytnie przewodnikiem.

Powiedziała wyraźnie, że wypracowanie ma być oparte na własnych obserwacjach, iż wcale jej nie zależy, żebyśmy napisali, kto jaki kościół zbudował i kiedy, lecz żebyśmy nauczyli się patrzeć.

„Tak cóż ty zrobisz”, jak mówi koleżanka mamusi, która pochodzi z Wileńszczyzny, umówiłyśmy się z Aliną na niedzielę i oglądałyśmy te nieszczęsne zabytki na tle. (A swoją drogą co za pech, że właśnie ta najsurowsza nauczycielka z podstawówki przeszła do ogólniaka, w którym ja jestem, i znów mi daje wycisk!)

Zmachałam się jak pies, po prostu nóg nie czułam, bo zupełnie niepotrzebnie Alina zawlokła mnie na Ostrów Tumski, gdzie są same zabytkowe budowle i żadnej współczesnej architektury. Tyle tylko, że zrobiliśmy dodatkowo kilka kilometrów.

Czuję, że oberwie się nam od Kaphorna, bo nikt nie miał pojęcia, co napisać, nawet ta zarozumiała Elżbieta, która zawsze wszystko świetnie wie!

Łaziłyśmy dość osowiale po ulicach i zastanawiałyśmy się, czy Kapci spodoba się opisanie hotelu „Panorama” (proste, nowoczesne „pudełko do butów”) na tle cudnego średniowiecznego kościółka Świętego Krzysztofa z najbardziej spadzistym dachem, jaki SOU—W myślach, w sercu...

209

bie można wyobrazić, i z malutkimi okienkami w tym dachu lub czy wykuty w surowym piaskowcu pomnik papieża Jana XXIII i widoczny tuż za nim kościółek Świętego Marcina można uznać za zabytek na tle współczesnej architektury? Bo kościół Świętego Marcina był prawie całkowicie zburzony podczas oblężenia i nawet ja pamiętam, jak go odbudowywano, więc można powiedzieć, że jest unikatem w skali światowej jako współczesny zabytek. Swoją drogą u nas jest mnóstwo takich zrekonstruowanych zabytków i nie może być inaczej, skoro przez całe wieki wpadaliśmy z jednej wojny w drugą. Nawet w szkole rozgorzała namiętna dyskusja na temat, co lepsze: rekonstruowanie nie istniejących zabytków, odbudowywanie ich według starych rycin, sztychów i opisów czy konserwowanie autentycznych ruin?

Ja uważam, że szkoda pieniędzy na rekonstrukcje, i przyznam się, że gdańskie stare miasto zrobiło na mnie o wiele mniejsze wrażenie niż ruina zamku Krzyżtopór albo Chęciny pod Kielcami.

Te na pół zburzone potężne mury mają w sobie coś majestatycznego, człowiek czuje się mały, przytłoczony wspaniałością dawnych czasów. A kolorowe, ślicznie otynkowane kamieniczki Starego Miasta, takie grzeczne, takie gładziutki, wcale do mnie nie przemawiają. I nie mogę sobie wyobrazić, że kiedyś żyli w nich gdańscy mieszczaństwo, umierali, rodzili się, kochali i prowadzili interesy. Zresztą może ja w ogóle nie mam wyobraźni, bo jakoś nie potrafię przedstawić sobie pewnych rzeczy. Tyle się nasłuchałam od tatusia o zniszczeniu Wrocławia, o zburzonych i wypalonych domach, o zasypanych gruzem ulicach, oglądałam fotografie w pamiątkowych albumach i co z tego? Kiedy idę Rynkiem, placem Solnym, Świdnicką, Świerczewskiego, wcale nie mogę sobie wyobrazić, że tu nic

210

ie było. Zresztą nie tylko ja. Alina również. Kiedy znalazłyśmy się na placu Dzierżyńskiego (tam właśnie stoi hotel „Panorama”), przypomniałem sobie różne opowieści ojca. Podobno plac był kiedyś tak zasypany gruzami, że kiedy zaczęto go oczyszczać, spychacz pracował na wysokości pierwszego piętra. Powiedziałam o tym Alinie, a ona najpierw mruknęła — „bzdura”, a potem przyknęła oczy i po chwili wzruszyła ramionami.

— Wcale nie mogę sobie tego wyobrazić! — wyznała. — A ty? — Kiwnęłam głową i oświadczyłam, że ludzie mają strasznie krótką pamięć.

— Na przykład moja mama nieraz zastanawia się, jak wyglądała jakaś ulica czy plac, zanim zbudowano nowe domy, sklepy albo szkołę. I nie może sobie przypomnieć. „Co tu było dawniej?” — pyta ojca. Tatuś lepiej pamięta, ale i on czasami drapie się w głowę i wyznaje, że zapomniał.

Skręciłyśmy w ulicę Kraińskiego, żeby obejrzeć resztki zrekonstruowanych murów i basztę. Dziwnie wyglądają te średniowieczne budowle otaczające zwykłe podwórze i normalne mieszkalne bloki.

— Wiek XV i XX podały sobie ręce — wydeklamo-wała z patosem Alina i nagle zrozumiałyśmy, o co chodziło Kapci.

Uradowane pognałyśmy na ulicę Wita Stwosza, by obejrzeć dawny pałac Hatzfeldów, gdzie stare, zabytkowe mury obudowano ogromnymi taflami szkła tworząc coś w rodzaju krużganka.

— Tutaj masz przykład na funkcjonalne zagospodarowanie zabytku — pouczyłam Alinę oszklone galerie posłużą jako wystawa obrazów. Historia i współczesność, rozumiesz? Alina kiwnęła głową, ale widziałam, że jakoś straciła humor.

14»

— Wiesz — wyznała, gdy spytałam, czemu ma nos do ziemi — ja... strasznie boję się wojny!  
A ty?

— Durna jesteś — warknęłam, bo sama poczułam nieprzyjemny dreszczyk — żadnej wojny nie będzie.

— Ja wiem, że nie będzie, ale mimo to... boję się. Nie odpowiedziałam. Ze mną bywa tak samo. Czasem,

zwłaszcza wieczorem, już w łóżku, wyobrażam sobie, co by było, gdyby znowu...

Rakiety, broń atomowa, chemiczna, bakteriologiczna — świat zamieniony w kupę dymiących zgliszczy.

Na samą myśl robi mi się słabo i czasami rozumiem, że niektórym nie chce się wysilać, że na wszystko machają ręką, bo nie warto, bo i tak któregoś dnia wszyscy możemy wyparować.

Tylko mnie się zdaje, że oni to robią z lenistwa i wygodnictwa, a nie ze strachu przed wojną. Może się mylę, ale czasami wydaje mi się, że Michał wyznaje podobne „zasady” i dlatego na niczym mu nie zależy. Ani na opinii rodziców, szkoły, kolegów, ani na normalnym życiu. Bo przecież inny dla świętego spokoju, dla uniknięcia ciągłych wymówek i kazań zachowywałby się przyzwoicie, uczyłby się choć na te nędzne trójki. A on nie, wszystko ma w nosie.

Ostatnio znowu jest niemożliwy, znika gdzieś na całe popołudnia albo wychodzi wieczorem i wraca po dziesiątej. Mama martwi się okropnie, ale ukrywa wszystko przed ojcem, bo on chyba naprawdę jest chory! Ale sam w ogóle na nic nie zwraca uwagi, nawet nie wie, czy wszyscy są popołudniami w domu, czy wychodzą. Wprawdzie parę razy skrzyczał Michała za oberwane dwóje, za włóczenie się po mieście, za palone ukradkiem papierosy, ale na tym się skończyło. Michał przez parę dni przykładowie siedział w domu, a potem znów zaczął znikać. Ciekawa jestem, dokąd on chodzi popołudniami?...

18 kwietnia 73.

W tym roku nie będzie u nas tłumu gości na Wielkanoc, tylko państwo Derkaczowie i jeszcze jeden inżynier z żoną, całkiem nieszkodliwy. Inni wyjeżdżają do rodzin albo na wczasy, jedna para nawet za granicę, zdaje się do Berlina. A pani Bujakowa jest w szpitalu i będzie miała operowany woreczek. Okazuje się, że naprawdę była chora i musiała zachowywać dietę, tylko nigdy nie mogła wytrzymać, widząc tyle dobrych rzeczy.

Mama odetchnęła z całego serca i powiedziała, że ani myśli wyprawiać hucznych świąt, a tatuś, o dziwo, nie sprzeciwił się, tylko mruknął: „jak chcesz”.

Wczoraj przyszła paczka od wujka Janka i cały dom pachnie kiełbasą. Mama jednak musiała przez te kilkanaście lat przesiąknąć tatusiowymi zwyczajami, bo

— mimo niedawnych zapewnień, że świąt nie urządzi

— dziś piecze mazurki (pomarańczowy i bakaliowy), zamówiła specjalny ser na paschę i martwi się, czy dostanie ładnego indyka.

Więc mogę być spokojna, że wszystko będzie jak zawsze albo prawie jak zawsze.

20 kwietnia 73.

Dziś rano spotkałam na Świdnickiej Romea (jaki on tam Romeo, zwyczajny Romek!) Szedł z jakąś panią, pewno z matką, i targał dwie siatki pełne kartofli. Nawet kławo z jego strony, że nie wstydzi się takiego bagażu (bo nasz Michał na przykład, choć młodszy, za skarby świata nie weźmie do ręki siatki, a jak już musi coś przynieść ze sklepu, każe sobie dać skajową torbę!), zresztą w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. Ze zdumieniem stwierdziłam, że R. to zupeł-

nie zwyczajny chłopak, przystojny i nieźle ubrany, ale zwyczajny. I że na jego widok nic się ze mną nie dzieje. Więc jedno z dwojga: albo jestem niestała w uczuciach, albo to nie była prawdziwa m..... Wolalabym to drugie.

24 kwietnia 73.

Już po świętach, jutro znów trzeba iść do budy. Objadłam się nieludzko (na te dwa dni zawiesiłam na kołku odchudzanie), choć w tym roku rzeczywiście święta były skromniejsze. Tylko jeden tort, dwa mazurki i pascha. Ale Hanka i tak chorowała na żołądek i musiałam szukać dyżurującej apteki. No, ale jeśli ktoś zje sześć jaj na twardo i popije wodą z syfonu, to trudno, żeby potem nie stękał.

W niedzielę przed południem tata wyciągnął nas na spacer do lasu i nawet było bardzo przyjemnie, choć chłodno. W lesie biało od zawilców i żółto od jaskrów. Znalazłam nawet fiołki, śliczne, ale bez zapachu. W drugie święto siedzieliśmy cały dzień w domu, bo Hania po przejęczanej nocy spała do dziesiątej, a o pierwszej przyszli goście. Michał urwał się zaraz po obiedzie, do mnie wpadły koleżanki i gadałyśmy sobie po cichutku, ponieważ Hania leżała w łóżku z poduszką elektryczną na brzuchu. Alina znów ma nową sympatię! Kompletna wariatka.

28 kwietnia 73.

Już wiem, jak nasz Michałek spędza popołudnia i wieczory!

Byłam wczoraj u krawcowej, bo mama szyje sobie nową suknię i prosiła, żebym zaniosiła zamek i guziki.

214

Wracałam wolniutko przez park, było po siódmej, jeszcze zupełnie jasno. Zeszłam nad staw, łabędzie pływały przy brzegu i chciałam je zobaczyć z bliska. Nagle słyszę jakieś chichoty, szmery, dziwne odgłosy. Odwracam się i widzę pięciu czy sześciu chłopaków na ławce pod ogromnym krzakiem forsycji. Jeden z nich pił wprost z flaszki i dopiero, gdy odjął szyjkę od ust i podał butelkę następnemu — poznałam Michała.

Prędko się cofnęłam za krzak, nie chciałam, żeby mnie zauważyli, ale nie poszłam do domu. Stałam dłuższą chwilę, osłonięta gęstą zielenią, i słuchałam.

Trzeba przyznać, że nasz Michał znalazł sobie wspaniałe towarzystwo! Co prawda my z Aliną albo z Grażyną też nie zawsze rozmawiamy o ważnych sprawach, często pleciemy głupstwa, ale to, co podsłuchałam, w ogóle nie było rozmową. To był bełkot! Głupi, beznadziejny bełkot! Ani jednego ludzkiego słowa. Mówili: „no to cyk”, „chlup w ten głupi dziób”, „koniec beł-ta, a drugiego nie widać”, i przez cały czas w ten deseń.

Okropnie mi było wstyd za Michała, że upodobał sobie takie towarzystwo, że siedzi w krzakach z jakimiś chuliganami, pije obrzydliwe wino (nie jestem aż taka głupia, dobrze wiem, co to „belt”), pali papierosy i zachowuje się jak ostatni matoł!

Co w tym przyjemnego? Rozumiem, że on nie lubi bez przerwy siedzieć w domu, nikt nie lubi, ja też urywam się przy każdej okazji, ale szukam sobie lepszego towarzystwa i lepszych rozrywek.

Nagle postyszałam kilka ordynarnych słów, jeden z chłopców zaczął mówić o dziewczynach w taki sposób, że poczułam obrzydzenie, strach i czym prędzej uciekłam na ulicę, między ludzi, i już całą drogę do domu biegłam, choć przecież nikt mnie nie gonił.

215

Czy ten Michał zwariował? Z kim on się zadaje? Chyba powinnam o tym spotkaniu powiedzieć mamie...

8 maja 73.

Nie powiedziałam nikomu o spotkaniu z Michałem i o jego „koleżkach”. Nie dlatego, żebym oszczędzała mego braciszka, wprost przeciwnie, uważałam, że powinien usłyszeć, co o tym sądzą rodzice. Ale gdy wróciłam, mamy jeszcze nie było w domu, a tatuś spał w swoim pokoju (tata teraz dziwnie często kładzie się po obiedzie i drzemie aż do kolacji! Dawniej nigdy tego nie robił).

A potem... dwa dni później znów spotkałam Michała, ale w zupełnie innej sytuacji i w całkiem innym towarzystwie... Więc pomyślałam, że tamten wieczór mógł być przypadkowy i że Michał jest inny, niż mi się zdawało.

Spotkałam mego brata z dziewczyną! Stali na rogu Świerczewskiego, niedaleko wejścia do „Sezamu”, i rozmawiali. Ale od razu zrozumiałam, że Michał jest śmiertelnie zakochany.

Jak on na nią patrzył!...

Jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu oczu, zachwyconego, wyczekującego, pełnego nadziei.

Dziewczyna była bardzo ładna, a może nie tyle ładna, co niezwykła.

Miała ciemne, lekko skośne oczy, mały nosek, usta — nie zauważyłam jakie, i wspaniałe, opadające do połowy pleców, czarne, lśniące włosy. Nie była wysoka, Michał przewyższał ją o głowę, ale zgrabna i świetnie ubrana. Z gustem i z pomysłem. Zaraz pomyślałam, że te ciuszki sama sobie wykombinowała, bo w naszych sklepach za żadne pieniądze nie kupiłaby spódnicy

216

z kolorowych łątek (to jest podobno moda amerykańska i nazywa się... zapomniałam jak).

Okropnie mi się spodobała ta dziewczyna, a jeszcze bardziej sposób, w jaki Michał na nią patrzył, i pomyślałam sobie, że gdyby we mnie ktoś tak się wpatrywał, pewno nie potrafiłabym być wyniosła i chmurna, i niezadowolona. A ona właśnie miała minę obrażonej księżniczki i głowę bym dała, że mówiła Michałowi same nieprzyjemne rzeczy. A on zdawał się być tym zachwycony, zamiast nastroszyć się, burknąć albo wzruszyć ramionami, co robi zawsze, gdy mama myje mu głowę.

Musi być nieprzytomnie zakochany, skoro nawet wymówki tej dziewczyny sprawiają mu przyjemność. Może teraz wreszcie się poprawi, bo mamy zdaniem kobiety mają duży wpływ na mężczyzn i dobra dziewczyna potrafi zmienić nawet najgorszego chłopca.

Podobno tatuś przed ślubem też był zupełnie inny i przez mamę przestał pić i grać w karty (teraz to ostatnie robi jeszcze od czasu do czasu, ale tylko dla zabawy), więc mama pewno ma rację. Nie wiem tylko, czy dziewczyna Michała jest mądra i czy jej wpływ będzie dobry?

19 maja 73.

A właśnie, że wiem, wiem już wszystko! No, może nie wszystko, ale wystarczająco dużo. W każdym razie wygląda mi na to, że Michał ma więcej szczęścia niż rozumu i trafił na zupełnie klawą dziewczynę. Wcale się nie dziwię, że on stracił głowę, jednego tylko nie rozumiem — co ona widzi w moim szanownym bracie? Bo chyba też ją coś ciągnie do niego, skoro się z nim spotyka... Owszem, Michał jest przystojny i jeśli chce, potrafi być miły, ale zakochać się w nim? Musiałabym upaść na głowę! Chyba że nasz Michałek ma jakieś ukryte zalety, ukryte tak starannie, że my,

218

to znaczy rodzina, nawet nie domyślamy się ich istnienia. Ale do rzeczy. Ja też miałam dużo szczęścia i zupełnie przypadkowo spotkałam jedną dziewczynę, która mieszka w tym samym domu co Magda (tak ma na imię to Michałowe чудо). Więc ta Irka twierdzi... nawiasem mówiąc poznałam ją u Grażyny- zresztą mniejsza z tym, to zbyt skomplikowane i w dodatku nieważne. Więc kiedy gapiłam się na Michała i Magdę, podeszła do mnie Irena.

— Cześć.

— Cześć. Jak leci? — przywitałyśmy ste normalnie.

A potem ona mówi:

— Podoba ci się ten facet Magdy?

— Znasz ją?

— Kogo?

— Magdę.

— Jasne. A ty znasz jego?

— Jasne. To mój brat.

— Klawy.

— Eee, może na wynos, bo w domu zupełnie dno.

— To tak jak i mój.

— Masz brata?

— Dwóch. Jeden starszy, drugi szczeni-

Tak sobie rozmawiamy o niczym, a rżnie aż ponosi, żeby się dowiedzieć, jaka jest ta Magda. Ale głupio pytać wprost. Więc myślę sobie, że nic tak nie ożywia rozmowy jak gastronomia. Niedaleko jest kok-tajlbar, trudno, poświęcę te parę groszy, czego się nie robi dla rodziny.

Pytam:

— Zjesz lody? Ja stawiam.

— Nie, dziękuję.

— To może koktajl mleczny?

— Nie.

uinw\*irtaŁł Stuknięta czy co? Nie ma lepszej

rzeczy jak koktajl

mleczno-truskawkowy!

219

— Więc na co masz ochotę? Nie krępuj się...

— Może być sok z marchwi.

Słowo daję, tapnięta! Sok z marchwi to superobrzydlistwo. Ale niech będzie, tym bardziej że jest tani.

Poszłyśmy do baru, ja zamówiłam lody z kremem, ona ten sok i milczymy. Wreszcie Irena powiada:

— Wiesz, ile wsunęłaś kalorii? Co najmniej pięćset. Zupełnie jakbyś zjadła schaboszczaka z kapustą. Żeby to spalić, powinnaś przez godzinę jeździć na rowerze.

O mało się nie udławiłam łyżeczką i spojrzałam na Irenę z szacunkiem. Więc ona dlatego ten sok?...

Ale co tam, nie przyszedłam tu, żeby rozmawiać o kaloriach i dietach. Zresztą ta Irena jest zupełnie chuda i nie wiem, po co się tak umartwia? Widać lubi.

— Dobrze znasz Magdę? — pytam.

— Dobrze.

— Chodźcie razem do budy?

— Nie.

O rany, rozmowna to ona nie jest, jeśli w tym tempie będziemy gadać, to może do jutra skończymy. W dodatku robi głupie miny, bawi się słówką trzymając ją w dwóch palcach jak papierosa, wciąż potrząsa głową i odrzuca do tyłu włosy (nawet ładne). Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że te pantomimy były przeznaczone dla dwóch chłopców siedzących przy sąsiednim stoliku i zajętych bez reszty Pepsi-Colą z lodu. Gdy wypili i wyszli, Irena zrobiła się normalna i przytomnie odpowiadała na moje pytania.

Magdę zna już ze sześć lat, mieszkają w tym samym domu i od czasu do czasu wpadają do siebie. Ale się nie lubią, to znaczy Irena nie lubi Magdy, bo Magda jest po pierwsze: zarozumiała, po drugie: ciuchara, po trzecie: wariatka.

220

^

Gdybym się nie znała na ludziach (choć mama zawsze twierdzi, że jestem naiwna!) i gdybym nie umiała czytać między wierszami, może bym i uwierzyła Irenie, ale nie mnie brać na takie numery! Irena w końcu się rozgadała i teraz już wszystko wiem. I bardzo mi się z opowiadań Ireny ta Magda podoba.

Jest „zarozumiała”, bo nie lubi wałęsać się bez celu po mieście, oglądać wystaw i plotkować. Powiedziała Irenie, że szkoda czasu na głupstwa.

Jest „zarozumiała”, bo nie przepada za męskim towarzystwem i kiedyś powiedziała, że nudzą ją wielbiciele powtarzający w kółko te same banały. (Ale chłopcy za nią naprawdę latają, Irena musiała to przyznać, i miała przy tym niewyraźną minę).

Punkt drugi — Magda jest „ciuchara”, w opinii Ireny oczywiście. Jest zawsze ładnie i modnie ubrana, „trzyma rękę na pulsie mody” (to nie ja wymyśliłam, to Irena), bo niech tylko „Filipinka” albo „Przekrój” zaczną lansować coś nowego, coś oryginalnego — paf! Magda po tygodniu, najwyżej po dwóch paraduje w zamszowym serdaczku z frędzlami, w szydełkowanej spódnicy z różnokolorowych kwiatków, w grubej czapie z wywiniętym rondem albo w komplecie z białego teksasu.

— Jej starzy muszą być nadziani — powiedziałam, a Irena wzruszyła pogardliwie ramionami i odparła, że wcale nie, że nawet telewizora nie mają i na wczasy jeżdżą do zakładowego ośrodka campingowego w Mielnie. Magda wyczynia wszystkie te cuda sama. Umie szyć, szydełkować i robić na drutach, a co najważniejsze — sama narysować, zaprojektować nowy model. A potem już nie mówiła, ale syczała.

— Magda jest tak szlachetna i wzniosła, że grosza nie bierze od swoich starych na kiecki. Ona zarabia!

Zatkało mnie, a Irena ciągnęła z pasją.

221

— Daje korepetycje z angielskiego jakiemuś bałwanowi, a ostatnio pokumała się ze znajomą chałupniczką, która szyje piżamy dla spółdzielni, i daje Magdzie coś tam przesywać czy obrzucać. Płaci złotówkę od sztuki.

Początkowo nie mogłam zrozumieć, dlaczego Irka tak się wścieka, mówiąc o tym. No i zaraz wyszło szydło z worka.

— ■ Moja mama ma pełnego kota na punkcie Magdy, wciąż truje: „Patrz, jaka ona pracowita, jaka zaradna, jaka dobra córka. A ty?” I na gwałt zaczęła mnie uczyć szydełkowania. Mało tego, nalega, żebym skończyła kurs kroju. Co ty na to?

Moja opinia nie ma nic do rzeczy, sama nie przepadam za szyciem, a do szydełka i drutów mam dwie lewe ręce, już raz próbowałam i nic z tego nie wyszło.

Irena rozpuściła język jak kołatkę, więc żeby się w tym wszystkim połapać, zanotuję pokrótce wszystko, co jeszcze wiem o Magdzie:

Potrafi powiedzieć nauczycielce, że jest niesprawiedliwa, że nie lubi ucznia lub uczennicy i dlatego nie ocenia obiektywnie. Zarzuca koleżankom (oczywiście nie wszystkim), że robią dużo szumu i hałasu pracując społecznie po to, by zwrócić na siebie uwagę i „zarobić” na dobrą opinię, że palcem by nie kiwnęły, gdyby nie stawiano punktów za aktywność. I że wartość takiej pracy powinno się ocenić według stopnia bezinteresowności.

Magda mówi, co myśli, i dlatego nie ma przyjaciółek. Choć jest koleżeńska i uczynna, jest jednocześnie nietaktowna i niedelikatna. Nie uznaje kompromisów, jeśli uważa, że ma rację, nie pójdzie na żadne ustępstwa, jest wymagająca dla siebie i innych. „Uwielbia komplikacje” (komentarz Ireny).

Pozbyłam się wreszcie Ireny, która rozgadała się

222

bez końca, i wracałam do domu bardzo zamyślona. Sama nie wiem, co sądzić o Magdzie, bo ona ma i wady, i zalety... Na przykład nie podoba mi się, że lubi komenderować, ale z drugiej strony Michałowi z pewnością przyda się taka „komendantka”. Więc chyba wpływ Magdy na Michała będzie pozytywny — oto zakończenie w dostojnym stylu Kapci!

A w ogóle to mam masę innych zmartwień. Ostatnio coraz więcej lubię Heńka Pawlaka i sama nie wiem, co to znaczy. Mam nadzieję, że to nie będzie znowu jakaś M.....

część czwarta Michał

Sygnal. Jeden, drugi, dziesiąty. Nikt nie podnosi słuchawki, nikt nie podchodzi do aparatu. Dom Magdy jest pusty.

Wczoraj Michał tak samo wsłuchiwał się z trwogą w miarowy, głuchy brzęczyk telefonu. Wczoraj, późnym wieczorem, też nikogo nie było w domu.

To nie może być przypadek ani zbieg okoliczności, Magda mieszka z rodzicami, ktoś powinien być w mieszkaniu i odebrać telefon. Ojciec albo matka. Wczoraj wieczorem Michał tłumaczył sobie, że mogli wyjść na spacer, do kina, ale dziś? Ale teraz?

Dochodzi wpół do ósmej, o tej porze oni jadają śniadanie, wszyscy razem siedzą przy stole. Magda opowiadała, jak jest u nich w domu.

224

Michał próbuje jeszcze raz. Może automat źle połączył, może teraz ktoś podniesie słuchawkę, powie „hallo”.

Głuchy sygnał wwierca się aż do mózgu, rozsadza ucho, które drętwieje i boli, bo ręka nieświadomie przyciska słuchawkę z całej siły, jakby to mogło coś pomóc, zmienić...

Telefon w mieszkaniu Magdy milczy nadal. A więc chyba... stało się... to najgorsze. Rodzice wyszli, nie nocowali w domu, bo Magda... Może są na milicji, może w szpitalu, może...

Michał bezmyślnie rozwiera zaciśnięte palce, słuchawka spada, uderza o szklaną ścianę kabiny, kołysze się na naciągniętej metalowej osłonie. Sygnał dźwięczy nadal, nie cichnie, przeciwnie, brzmi coraz głośniejsze, coraz natarczywiej, jak ostrzeżenie, jak alarm.

Michał wybiegł z kabiny.

To jej wina, Magdy! Dlaczego wybrała właśnie obskurne, małe kino w odległej, peryferyjnej dzielnicy? Dlaczego wdała się w idiotyczny spór z piegowatym wyrostkiem o beczelnym spojrzeniu? Stał przed nimi czy nie stał w kolejce do kasy, co za różnica? Seans miał się rozpocząć za kwadrans, biletów nie brakowało, chłopak wepchnął się na grandę tak sobie, dla sportu, dla hecy.

Michał udał, że nic nie zauważył, odsunął się nawet odrobinę, by zrobić miejsce natrętowi. Ale Magda oczywiście zareagowała po swojemu.

— Nie stałeś tu — powiedziała ostro — idź do kolejki!

Arogancki uśmiech zwęził oczy piegowatego. Syknął:

— Odchrzań się, lala!

Uśmieszek i ordynarne słowo było ostrzeżeniem. Mi-

\* — W myślach, w sercu.

225

chał chwycił je w lot i szturchnął Magdę. Ale ona nie zrozumiała przestrogi. Podniosła głos:

— Cham! — krzyknęła. — Bezczelny cham! Bileterka w drzwiach odwróciła głowę i udała, że

szuka czegoś w kieszeniach służbowego fartucha.

To było drugie ostrzeżenie... Piegowaty wyrostek był u siebie, wszyscy go znali i woleli z nim nie zaczynać.

Michał powiedział złym głosem:

— Uspokój się, Magda, nie rób awantur. Dziewczyna poczerwieniła, spojrzała z pogardą:

— Tchórz — syknęła — stoi jak słup i boi się!

Od kasy dzieliły ich tylko dwie osoby. Starszy człowiek w berecie porwał swój bilet i odszedł szybko, wężąc awanturę.

Do okienka przesunął się Piegowaty.

— Pani da cztery drugie — powiedział.

To było trzecie ostrzeżenie. Piegowaty nie był sam, gdzieś przed kinem stali jego kumple, razem było ich czterech.

Ale do Magdy to nie dotarło. Wyrwała Michałowi trzymane w pogotowiu dwadzieścia złotych, prześliznęła się jakoś bokiem pod wyciągniętym ramieniem Piegowatego, uderzyła weń całym ciałem, aż — zaskoczony — zatoczył się na ścianę, i wsadziła głowę w okrągły wykroj kasy.



— Ten chłopiec nie stał w kolejce — powiedziała —■ poproszę dwa pierwsze.  
Kasjerka zatrzepotała rękami, z rozdygotanych nagle palców wysunął się wąski pasek biletów.

— Co? — spytała nie bardzo przytomnie.

— Proszę dwa pierwsze — powtórzyła dobitnie Magda.

Przeliczyła bez pośpiechu resztę, wzięła bilety, pociągnęła Michała za rękaw.

226

Piegowaty na moment zbaraniał, ale ocknął się szybko.

— Jesteś wdechowa lalka — rzucił Magdzie prosto w twarz — spotkamy się jeszcze... —

Coś przerażającego było w jego głosie.

Magda wzruszyła ramionami i pociągnęła Michała do poczekalni.

Bileterka przerwała bilety, nie patrząc. Wyglądała jak spłoszona kura, najchętniej zamknęłaby drzwi na klucz, ale przed kasą stało jeszcze kilkanaście osób, a pierwszy seans trwał.

„Dadzą nam wycisk, kiedy zgaśnie światło” — pomyślał Michał i przez sekundę miał ochotę zrezygnować z filmu.

Spojrzał na Magdę prawie z nienawiścią. Idiotka. Nawarzyła piwa, ale sama go nie wypije.

Magda to świetna dziewczyna, podoba się chłopcom, rzucają na nią pełne podziwu spojrzenia, puchnie się z dumy spacerując z nią, czuje się, że inni podziwiają, zazdroszczą...

Tylko to usposobienie, ten charakter! Zawsze musi postawić na swoim, nie znosi sprzeciwu, każdy opór doprowadza ją do furii.

Michał rozejrzał się po poczekalni, ale nie zauważył piegowatego wyrostka, natomiast z głęboką ulgą dojrzał dwóch milicjantów i jednego żołnierza.

„Nie będą chyba robić grandy przy mundurowych” — pomyślał i uspokoił się.

Uśmiechnął się do Magdy i nie zwracając uwagi na jej niechętną, nadaśnaną minę, zagadywał wesoło.

— Coś taki zadowolony? — fuknęła dziewczyna. — Uważasz, że wszystko w porządku?

Czemuś się nie odezwał, czemu pozwoliłeś, żeby ten typek mnie obraził?

— Ale o co ci właściwie chodzi? Bilety mamy, na film zdążyliśmy, nie było o co robić grandy.

228

— To on zrobił grandę, nie ja. A chodzi mi o zasadę, rozumiesz? O porządek. Dlaczego wszyscy mogą stać w kolejce, tylko jemu czasu brakuje? Nie cierpię takich typów. Traktuje wszystkich jak powietrze, bo on tu jest pan... król dzielnicy. Trzeba mu ustąpić i jeszcze może powiedzieć: „Proszę bardzo, niech pan się nie krępuje, mamy czas, my poczekamy”.

— Przesadzasz — szepnął Michał.

Było mu głupio, czuł, że to Magda ma rację i że zachował się jak ostatni śmieć. Po prostu stchórzył, udając, że nic ważnego nie zaszło.

Otwarto drzwi sali i wpuszczono ich do dusznego wnętrza, a po chwili zgasło światło i zaczął się seans.

Mniej więcej w połowie filmu Michał ujął dłoń Magdy, nie cofnęła ręki i splotła swoje palce z jego.

Film był piękny i wzruszający, prześliczna aktorka w ogromnych zbliżeniach raz po raz patrzyła Michałowi w oczy, dłoń Magdy spoczywała w jego dłoni, można było zapomnieć o wszystkim, zatopić się w cudzym, ciekawym życiu, płynącym na ekranie. Wyszli z kina pogodzeni, pełni łagodnego smutku wywołanego śmiercią prześlicznej bohaterki filmu.

— Autobus! — krzyknęła Magda.

Ruszyli biegiem, niestety za późno. Ciężkie, kremowo-czerwone pudło odjechało ze zgrzytem, nim zdążyli do przystanku. Następny odchodził za dwadzieścia minut.

— Nie chce mi się czekać — zagrymasiła Magda — jedziemy tramwajem.

To była wina Magdy, filmu, uroczej aktorki, która na ekranie zginęła w katastrofie samochodowej. Michał zapomniał o zajściu z piegowatym wyrostkiem, zgodził się pojechać do śródmieścia tramwajem. Weszli między drzewa zaniedbanego, smutnego parku, by krótszą drogą dojść do przystanku. Było jeszcze zu-

829

pełnie jasno, kilka minut po szóstej. Szli błotnistą alejką, patrząc pod nogi i omijając kałuże pozostałe po niedawnym deszczu. Nie zauważyli nic podejrzanego, nie usłyszeli kroków. Czterech chłopców zagroziło im drogę znieścacka. Piegowaty był wśród nich.

— A co, lala, mówiłem, że się spotkamy — uśmiechnął się beczelnie, kładąc ręce do kieszeni.

Był jasny dzień, pobliską ulicą szli ludzie, tramwaj zgrzytał na zakręcie, nic nie mogło się stać. A jednak stało się. Zanim Michał zdążył krzyknąć, dwóch chwyciło Magdę pod ręce, trzeci zatkał jej usta dłonią, pociągnęli dziewczynę w krzaki w stronę zrujnowanej altany czy pawilonu. Czwarty trącił Michała otwartą dłonią w pierś i powiedział bardzo spokojnie:

— Spływasz stąd, gnoju, ale już, bo jak cię macnę, to życie stracisz.

Zakręcił się na pięcie i pobiegł za tamtymi.

Michał oprzytomniał. Wściekły, przerażony zawołał kilka razy: „Magda! Magda!”, potem rzucił się pędem za uciekającym, krzyczał: „Puśćcie ją, dranie, puśćcie ją!”

Przebiegł może dziesięć metrów, gdy tamten stanął i schylił się. Michał zobaczył wyrzut ręki i poczuł piekący ból w ramieniu. Dostał celnie rzuconym kamieniem.

„To nic” — pomyślał i biegł dalej. Zatrzymał się dopiero, widząc otwarty scyzoryk w ręku tamtego. Poczuł strach i przymknął oczy. Gdy je otworzył, ścieżka była pusta. Pusto i cicho. Żadnych odgłosów, żadnego krzyku, tylko jakiś ptaszek ćwierkał na gałęzi drzewa.

„Nic jej nie zrobią, nic jej nie mogą zrobić — powtarzał w myślach, biegnąc w stronę tramwaju. >— Jest jeszcze jasny dzień, zaraz ktoś wejdzie do parku,

230

spłoszy ich. Jestem sam, a ich czterech, nic nie poradzę. Zawołam ludzi, może znajdę milicjanta, może...”

Na tramwaj czekało sporo osób, kilka starych kobiet, kolejarz w mundurze, trzy czy cztery młode dziewczyny, krzykliwa grupa uczniów technikum i siwy, wysoki pan rozmawiający półgłosem ze starszą przystojną panią w eleganckim płaszczu.

Pod kioskiem kilku wyrostków paliło papierosy i raczyło się piwem wprost z butelek.

Michał w mgnieniu oka zdecydował się poprosić o pomoc uczniów technikum. Mogli mieć po szesnaście lat i nie wyglądali na siłaczy, ale było ich siedmiu, na tamtych czterech powinno starczyć.

Podbiegł do chłopców i nieskładnie, chaotycznie za-Jzał im tłumaczyć, że powinni pójść z nim do parku, bo tam...

Minęła chwila długa jak wieczność, zanim rozgadani i roześmiani uczniowie zrozumieli, czego od nich żąda podniecony, rozgorączkowany chłopak.

Umilkli, popatrzyli na siebie, odwrócili wzrok. Jeden wzruszył ramionami, drugi splunął obojętnie przez zęby, trzeci zachichotał głupio. Najwyższy i na oko najsilniejszy poradził Michałowi serdecznie:

— Kolego, leć po władzę, to sprawa milicji, nie nasza.

Spod kiosku odległego o parę metrów ktoś zawołał:

— Widocznie chciała, a jak chciała, nikt nie ma prawa zabronić.

Stare kobiety pochylały ku sobie siwe, nieporządnie uczesane głowy, zaczęły szeptać, dziewczyny zakręciły się niespokojnie i podeszły bliżej do wysokiego, siwego pana.

— Ludzie — krzyknął Michał — ludzie, pomóżcie! Starszy pan bez wahania postąpił kilka kroków, zaczął coś mówić, ale Michał nie rozumiał słów, bo pa-

ni w eleganckim płaszczu krzyknęła przenikliwie i chwyciła mężczyznę za ramię.

— Nie! Tadeusz, błagam cię, nie! Twoje serce... dopiero tydzień temu wstałeś. Nie!

Skoczyła na jezdnię, prawie pod koła nadjeżdżającej taksówki.

Kierowca zahamował z piskiem opon, wychylił się przez okno, by rzucić wiązaną, ale nie zdążył. Kobieta szarpnęła drzwiczki, pociągnęła oszołomionego mężczyznę i wepchnęła do samochodu.

— On jest chory — krzyknęła do Michała — niedawno miał drugi zawał! — Zatrzasnęła drzwiczki, taksówka ruszyła.

— Nie stój, nie gap się — mruknął kolejarz — leć po milicję, posterunek jest za szkołą. Ja mam służbę, nie mogę się spóźnić.

Mały, szczupły chłopiec powiedział do kolegów:

— Może byśmy jednak poszli...

— Durny, będziesz się bił z takimi? Chcesz im podpaść? Oni tu rządzą. A pływalnia? Zaraz leci tramwaj.

Michał pobiegł na posterunek.

Dwóch milicjantów przeszukało park, kierując się wskazówkami Michała, niestety, bez skutku. Alejki były puste, kilku przypadkowych przechodniów nie umiało nic powiedzieć na temat czterech chłopców i dziewczyny w białym płaszczu.

W zrujnowanym pawilonie znaleziono kilka pustych flaszek po winie, sporo zmiętych opakowań sportów i giewontów, strzępy brudnych szmat i złoty guzik.

Na pytanie milicjanta, czy guzik mógł pochodzić z płaszcza dziewczyny, Michał nie potrafił odpowiedzieć z całą pewnością. Nie przyglądał się guzikom Magdy, może były złote, a może białe? Nie pamiętał.

Opisał za to dokładnie piegowatego wyrostka i tego,

233

który groził mu nożem. Innym nie miał czasu się przyjrzeć. Ze spojrzeń, jakie wymienili między sobą funkcjonariusze, wywnioskował, że wiedzą, o kogo chodzi, że czwórka „kolesiów” zapisała się trwale w ich pamięci.

— Wracaj do domu — powiedział jeden — jak nam będziesz potrzebny, wezwiemy cię. Podaj jeszcze nazwisko i adres dziewczyny.

Michał powlókł się do przystanku.

Nie wrócił do domu. Poszedł pod kamienicę, w której mieszkała Magda, i spacerował po drugiej stronie ulicy. Zapadał zmierzch, gdzieś tam już świeciło się światło, ale dwa frontowe okna mieszkania Magdy były ciemne.

„Może siedzą w kuchni albo w trzecim pokoju” — myślał.

O ósmej postanowił zadzwonić. Wykręcał numer Magdy mniej więcej co piętnaście minut aż do wpół do dziesiątej. Nikt nie odpowiadał.

Opuścił posterunek przy budce telefonicznej i raz jeszcze wrócił pod dom dziewczyny. Okna nadal były ciemne.

„Może wyszli do kina albo z wizytą” — usiłował sobie tłumaczyć.

Magda mówiła, że rodzice często wychodzą wieczorami. Nie lubią telewizji, dotąd nie kupili telewizora, wolą prawdziwe kino i prawdziwy teatr.

No, dobrze, rodzice mogli jeszcze nie wrócić, ale Magda? Jeśli nie ma jej w domu do tej pory, to... to...

Michał wszedł do bramy i drugim wejściem wydostał się na podwórze.

Wiedział, że Magda zajmuje mały pokój, którego okno wychodzi na dziedziniec. Na drugim piętrze kilka okien było oświetlonych, ale Michał nie mógł zorientować się, które należą do Magdy, a zresztą

234

gdyby była w domu, podeszłaby do telefonu. Przyszło mu do głowy, że mógłby pójść na górę, to byłoby najprostsze. Ale na samą myśl, że musiałby stanąć twarzą w twarz z Magdą, spojrzeć jej w oczy, poczuł strach.

„Tchórz” — powiedziałały i miałyby rację.

Przeraził się otwartego scyzoryka, uciekł. Stracił przeszło kwadrans na szukanie pomocy, na sprowadzenie milicji.

Przez ten czas mogło zajść bardzo wiele. Wyobraźnia zaczęła mu podsuwać straszne obrazy. Widział Magdę pobitą, zeszeconą, w podartej sukience i zabłoconym płaszczu.

„Ale ich było czterech — pomyślał z rozpaczą — co miałem robić? Nie dałbym im rady.

Załatwiliby mnie w mgnieniu oka. I przecież tamci, na przystanku, postąpili podobnie...

Przypomniał sobie starszego, siwego pana. On jeden nie bacząc na wiek i przebytą chorobę chciał iść, pomóc, ratować. I byłby poszedł, gdyby nie powstrzymała go towarzysząca mu kobieta, prawdopodobnie żona.

Michał okręcił się na pięcie i pobiegł w stronę domu. Czuł, że musi zaraz, natychmiast zrzucić z siebie ciężar pytań bez odpowiedzi, pozbyć się tej nieznośnej niepewności: Czy postąpił jak tchórz? Czy rzeczywiście musiał tak postąpić?

Drzwi otworzyła mu matka. Spojrzała z wyrzutem i powiedziała cicho:

— Znowu włóczysz się gdzieś całymi godzinami. Ojciec źle się czuje, już leży i chyba zasnął. Chodź do kuchni.

Postawiła przed nim talerz z odgrzanym makaronem suto posypanym białym serem i kubek mleka.

Michał grzebał ospale widelcem w talerzu, dziobał

235

od niechcenia okruchy sera, po raz pierwszy w życiu nie miał apetytu, czuł, że każdy kęs rośnie mu w ustach.

A matka zmęczonym głosem wyliczała mu wszystkie, aż nadto dobrze znane grzechy.

— Michasiu, dziecko, tak dłużej nie może być. Nie uczysz się, całe popołudnia i wieczory spędzasz poza domem. Mówiła mi Małgosia, że dziś wyszedłeś o piątą, a teraz dochodzi dziesiąta. Pewno znów nie odrobiłeś lekcji. Gdzie ty chodzisz, z kim się zadajesz? Znowu spotykasz się z tymi chłopcami? Przecież to są zwykłe łobuzy, chuligani. Czego mogą cię nauczyć? Palić i pić.

Rozmawiałam dziś z twoim wychowawcą, grożą ci dwójki z fizyki i chemii. (Niedługo koniec roku, musisz wziąć się w garść, przysiąc fałdów, inaczej znów będziesz miał zepsute wakacje. Co się z tobą dzieje, synu? Pomyśl o ojcu, on jest chory, powinien mieć spokój, nie denerwować się, a ty wciąż go martwisz.... Przecież nie wymagamy od ciebie zbyt wiele, chcemy tylko, żebyś się uczył, żebyś wyrósł na porządnego człowieka. To dla twego dobra, Michasiu...

Michał poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Łagodny, cichy głos matki, smutek w jej oczach, usta drżące jakby od powstrzymywanego płaczu, tego nie sposób znieść.

Miał ochotę krzyknąć: „Gdybyś ty wiedziała!”

Milczał. Szorstkim ruchem odsunął talerz, wstał.

— Muszę jeszcze coś przygotować na jutro — powiedział.

Zamknął drzwi swego pokoju, ostrożnie przekręcił klucz w zamku.

Nie rozbierając się, padł na rozścielony tapczan\* ukrył głowę w poduszce.

— Magda — szepnął — Magda...

236

\*

Poznali się jakoś na początku lutego, w teatrze, podczas szkolnego przedstawienia.

Nie wiadomo, kto wymyślił to okropieństwo. Zbiórka w szkole, marsz parami do teatru, obowiązkowo przepisowe mundurki, nuda, przymus spokojnego siedzenia przez kilka godzin,

a potem siódme poty wyciskane przez polonistkę, wałkowanie życiorysów autorów, idei przewodniej sztuki i charakterystyk postaci.

I to towarzystwo! Smarkateria skacząca po krzesłach, gwizdy, śmiechy, szelest rozwijanych papierków, ciam-kanie, mlaskanie, wygłupy w najgorszym gatunku. BHeterki biegnące jak szalone z jednego kąta w drugi, nauczycielki z wypiekami na twarzach i minami męczennic. A potem:

— Wstyd mi za was, co za brak kultury, co za brak wychowania. To teatr, nie bazar, sztukę należy odbierać w skupieniu...

Trele morele. Może jeszcze na klęczkach?

Tym razem na tapecie był „Chory z urojenia” Moliera. Nawet fajne. Z początku Michał słuchał i patrzył z rozbawieniem. Podczas antraktu tłocząc się razem z innymi kolegami w kolejce do bufetu (obowiązkowo trzeba kupić w teatrze oranżadę) posłyszał nagle dziewczęcy głos dowodzący z zapalem:

— ...bzdura, przeżytek, co nas może obchodzić Molier i jego komedia? Owszem, to nawet śmieszne i zgrabnie napisane, ale ja szukam w sztuce problemów współczesnych, aktualnych. Nasze pokolenie oczekuje od sztuki teatralnej całkiem innych rzeczy... Ach, gdyby u nas wystawiono „Hair” albo „Oh Calcutta”, stałabym trzy dni i trzy noce w kolejce po bilety. Michał wycofał się z tłoku ze swoją butelką oranżady i poszukał wzrokiem dziewczyny wyrażającej

237

tak śmiało swoje poglądy. Wprawdzie tytuły „Hair” i „Oh Calcutta” słyszał po raz pierwszy, nie bardzo wiedział, czy chodzi o przedstawienia teatralne, czy o filmy, ale opinia nieznanym o Molierze bardzo mu odpowiadała. A gdy zobaczył osobę twierdzącą, że „Chorego z urojenia” należałoby razem z autorem zamknąć w lamusie, zrozumiał, że przepadł, zginął, że podpisałby się obiema rękami pod wszystkim, co głosiły te usta, choćby to był wyrok na jego własną głowę.

Manewrował tak wśród tłumu zalegającego foyer, by zobaczyć tarczę naszytą na rękawie dziewczyny. Udało się, choć z trudem. Chodziła do „jedyńki”, na Poniatowskiego, musiała więc mieszkać niedaleko, w jego dzielnicy.

Jak do niej zagadać, jak ją poderwać? Nie wyglądała na taką, która poleci na pierwszy z brzegu komplement, musiała być inteligentna, odczytana, oryginalna.

Przez cały następny akt Michał zastanawiał się nad sposobem zaintrygowania nieznanym. Doszedł do wniosku, że musi to być bombowe uderzenie, atak frontalny, coś jedyne go w swoim rodzaju i niepowtarzalnego. Odetchnął z ulgą, gdyż pod koniec aktu był pewny, że wpadł na dobry pomysł.

Depcząc po nogach kolegów i roztrącając bez pardonu tłoczących się przy wyjściu do foyer smarkaczy, jeden z pierwszych znalazł się w pobliżu bufetu.

Przeżył chwilę trwogi, nieznanym nie pokazywała się przez dłuższy czas, może ten antrakt spędzi na sali?

Wyszła jednak. Przez sekundę jej oczy spoczęły na twarzy Michała, potem obojętnie zmieniły przedmiot obserwacji.

„Poczekaj” — pomyślał Michał.

Podszedł i dotknął ramienia dziewczyny.

— Słyszałem, jak na poprzedniej przerwie mówiłaś

238

o tych bombowych zagrywach, wymieniałaś „Hair” i „Oh, Calcutta” — zaczął i widząc uprzejmy brak zainteresowania na twarzy dziewczyny, dodał szybko — chętnie podyskutowałbym z tobą na te tematy, a zresztą tamto już przeżytek, można powiedzieć zabytkowe eksponaty, jest coś nowego na tapecie.

Lekki błysk ciekawości w oczach dziewczyny dodał mu odwagi.

— Mój wuj wrócił niedawno z Londynu — powiedział niedbale — oglądał tam najnowsze przedstawienie „On the back”. — Śmiało wypowiedział angielski zwrot, był pewien, że nie zrobił błędu, zbyt często nauczyciel wytykał mu, że jego ulubione zajęcie to leżenie „on the back”, do góry brzuchem.

— Dobry tytuł — zaśmiała się dziewczyna i odrzuciła do tyłu masę ciężkich, smoliście czarnych włosów

— czyje?

Na to pytanie Michał nie był przygotowany. Rozpaczliwie szukał w pamięci angielskiego nazwiska, ale nic nie przychodziło mu na myśl poza beznadziejnie banalnym Smithem.

— Joe Hendrixa — palnął wreszcie. Dziewczyna uniosła wysoko wąskie, lekko skośne brwi.

— Przecież to piosenkarz — zdziwiła się — w dodatku już nie żyje.

— No właśnie... tego — plątał się Michał — wielbiciele Hendrixa zrobili montaż jego piosenek i tekstów, coś dopisali i tak powstała sztuka — wybrnął wreszcie

— jeśli cię to interesuje, mam w domu czasopisma ze zdjęciami i recenzją, wujek mi podarował. Mogę ci pokazać... — zawiesił głos i spojrzał wyczekująco.

■— Masz czasopisma z Londynu? — zainteresowanie dziewczyny wzrosło. — Nowe? —■  
Nowiutkie — łąał jak z nut Michał. — Wujek

239

wrócił przed dwoma tygodniami. (Grunt to zawrzeć znajomość, potem jakoś się wykręci.)  
Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, ale Michał wyczuł wyłom w murze rezerwy i powściągliwości.

— Gdzie mieszkasz? — ruszył do ataku.

— Na Starczej.

— To moje strony. Po przedstawieniu wyjdziemy razem, dobra?

Skinęła przyzwalająco głową.

Ostatni akt upłynął Michałowi na rozpamiętywaniu oczu, włosów, ust, uśmiechu i spojrzeń nieznajomej. Było w niej coś niezwykłego, jeszcze żadna dziewczyna nie zrobiła na nim takiego wrażenia, choć uważał się za doświadczonego w tych sprawach i problemy „sercowe” traktował raczej lekko.

Nie mógł się doczekać spuszczenia kurtyny i gdy wreszcie zabrzmiały oklaski, zaczął się przepychać ku wyjściu, by zająć dogodny posterunek na wprost szatni i nie stracić z oczu oczekiwanej.

„Nawet nie spytałem, jak jej na imię” — pomyślał patrząc na kłębiący się tłum białych bluzek i granatowych marynarek podający sobie płaszcze z rąk do rąk nad głowami oczekujących potulnie w kolejce.

Wyszła z sali jedna z ostatnich, spojrzała z niesmakiem na zbitą cizbę wokół szatni i dojrawszy Michała wyciągnęła doń rękę z numerkiem.

Michał dał nura w tłum, odepchnął czyjeś ramię, przyjął ze stoickim spokojem potężną sójkę w bok, wymierzoną przez odsuniętego, i po chwili wynurzył się obok dziewczyny, ściskając z nabożeństwem ciemny kożuszek i zgrabną futrzaną czapeczkę.

Wyszli na rozjarzoną światłami i neonami ulicę Świdnicką.

— Jedziemy zerówką czy autobusem? — spytał rzeczowo Michał.

240

— Autobusem. Opowiedz o tym przedstawieniu.

Wieczór był chłodny, odległość między Teatrem Kameralnym a przystankiem autobusowym „pod arkadami” niewielka, ale Michał czuł się tak zmęczony, jakby w skwarne lipcowe południe dźwigał na plecach wór kamieni.

Magda (spytał wychodząc z teatru, jak ma na imię) była nienasycona.

Wypytywała o treść przedstawienia, o dekoracje, muzykę, stroje, aktorów, wszystkiego jej było mało.

Michał pocił się i męczył, wymyślając fantastyczną fabułę i dorzucając wciąż nowe, nieprawdopodobne szczegóły. Po raz pierwszy w życiu żałował, że tak rzadko chodzi do teatru, że nie słucha relacji matki, świetnie zorientowanej we wszystkich nowościach i sensacjach artystycznych. Że, mówiąc po prostu, nie ma o niczym zielonego pojęcia i że lada chwila skompromituje się w oczach Magdy.

Na szczęście w autobusie był tłok i rozmowa została przerwana.

Wysiedli razem, Michał podprowadził Magdę aż pod dom i spytał:

— Spotkamy się jutro? Przyniosę te czasopisma. Magda pokręciła głową.

— Nie mogę jutro, jestem już umówiona. Przyjdź w czwartek o- piątej.

— Gdzie?

— Pod Fredrę. Mam basen do wpół do piątej, z Teatralnej najbliższej do Rynku. A nie zapomnij o czasopismach...

Czy mu się zdawało, czy w głosie dziewczyny zabrzmiał hamowany śmiech? Czyżby się czegoś domyśliła? I z kim była umówiona na jutrzejsze popołudnie?

Magda zniknęła w bramie, a Michał poszedł do domu z zadrą w sercu.

— W myślach, w sercu...

241

Nazajutrz wprost ze szkoły pobiegł do „Empiku”. W dziale czasopism pracowała znajoma matki, sympatyczna i uczynna pani Kazia. Powiedział, że mama potrzebuje ilustrowanych czasopism angielskich.

Pani Kazia rozłożyła ręce. Niestety, nie miała ani jednego egzemplarza, kolorowe zeszyty drukowane na kredowym papierze przychodziły w minimalnych ilościach i były rozchwytywane od ręki. Widząc rozczarowanie na twarzy chłopca, sięgnęła pod ladę i szepnęła:

— Mam jeszcze jeden egzemplarz „Elle”, może to weźmiesz dla matki.

Michał bez namysłu zapłacił i porwał zwinięty w rulon zeszyt.

„Dobre i to •— myślał wracając do domu — powiem, że tamte angielskie ojciec komuś pożyczył”.

Magda obejrzała najnowszy numer „Elle” z zainteresowaniem i pokraśniała z zadowolenia, gdy Michał oświadczył, że może go zatrzymać na własność.

— Świetnie. Tu są szalowe kiecki, będę mogła skopiować dla siebie.

— Umiesz po francusku? — spytał z szacunkiem chłopiec.

— Tyci-tyci, tyle co nic — roześmiała się — ale moja mama umie. Ja znam angielski...

Mogłabym przetłumaczyć recenzję z „On the back” i pokazać w szkole... Ale byłaby bomba.

Szkoda, że akurat teraz ktoś musiał pożyczyć ten numer... — uśmiechnęła się odrobinę przekornie.

Chodzili już ze sobą dwa tygodnie, gdy Michał przyznał się do podstępu.

— ■ Nie ma i nie było żadnego „On the back” — wyznał. — Wymyśliłem wszystko, bo koniecznie chciałem cię poderwać.

— Wiem — odparła spokojnie Magda — od początku wiedziałam. Nie jestem taka głupia, od razu poznałam,

242

że zmyślasz. Nie masz pojęcia, jakie bzdury plotłeś. Gdyby ktoś naprawdę coś takiego napisał i wystawił, byłoby to najgłupsze przedstawienie świata.

— Więc dlaczego?... — zaczął Michał i urwał.

— Dlaczego?... — powtórzyła Magda. — Czy ja wiem? To był zupełnie nowy sposób, sprzykrzyły mi się już te drętwe mowy, to tradycyjne podrywanie. Udało ci się mnie zaciekawić. A zresztą... Po prostu spodobałeś mi się... tak jak ja tobie.

Michał pomyślał, że świat jest piękny mimo chmurnego nieba, zimnego wiatru i pustej kieszeni, uniemożliwiającej zaproszenie Magdy do „Herbowej”, co byłoby najwłaściwsze przy takiej pogodzie i z taką dziewczyną.

Wyszedłszy z budki telefonicznej, Michał włókł się prosto przed siebie ruchliwą ulicą Nowowiejską nie myśląc, dokąd idzie i po co.

Przystanął na rogu, gdyż zagroził mu drogę tramwaj, i nagle spłynęło nań olśnienie.

„Co za dureń ze mnie — pomyślał — przecież mogę pójść do szkoły, dowiedzieć się, czy Magda jest w budzie”...

Zerknął na zegarek, była ósma za dziesiątą.

„Może jeszcze zdążę...”

Nie zdążył. Gdy wpadł zdyszany na podwórze „jedyńki”, usłyszał dzwonek oznajmiający rozpoczęcie pierwszej lekcji.

Dziedziniec był pusty i woźny właśnie zamykał drzwi.

Michał usiadł na kamiennej podmurówce sztachet z mocnym postanowieniem doczekania pauzy. Na własnych lekcjach położył krzyżyk, właściwie od rana było jasne, że dziś nie pójdzie do szkoły. Nie wytrzy-

243

małby w klasie, nie wysiedziałyby w ławce siedmiu godzin, nie wiedząc, co się stało z Magdą.

„Właściwie na co ja czekam? — pomyślał z przerażeniem. — Przecież to jasne jak słońce, że coś się musiało stać”.

Rano jeszcze miał nadzieję, jeszcze łudził sam siebie, że nic nie zaszło, że wczorajsza nieobecność rodziców i milczący aparat to zwykły zbieg okoliczności. Rodzice wyszli, a Magda po prostu nie podchodziła do telefonu. Może już spała, może źle się czuła (pewno najadła się strachu), może... może domyślając się, kto dzwoni tak natarczywie, nie chciała podnieść słuchawki. Chwytał się tej myśli jak tonący brzytwy, pomogła mu ona przetrwać noc i ranek.

Ale teraz czuł się jak rozbitek, któremu ze zgrabiących palców wyslizguje się uchwyt wiosła, ostatni skrawek burty, a ciemny, nieprzyjazny wir ciągnie w głębinę. Mimo to nie odchodził, czekał, sam nie wiedząc, na co czeka. Przecież Magdy nie było, nie mogło być w szkole...

Gdy zadzwieczał dzwonek oznajmiający pauzę, Michał pędem ruszył w stronę wejścia. Złapał pierwszego lepszego chłopaka za rękę i poprosił:

— Zawołaj kogoś z drugiej A.

— Ja jestem z drugiej A — odparł zatrzymany. — A bo co?

— Chciałem spytać... muszę wiedzieć... czy jest dziś w klasie Magda Mielnik?

Chłopak zamyślił się.

— Magda? Chyba tak, nie jestem pewien... Michałowi serce skoczyło do gardła, miał ochotę

uściskać nieznanego blondynka.

— Lidka! — wrzasnął chłopak. — Magda jest w szkole?

— Nie! — odkrzyknęła ładna dziewczynka gryząca

244

czerwoną rzodkiewkę — pewno zachorowała na klasówkę z matmy.

— Nie ma jej — powtórzył chłopiec, jakby miał przed sobą głuchego.

Michał poczuł, że wilgotnieją mu dłonie, niecierpliwym ruchem otarł je o spodnie. Opuścił podwórze wolnym krokiem człowieka, który nie wie, dokąd iść i co ze sobą zrobić.

Znalazłszy się na ulicy ruszył odruchowo w stronę swojej szkoły, nie bacząc, że może się natknąć na któregoś z nauczycieli, że i tak ma zaszarganą opinię i że pod koniec roku liczy się każdy opuszczony dzień.

Oprzytomniał dopiero na widok znajomego budynku, zawrócił i po paru minutach znalazł się nad Odrą na wprost Kępy Mieszczańskiej.



Zszedł po kamiennych schodkach w dół i usiadł na ostatnim. Było cicho, gwar pobliskich ulic dolatywał tu stłumiony i niewyraźny, tylko woda pluskała uderzając o obmurowane brzegi. Michał oparł łokcie na kolanach, objął rękami głowę i siedział tak nieruchomy, skulony, z daleka podobniejszy do kamienia niż do człowieka.

„Magda byłaby zła, gdyby wiedziała, że wagaruję, że znów opuściłem lekcje...” — pomyślał bez sensu. Jakie znaczenie mogła mieć opinia Magdy teraz, kiedy...

Naraz drgnął jak ukłuty szpilką, tak ostry niepokój wywołała nagła pewność:

„To już koniec. Ona mi nie przebaczy. Cokolwiek zaszło, nie daruje, że uciekłem, że zostawiłem ją na pastwę tych łobuzów”.

Usiłował myśleć spokojnie, wzruszył nawet ramionami, udając obojętność i lekceważenie.

„No więc co, że koniec? Trudno. Nie jedna Magda na świecie. Powinna zrozumieć, że są sytuacje bez wyj-

245

ścia. Byłbym szalony porywając się sam jeden na czterech. Jej bym nie pomógł, a sam wylądowałbym w szpitalu. To jasne. Wystarczy logicznie pomyśleć...”

Czuł wzbierający gniew. Podniósł kamyczek leżący na stopniu i z pasją cisnął go w wodę. Że też właśnie jemu musiała przytrafić się taka historia. Że też właśnie on musiał spotkać dziewczynę taką jak Magda!

Przecież ona swoim zachowaniem, usposobieniem, nawet wyrazem twarzy prowokowała nieustanne spięcia, nieporozumienia, awantury. Nie darowała nikomu, waliła prawdę prosto z mostu, nie umiała przymknąć oczu, przemilczeć, udąć, że czegoś nie dostrzega, nie rozumie. Nigdy jeszcze Michał nie spotkał dziewczyny, która by tak jak Magda — jeśli coś wydawało się jej złe, niemiłe, nieodpowiednie — mówiła o tym wprost, nie bacząc na konsekwencje. Michał uśmiecha się na wspomnienie gorącej dyskusji toczony niedawno na ławce w parku. Magda miała błyszczące oczy i wypieki na policzkach i to mu się podobało, choć mówiła rzeczy nieprzyjemne, prawie obraźliwe. A zaczęło się tak niewinnie, od zwykłego pytania o plany na przyszłość...

— Nie wiem, co będę robił — odparł leniwie Michał — jeszcze się nie zdecydowałem. Czy to nie wszystko jedno? Coś tam pewno skończę, gorsze tumany ode mnie kończą studia, może...

Urwał, zaskoczony wyrazem twarzy dziewczyny. Policzki jej płonęły, oczy rzuciły błyskawice, gdy mówiła z uniesieniem:

— Co to znaczy „wszystko jedno”?! Czy nie masz żadnych zainteresowań, czy naprawdę jest ci obojętne, co będziesz robił? Przecież wybiera się zawód na całe życie. Co z ciebie za człowiek — załamała ręce — czasem mi się wydaje, że ty nie żyjesz naprawdę, że

248

ciebie nic nie bawi ani nie smuci... Powiedz mi — ciągnęła spokojniej — czego byś chciał najbardziej? Na czym ci zależy najwięcej?

— Chciałbym mieć kupę forsy, wyścigowy samochód i japoński magnetofon — odparł bez namysłu — wiesz, taki maleńki, żeby się mieścił w kieszeni.

Zamilkł i patrzył z niepokojem na Magdę, która zbliżyła swoją twarz do jego twarzy i syczała z pogardą:

— Osioł, bałwan, materialista! Boże drogi, że też właśnie ja tobą musiałam się zainteresować. Ja... i taki zakuty, barani łeb!

Michał nie obraził się, choć jeszcze nigdy i od nikogo nie usłyszał tylu obelżywych opinii o sobie. Nie obraził się, bo obelgi pochodziły od Magdy. Jej było wolno wszystko, każdemu innemu — wara.

Usiłował ją rozbroić żartami, podniósł nawet w górę dwa palce i z komiczną powagą przysięgł, że od jutra się zmieni, że zrezygnuje z marzeń o samochodzie i pieniądzu i że wybierze sobie jakiś szlachetny zawód, dający mało forsy i dużo satysfakcji.

— Zostanę nauczycielem, wyjadę na wieś, położoną co najmniej czterdzieści kilometrów od kolei, i będę szerzył oświatę wśród ludu. Albo może lepiej skończę medycynę i osiadę gdzieś w małym miasteczku, zrzeknę się prywatnej praktyki i kupię sobie rower, by dojeżdżać do chorych... Pozwól mi tylko zatrzymać magnetofon, nagram na nim twój głos i co rano usłyszę: „Ośle, baranie, do roboty, praca uszlachetnia, pieniądze nie dają szczęścia!” To mi pomoże przetrwać — zakończył z tragicznym westchnieniem.

Ale Magdę niełatwo było rozbroić. Patrzyła na Michała z gniewem, potem ze smutkiem, wreszcie odwróciła głowę, ale chłopiec zdążył zauważyć łzę w kącie oka. Przeraził się.

247

— Magduś, kochana! Ty płaczesz? Przeze mnie? Jestem rzeczywiście osioł i baran, miałaś rację. No, nie płacz, uspokój się. Jeśli ci na tym zależy, zmienię się naprawdę. Tylko powiedz, co mam robić, wytłumacz, o co ci chodzi, bo ja... bo ja nie bardzo rozumiem...

Magda otarła łzy i powiedziała z goryczą:

— To właśnie jest najgorsze. To że w ogóle nic nie rozumiesz. Uważasz się za fajnego chłopca, prawda? — znów podniosła głos. — Nie kradniesz, nie rozbijasz się, nie chuliganisz... Czego od ciebie chce ta zwariowana Magda? Jesteś przecież całkiem klawy gość, wesoły, dowcipny, równy... Te parę dwój od czasu do czasu to pestka, drobiazg.

— Więc co? — zaperzył się Michał. — Oceniasz wartość człowieka według stopni?

Uważasz, że byłbym lepszy mając same piątki? Poglądy godne belfra...

— Przestań — przerwała Magda — nie udawaj głupszego, niż jesteś. Nie o stopnie mi chodzi, stopnie nie są najważniejsze, wystarczy poczytać życiorysy wielkich ludzi, prawie żaden nie był świetnym uczniem.

— Podobno Einstein miał kłopoty z matematyką — wtrącił Michał.

— Właśnie — odruchowo powiedziała Magda i zaraz rzuciła gniewnie — nie zagaduj Einsteinem, ty, choć masz kłopoty z matematyką, z pewnością nim nie będziesz.

— Więc o co ci w końcu chodzi?

— O to... żebyś był inny. Żeby ci na czymś zależało. Przecież ty żyjesz tak, jakby świat miał przestać istnieć w dniu twojej śmierci. Wobec tego nie warto się wysilać, nie warto myśleć o innych, oni nie mają żadnego znaczenia, istnieją tylko w tym celu, aby tobie niczego nie zabrakło. Rodzice muszą cię żywić, kształcić i ubierać, nauczyciele muszą wbijać ci w głowę podstawowe wiadomości, koleżanki i koledzy powinni

248

dostarczać ci samych rozrywek i przyjemności, a ponadto pomagać, podpowiadać, podsuwać rozwiązane zadania do odpisania. Myśleć o innych, przejmować się nimi to zbyt duży wysiłek, to może zaszkodzić, skrócić twoje cenne życie.

— Ach, więc chcesz, żebym naśladował ciebie — zasyczał z pasją Michał — żebym płonął entuzjazmem, tryskał uniesieniem, wpadał w zachwyty z byle powodu, choćby dlatego, że w Londynie grają „On the back”!...

Magda zbladła i powiedziała cicho:

— To był chwyt poniżej pasa. Dobrze wiesz, dlaczego „zainteresowałam” się nową „sztuką”. A jeśli już chodzi o te sprawy... Tak, przyznaję, nowe prądy, nowe pomysły pasjonują mnie, wcale się tego nie wstydę. Gdyby wszyscy ludzie byli podobni do ciebie, prawdopodobnie do dziś skakalibyśmy po gałęziach, ludzkość nie osiągnęłaby niczego.

— Większość myśli podobnie jak ja! — wybuchnął Michał. — To tylko tobie się zdaje, że świat złożony jest z entuzjastów i bojowników o postęp. A ja ci mówię, że tak nie jest. Ludzie myślą wyłącznie o sobie, o swojej posiadłości, zarobkach, rodzinie, domu. I mają w głębokim poważaniu nowe prądy w sztuce, literaturze, nigdy nie słyszeli o „Hair”, nie wiedzą, kto to Picasso, nie chodzą do teatru na Kafkę czy Różewicza, a mimo to żyją i są szczęśliwi.

Magda spuściła głowę, zamyśliła się. Po dłuższej chwili zaczęła mówić, najpierw niepewnie, potem z rosnącym przekonaniem:

— Może to prawda, co powiedziałaś, może większość ludzi tak właśnie żyje i myśli, ale czy to jest słuszne, czy to jest dobre? Pomyśl, żyć tylko po to, by jeść, spać, zarabiać pieniądze, kupować ciuchy? Przecież to straszne. Życie nasze trwa tak krótko, a twoim zda-

249

niem można je marnować na takie niby-życie? Wolałabym umrzeć zaraz, dziś, gdybym wiedziała, że niczego nie osiągnę, nic nie zmienię, że będę należała do tych, którzy myślą tylko o własnych brzuchach. I nie powołuj się na większość, nie odwracaj kota do góry ogonem. Mnie chodzi o ciebie i zaczęliśmy mówić o tobie.

— Sama przyznałaś, że jestem fajny chłopak... — wtrącił Michał. — Zresztą gdyby było inaczej... chyba nie spotykałabyś się ze mną, prawda? — dokończył z niepokojem. Magda wzruszyła ramionami.

— Czasami sama nie wiem, dlaczego z tobą chodzę — odparła powoli. — Jesteś taki dziwny... Miły i nieznośny, czasami tak mnie drażnisz, że miałabym ochotę przepędzić cię na cztery wiatry, a czasami znów...

— nieoczekiwanie uśmiechnęła się — no cóż, może zresztą my wszyscy jesteśmy tacy sami... I dobrzy, i źli równocześnie, ludzie po prostu, nie pomniki...

— No, w każdym razie ty aż się prosisz o cokół! — parsknął śmiechem Michał, rad, że Magda porzuciła mentorski ton i znów jest normalną, miłą dziewczyną.

— Pięknie wyglądałabyś jako posąg. Widzę postać wykutą w białym marmurze, w jednej ręce dzierżącą miecz bojownika, w drugiej księgę wszelakiej mądrości.

— Przestań — rozgniewała się Magda — z tobą wcale nie można poważnie rozmawiać, ze wszystkiego musisz zrobić drakę. A jeśli chodzi o mnie — dodała spokojniej — mam mnóstwo wad, niestety...

— Dla mnie tylko jedną — powiedział Michał — jesteś zbyt zasadnicza. Sama twierdzisz, że żyjemy krótko, czy warto głowę sobie nabijać nauką, pracą, innymi ludźmi? I tak wszyscy w końcu trafimy do gustownej trumienki i wylądujemy na cichym cmentarzu.

250

— Jesteś cynik! — krzyknęła Magda — w dodatku głupi cynik! Mam tego dość, najlepiej będzie, jeśli przestaniemy się widywać — zerwała się z ławki i odeszła szybkim krokiem. Michał wstał z kamiennych schodków, otrzepał spodnie, chwilę patrzył bezmyślnie w wodę. Oczywiście nie przestali się widywać, wtedy dogonił uciekinierkę, przeprosił, ugłaskał, ułagodził.

Ta rozmowa odbyła się jakieś dwa tygodnie wcześniej, nie wracali już do tych tematów, ale Michał często zastanawiał się, czy Magda nie miała trochę racji.

„Oczywiście przesadziła, mówiąc, że na niczym mi nie zależy — myślał — że jest mi zawsze wszystko jedno. Chciałbym długo żyć, nie chorować, nie zestarzeć się, przyjemnie spędzać czas, nie nudzić się w szkole, w domu nie wysłuchiwać wciąż tych samych kazań, morałów. Chciałbym być niezależny, wolny, robić to, na co mam ochotę, a nie, co trzeba, wypada, to by było bombowe życie”.

Nagle drgnął, zdawało mu się, że usłyszał głos Mag-dy:

„Tak właśnie postępujesz, przecież wczorajszy wieczór to był mały fragment twego »bombowego życia«”.

Obejrzał się niespokojnie. Miał uczucie, że ktoś stoi za nim i szeptem mu do ucha. Idiotyzm. Oczywiście, że był sam nad wodą. Najbliżsi przechodnie znajdowali się o kilkadziesiąt metrów dalej, na moście.

„Wyrzuty sumienia? — uśmiechnął się szyderczo. — To coś nowego i właściwie z jakiego powodu? Przecież jestem w porządku, nikt nie może mi nic zarzucić. Wiedziałem, że sam nie dam rady, pobiegłem po pomoc, nie moja wina, że wszyscy mieli pietra, że musiałem stracić sporo czasu, by sprowadzić milicję.

251

O, widzisz, Magda, moje na wierzchu! Czy nie mówiłem, że ludzie myślą tylko o sobie, że kombinują, co jest warte wysiłku, a co nie? Tamci na przystanku dobrze obliczyli, wiedzieli, że nie opłaca się pchać palca między drzwi, że za »solidarność«, za »poczucie obowiązku« mogą zarobić parę »blach« i stracić kilka zębów".

Podniósł leżący na schodach worek z książkami, zaczął piąć się w górę. Po chwili był na ruchliwej ulicy, przeszedł most, już miał wejść w tunel pod uniwersytetem, gdy nagle zawahał się. Może lepiej wrócić do domu? Zatrąlować matkę, wymyślić jakąś nagłą dolegliwość?

Mama uwierzy we wszystko, napisze usprawiedliwienie, trzeba tylko umiejętnie symulować chorobę, najlepiej ból brzucha z prawej strony. Przechodził już raz lekkie podrażnienie ślepej кишки, wiedział, jakie są objawy. Nie warto się wychylać, miał już w tym roku kilka dni opuszczonych bez usprawiedliwienia i bardzo niemiłą rozmowę z dyrektorem. Nawet matkę wzywano do szkoły.

„Właściwie dlaczego nie poszedłem do budy? — zastanawia się Michał idąc szybko wzdłuż kanału Odry. — Po wyjściu z domu miałem dość czasu. Niepotrzebnie sterczałem jak idiota pod budką telefoniczną, przecież jeśli nawet coś się stało, już nic nie poradzę, nie zmienię. I tak dowiem się prędzej czy później, co z Magdą..."

Michał mija szeroko rozsiadły, przysadzisty budynek Hali Targowej, wkracza na most Piaskowy, idzie wąskim chodnikiem w kierunku ulicy Sienkiewicza. Tędy najbliżej do domu. Dom... Doznaje dziwnego uczucia. Coś go ciągnie do tych znajomych ścian, do własnego, skromnego pokoju. Zdarza mu się to chyba po raz pierwszy w życiu,

252

w każdym razie nie może sobie przypomnieć, by kiedykolwiek przedtem myślał o rodzinnym domu z tęsknotą.

Do tej pory było to miejsce, gdzie czekały na niego wygodne łóżko, smaczne potrawy na stole, świeże koszule w szufladzie i wyczyszczone buty, gdzie matka, gderliwa i nudna, choć jednocześnie wyrozumiała, łagodna i dobra, męczyła go wiecznymi pretensjami i narzekaniem.

Dom było to miejsce związane z przymusem odrabiania lekcji, z rygiorem wracania o określonej porze, obowiązkiem tłumaczenia się ze złych stopni, spóźnień, zatargów z nauczycielami, jednym słowem, miejsce, owszem, potrzebne i wygodne, ale straszliwie nudne, gdzie nic się nie dzieje ciekawego, no bo cóż interesującego może być w tym, że ojciec jest zapracowany i zmęczony, matka zagoniona i „lecząca- z nóg", a siostry młodsze i głupie?

Nigdy więc nie szedł do domu z ochotą, z radością, najczęściej odkładał, jak mógł, moment powrotu, wiedząc, że czekają go w tych ścianach obowiązki, wymówki matki, a czasami awantury z ojcem.

Dziś stało się inaczej. Dziś miał uczucie, że wraca w miejsce bezpieczne i spokojne, dalekie od groźnych spraw świata. Że za drzwiami mieszkania spotka sprzymierzeńców, którzy potrafią zrozumieć i wybaczyć każdy błąd, każde potknięcie.

„Właściwie dlaczego nie porozmawiałem z ojcem? — myśli zatrzymując się przed wejściem do Botanicznego Ogrodu — przecież specjalnie po to wstałem tak wcześnie, nabujałem mamę o wyjeździe nauczyciela i dodatkowym treningu, przecież chciałem opowiedzieć wszystko. Bąkałem coś jak idiota i ojciec pomyślał, że potrzeba mi pieniędzy. Dał mi dwudziestkę i cześć, ma kłopoty wychowawcze z głowy!"

253

Poczuł nagłą pretensję do ojca, ale zaraz ocenił sytuację trzeźwo.

„Skąd stary mógł wiedzieć, że nie o forszę mi chodzi? Nigdy nie zwracałem się do niego ze swymi sprawami, nie prosiłem o radę, o pomoc. Ciekawym, co by powiedział, jak by ocenił

wczorajszą historię? Czy pochwaliliby ostrożność i rozwagę? Czy może nazwałby mnie tchórzem? Ojciec nie lubi bójek, tylko że w tym wypadku..."

Michał opiera się o żelazne sztachety, patrzy bezmyślnie w głąb ogrodu. Jak tam pięknie, jak spokojnie i cicho. Świeża zieleń nie zwarzona upałem, nie przysypana kurzem ciągnie oczy, każe myśleć o wakacjach, o odpoczynku. Drzewa owocowe już przekwitły, jeszcze krzaki bzu pokryte fioletowymi i białymi pękami kwiatów roztaczają słodki zapach. I całe mnóstwo innych kwiatów, nie znanych Michałowi z nazwy, kwitnie i pachnie, jakby na przekór, jakby chcąc udowodnić, że zapach, barwa, kwitnienie i owocowanie to jedyne sprawy naprawdę ważne.

Zrywa wystający poza sztachety listek bzu, rozciera go w palcach i wdycha gorzki, orzeźwiający zapach.

„Jednak dobrze, że nie powiedziałem o wszystkim ojcu — myśli. — Nie pochwaliliby mnie, powiedziałby, że zdarzają się sytuacje, w których trzeba odstąpić od zasad, zrobić coś wbrew sobie, że czasem nie można inaczej. I spytałby: »A gdyby twojej siostrze lub matce groziło niebezpieczeństwo? Czy też uciekłybyś, zostawił je na pastwę rozwydrzonych łobuzów?«"

Michał z nagłym gniewem odrzuca trzymany w ręku listek.

Nie wie, co by zrobił, gdyby wtedy na miejscu Magdy znalazła się Gośka, ale teraz czuje wzbierającą wściekłość i nienawiść. Gdyby teraz spotkał piegowatego wyrostka, rozwaliby mu łeb, z przyjemnością po-

254

rachowałby mu kości, wyrznąłby w beczelny pysk, obił jak psa. O, Magda poznała od razu, z kim ma do czynienia, powiedziała, że takiemu jak Piegowaty ludzkim słowem nic się nie wytłumaczy.

„I po co tacy żyją na świecie? — zastanawia się Michał skręcając w ulicę Wieczorka. — Jaki z nich pożytek? Podpierają kioski z piwem, czekają tylko na okazję, by komuś nawymyślać, obrazić, zaczepić. W pojedynkę tchórzliwi jak zające, odważni wówczas, gdy staną we czworo przeciw jednemu. Wtedy sflam-szą go, skopią, dadzą taki wycisk, że facet długo się nie pozbiera. Tłumacz takiemu, co to współzycie, kultura — w pięty ci pójdzie jego odpowiedź."

Biegnie ulicą zdyszany, wściekły i nagle czuje, że ktoś chwyta go za ramię. Odwraca się, na końcu języka ma ostre słowo, jest pochłonięty myślami o Piegowatym i mógłby przysiąc, że to on go zatrzymuje. Słyszy śmiech i znajome głosy:

— Majk, maraton trenujesz czy ktoś ci kota popędził?

Michał uśmiecha się z przymusem, widząc dawnych „kumpli", z którymi przestał się spotykać, odkąd poznał Magdę.

— Cześć — mówi — śpieszę się.

— O tej porze? — Duży Józek podnosi brwi do góry, a Mały Józek wkłada do ust dwa palce i gwizdże przeraźliwie. Gołębie, spacerujące spokojnie po trawniku, podrywają się spłoszone i odlatują z głośnym furkotem.

— Wolny dzień czy tęsknota za letnim plenerem? — pyta Brunet.

— Ani jedno, ani drugie — odpowiada Michał obrzucając niechętnym spojrzeniem Bruneta, który wbrew pseudonimowi jest „wyblakłym" blondynem o jasnych oczach i bladej cerze — po prostu źle się czuję.

255

— Oo — dziwi się Duży Józek — przykrość. Głowa, gardziołko czy klasówka?

— Dajcie spokój — ogania się Michał — po prostu... po prostu boli mnie brzuch...

Nożyk, wysoki, barczysty, wyjmuje grzebień z kieszeni bluzy i przeczesując długie, spadające prawie na ramiona włosy, cedzi przez zęby:

— Na ból brzucha najlepiej wypić coś rozgrzewającego.

— Krople miętowe — wrywa się mały Pingwin, zawdzięczający swoje przezwisko biało-czarnemu szalikowi, który nosi zimą i latem.

Nożyk gromi go wzrokiem i ciągnie dalej:

— Mój stary zawsze twierdził, że na żołądkowe przypadłości najlepiej pomaga angielska gorzka, czysta z pieprzem albo piołunówka. Obskoczysz? — pyta.

— Nie rozumiem, co mam obskoczyć? — dziwi się Michał.

— On nie rozumie — mówi szyderczo Nożyk zwracając się do kolegów — parę tygodni przerwy i już zapomniał. Ech, przypalantowałbym ci w machę, żebyś zrozumiał, jak się wita kolegów po bolesnym rozstaniu.

Spluwa Michałowi pod nogi i zabiera się do odejścia. Ale milczący do tej pory Brunet, „duchowy” przywódca gromadki, odrywa się nagle od wystawy sklepu rybnego i podchodzi do Michała.

— Jak stoisz z walutą, Majk? — pyta spokojnie.

Teraz Michał wie, że „kolesie” nie dadzą mu spokoju, dopóki nie złoży „okupu”.

Zrezygnowany sięga do kieszeni, wyjmując kilka niklowych monet. Zapomina o otrzymanych rano dwudziestu złotych, złożony we czworo banknot wyślizguje się z kieszeni, spada na ziemię.

Pingwin schyla się, podnosi i oddaje Brunetowi.

256

— Dwie dychy — mówi z szacunkiem.

— Nieźle — stwierdza Nożyk — razem z drobnymi — trzydzieści cztery złocisz, z tym już można coś zadziałać.

Michał jest wściekły. Zostaje prawie bez grosza, pamięta, że w drugiej kieszeni ma tylko kilka złotych, które specjalnie trzymał osobno, dzwoniąc z automatu.

— No, bracia — mówi Brunet — dorzucicie coś do składki, wyprawimy bal.

— Ja dziś pusty — rozkłada ręce Pingwin.

— Ja też — mówi z żalem Mały Józek — od wczoraj nic nie przybyło.

— Ach, wy pacany! — stwierdza bez gniewu Brunet. — Zginęlibyście beze mnie — i dokłada do Michałowych pieniędzy dwie dziesięciozłotówki. Duży Józek jest mniej zasobny, wysupłał tylko cztery złote, za to Nożyk pańskim gestem rzuca piątkę i po chwili namysłu dokłada drugą.

— Leć, Pingwin, naprzeciwno i kup trzy bełty, a za resztę sportów — mówi rozkazująco Brunet.

Pingwin kręci przecząco głową.

— Nie pójdę, tam jest teraz nowa kierowniczką, za nic w świecie nie sprzeda małodniemu.

— To pruj do „Bajki”.

— W „Bajce” patykowego nie uświadczy, same zagraniczne, najmarniej sześć dych jedna flacha...

— Och, wy! — Brunet rzuca przekleństwo, odbiera pieniądze od Nożyka i sam biegnie do sklepu.

Po chwili wychodzi z pięknie opakowanym w papier winem, kiwa na chłopaków i już razem w przykładowej zgodzie idą na sąsiednią ulicę, gdzie uchowały się jeszcze stare rudery, rozległe podwórka, a na nich na w pół rozwalone szopy i przybudówki. Tu można spokojnie usiąść i z dala od ludzkich oczu

i” — W myśli.ch, w sercu...

oct

podawać sobie z rąk do rąk flaszkę z płynem, który smakiem przypomina sfermentowany kompot z jabłek, zaprawiony octem.

Michał wlecze się osobno, niepewny, co ma robić. Wracać do domu czy dawnym zwyczajem pociągnąć parę tęgich haustów, wypalić kilka sportów i posiedzieć między kolesiami, spluwając pod nogi i nie myśląc o niczym?

Po krótkim wahaniu wybiera to drugie. Dość ma drażącego od wczoraj niepokoju, rozterki, niepewności.

Między kolesiami o czymś takim nie może być mowy. Mówią: „Nie bój nic, spokojna głowa, kij im w oko...” i niczym się nie przejmują (chyba brakiem forsy na bełta i dymy), nie męczą ich wyrzuty sumienia, nie wiedzą, co to wewnętrzny niepokój.

„Idę z nimi” — postanawia Michał i wkracza za idącym na końcu Pingwinem w ciemną, śmierdzącą kocimi odchodami bramę.

Brunet, Duży Józek i Pingwin mieszkają w jednej kamienicy, Mały Józek i Nożyk dwa domy dalej. Wszyscy są prawie w jednym wieku, tylko Pingwin chodzi jeszcze do podstawówki i jest tolerowany z racji matki dzierzawiającej kiosk z owocami na rogu ulicy-

Pingwin przynosi kolesiom najpiękniejsze gruszki bery, słodkie kosztele, węgierki, wczesne czereśnie, a czasem pęczki rzodkiewek, ogórki i zieloną cebulę „na zagrychę”.

Pomaga matce łądować towar z piwnicy i przy tej okazji zręcznie „organizuje” dostawy dla paczki. Gdyby nie to, Brunet i Nożyk przepędziliby go bez pardonu, nie lubią smarkaczy, uważają się za dorosłych i trzynastoletni Pingwin nie ma u nich żadnych szans.

258

A i tak jest w paczce popychadłem, gania po papierosy, odnosi flaszkę do punktu skupu, stoi w kolejce po lody lub bilety do kina, jeśli akurat starczy waluty i grają bombowy film. Nikt go nie pyta o zdanie, nikt się z nim nie liczy, za byle uchybienie każdy ima prawo dać mu prztyka w nos, pociągnąć za ucho lub kuksnąć w bok.

Ale Pingwinowi to nie przeszkadza, odbija sobie szturchańce, wyzwiska i lekceważenie kolesiów na młodszych dzieciach z podwórka, które patrzą nań z lękiem, podziwem i szepczą: „Oo, Pingwin, ten od Nożyka i Bruneta”.

Razem organizowali jakieś picie, najczęściej wino, czasem wódkę, w ostateczności piwo, razem wałęsali się po mieście, wystawiali w hallu Domu Towarowego, zaczepiając dziewczęta, siadywali na schodkach baru „Barbara”, grali w oko lub w noża na własnym podwórku, milcząc i tylko od czasu do czasu rzucając po parę słów. Wiosną i latem lubili spędzać wieczory w pobliskich ogrodach działkowych. Wysokie siatki i zamknięte na noc bramy nie były dla nich przeszkodą, forsowali je w mgnieniu oka, lecz przezorność działkowców budziła w nich gniew.

— Dziedzice na czterech pietruszkach! Doniczkowi ogrodnicy! — parsknął ze złością Brunet i zwykle pierwszy dawał hasło odwetu.

Rankiem właściciele ogródków znajdowali stratowane grządki, kwiaty wyrwane z korzeniami, spustoszone drzewka owocowe.

Działkowicze, doprowadzeni do pasji wandalizmem nieznanymi sprawcami, wynajęli nocnego stróża, który obchodził ogrody w towarzystwie ostrego psa. Ale niewiele to pomogło. Działki były rozległe i dozorca nie mógł być wszędzie. Za to kolesie, rozwścieczeni nową „przeszkodą”, z zemsty podpalili drewnianą altanę,

253

a potem z okna mieszkania Bruneta patrzyli na „bombowy fajerwerk”,  
-rybo

Ulubioną rozrywką paczki było rozbijanie szybek w automatach alarmowych i wzywanie straży, do fikcyjnych pożarów. ; ..;

Ukryci w bramie dusili się ze śmiechu, słysząc, charakterystyczny sygnał czerwonych samochodów, a potem patrzyli z rozbawieniem, jak strażacy, miotają się po ulicy i klatkach schodowych, szukając źródła pożaru, do którego zostali wezwani automatycznym sygnałem.

Pewnego razu „zabawa” skończyła się tragicznie. Pędzący do nie istniejącego pożaru wóz strażacki zarzucił na oblodzonej jezdni i zderzył się z nadjeżdżającym z przeciwka

autobusem. Jeden człowiek został zabity, kilka osób odwieziono z ciężkimi obrażeniami do szpitala, prasa podniosła alarm i kolesie na pewien czas zrezygnowali z „rozrywki”, obawiając się, że po wypadku milicja może dyskretnie obserwować automaty alarmowe. Duży Józek i Pingwin byli wstrząśnięci czytając w gazecie opis katastrofy, przeraziła ich ta śmierć, której byli pośrednimi sprawcami, ale Nożyk wyśmiał ich, mówiąc:

— Nie nasza wina, że kierowca do kitu. Na śliskiej jezdni trzeba umieć prowadzić. Zresztą mogli pie-prznąć w gablotę, jadąc do prawdziwego pożaru...

A Brunet dodał melancholijnie:

— Ryzyko zawodu, panowie. Mały Józek nic nie mówił, bo był małomówny i nie miał zwyczaju przejmować się czymś, co nie dotyczyło go bezpośrednio.

W pierwszej chwili Michał poczuł wstręt do kolesiów. Cóż to za ludzie?! Przez głupią zabawę spowodowali śmierć człowieka, ciężkie obrażenia paru in-

nych i nic? Nie czują się winni, nie mają wyrzutów sumienia?

Miał ochotę wygarnąć im, co myśli o ich postępkach i zachowaniu, ale po chwili porzucił ten zamiar i spojrzął na całe zdarzenie z innej strony.

„Trzeba być bardzo twardym, żeby po takim wypadku zachować równowagę i swobodę, nic sobie nie robić z konsekwencji tej zabawy” — doszedł do wniosku. I poczuł, że spokój chłopców imponuje mu.

Gdyby zastanowił się głębiej, byłby może doszedł do wniosku, że to, co brał za siłę charakteru, powściągliwość i zimną krew, było po prostu bezmyślnością, że Brunet, Nożyk i inni nie zdają sobie sprawy z okrucieństwa, jakiego się dopuścili, bo nie szanują niczego, ani ludzkiego życia, ani przepisów, ani nawet samych siebie.

Ale Michał nie lubił zastanawiać się. Znacznie łatwiej i przyjemniej jest żyć bez łamania głowy, roz-strząsania problemów i ich rozpamiętywania.

Gdyby ktoś spytał Michała, co go pociągnęło do kolesiów, prawdopodobnie nie umiałby dać jasnej odpowiedzi. Może trochę imponowały mu „męskie” rozrywki młodych chłopców, może ich sposób życia, lekceważący, pogardliwy stosunek do świata, bezczelność i arogancja, którą brał za odwagę i pewność siebie, a może fakt, że w ich towarzystwie nie musiał się wysilać.

Nudził się z nimi prawie tak samo jak w domu, ale to była nuda z wyboru, znacznie przyjemniejsza niż siedzenie w mieszkaniu nad książką albo przed telewizorem. W domu nie działo się nic, tu zawsze mogło się coś zdarzyć i czekanie na to coś łagodziło monotonię wieczorów spędzanych na ławce w parku, w bramie kamienicy lub na podwórzu.

Kolesie niczego od Michała nie wymagali, nie spo-

dziewali się po nim żadnych „osiągnięć”, nie musiał udawać lepszego lub mądrzejszego, niż był naprawdę. Cenili go, bo miał szeroki gest i otwartą rękę, bo zawsze chętnie stawił lub pożyczał parę złotych potrzebującym. Ale w gruncie rzeczy był dla nich obcy. Nie wtajemniczali go w swoje sprawy, Michał przypadkiem dowiadywał się, że kompot morelowy, który mu tak smakował, jest łupem pochodzącym z włamania do piwnicy, że Nożyk od pewnego czasu częściej jeździ carmenami, bo miał szczęście poderwać pozostawiony przez jakiegoś frajera rower i spuścić go innemu frajerowi za niezłą sumkę. Przyjaźń z kolesiami drogo kosztowała Michała. Dawniej zdarzało mu się czasami ściągać matce drobne z portmonetki, teraz te nikłe sumy nie wystarczały i Michał zaczął dobierać się do szufladki, w której leżały pieniądze przeznaczone na dom. Był przezorny i nigdy nie brał więcej niż dwadzieścia złotych, ale matka widocznie spostrzegła braki i zaczęła szufladkę zamykać na klucz, co było minimalną przeszkodą, bo, jak wiadomo, w nowoczesnych



meblach wszystkie zamki są jednakowe i można je otworzyć każdym kluczem. Michał zdwoił ostrożność, ale i tak wpadł pewnego razu.

Sprawa była tym przykrzejsza, że w tym czasie potrzebował pieniędzy dla Magdy, chciał z nią razem pójść na koncert beatowy. Matka najpierw zrobiła mu piekło, zagroziła, że o wszystkim powie ojcu, w końcu popłakała się i tylko prosiła, by obiecał, że już nigdy więcej tego nie zrobi.

Michał oczywiście obiecał, nic go nie kosztowały obietniczki, ale kilka dni temu, widząc na kuchennym stole portmonetkę matki, znów spokojnie wyjął z niej dwadzieścia złotych.

Co prawda nie przyniosły mu szczęścia, za te wła-  
262

śnie pieniądze zostały kupione bilety na film, po którym stało się to... z Magdą.

Magda... Odkąd zaczął się z nią spotykać, nie miał dla koleśków czasu ani pieniędzy na wino i papierosy. Oczywiście, gdyby dziewczyna wiedziała, w jakim towarzystwie obracał się jej chłopiec, z pewnością wyraziłaby się jak najgorzej o Brunecie, Nożyku, Małym Józku. Może jeden Pingwin, wesoły i dowcipny, spodobałby się jej, co do reszty — nie miał złudzeń. Ale to nie wpływ Magdy sprawił, że Michał zaniedbał „paczkę”, przestał reagować na znajome sygnały, podbiegać do okna słysząc charakterystyczny gwizd Bruneta czy kukanie Nożyka. Po prostu nie starczało mu czasu na wszystko, wybrał więc to, co było dlań obecnie ważniejsze, czyli Magdę.

A koleśkom w gruncie rzeczy nie zależało na Michale, czyli Majku (tak przezywał go Brunet popisując się liźniętą w szkole odrobiną angielszczyzny), nie tęsknili za nim i jego dezercję przyjęli spokojnie.

— Brunet — powiedział Michał zacinając się z lekka — mam cholerne zmartwienie.

Blade, jakby spłowiałe oczy Bruneta nie zdradzały zainteresowania. Podniósł flaszkę, spojrzął pod światło na jej zawartość i przechylił do ust. Pił długimi łykami, wreszcie podał wino Michałowi, mówiąc:

— Pod to zmartwienie.

Michał odsunął flaszkę. Nie miał ochoty dalej pić, tym bardziej że wino szumiało mu już w głowie i kontury przedmiotów zamazywała lekka mgiełka.

— Nie, Brunet — powiedział — na to zmartwienie nie pomoże picie.

— Picie jest dobre na wszystko — wygłosił ulubioną sentencję Nożyk i zapalił sporta.

2(34

— Znów oberwałś dwóję? — zainteresował się Duży Józek, a Mały Józek trącił Pingwina w bok i powiedział wszystko:

— Leć za garaż, nie rób nam tu przedstawienia. Pingwin, blade, z kroplami potu na czole, wstał

i staniając się zniknął za odrapaną budą z falistej blachy. Po chwili zaczęły stamtąd dochodzić odgłosy wymiotów.

— Pingwin nie ma głowy do bełta — mruknął Nożyk — a pierwszy sunie z łapami po szkło.

Michał wzruszył ramionami. Nie interesował go w tej chwili Pingwin i jego dolegliwości.

Głupi szczeniak. Pewno nie jadł śniadania i wlał do pustego żołądka szklankę wina, nic dziwnego, że jedzie do rygi aż miło.

— Słuchaj, Brunet — powtórzył z uporem — ja mam naprawdę cholerne zmartwienie.

— Dobra, to już słyszeliśmy — Brunet przeciągnął się leniwie — pruj dalej, tylko krótko i bez szczegółów.

Michał z zadowoleniem stwierdził błysk zainteresowania w pozbawionych wyrazu oczach Bruneta. Nożyk przestał oglądać ostrze swego scyzoryka i schował go do kieszeni, a obaj Józkowie przysunęli się bliżej i nadstawili uszu.

— To było wczoraj... — zaczął.

Z początku plątał mu się język, mówił chaotycznie, bez szczegółów, nie tylko dlatego, że Brunet nie lubił długich i kwiecistych opowieści. Czuł się dziwnie skrępowany, szczerość wobec koleśków nie była ani łatwa, ani pożądana. Kto wie, jak Nożyk skomentuje jego stosunek do Magdy? Może Brunet rzuci ordynarne słowo lub złośliwą uwagę? Tego Michał by nie zniósł, na to nie może pozwolić.

Nazwał więc oględnie Magdę „koleżanką” i cały na-

264

cisk położył na brutalną napaść czterech nieznanym, unikając starannie nazwania ich łobuzami lub chuliganami. Kolesie bardzo nie lubili tych określeń. Nie przyznał się też, że sprowadził milicję, w jego wersji dwaj funkcjonariusze dokonywali akurat obchodu parku.

— No i coś musiało się stać niedobrego, bo nie przyszła dziś do szkoły, w mieszkaniu telefon nie odpowiada i nikogo nie ma w domu... — zakończył Michał.

— Byłeś tam? — spytał Nożyk.

— Nie, ale wczoraj do późnego wieczora okna były ciemne i dziś też nikt nie podnosi słuchawki.

— Pewno uszkodzony aparat — stwierdził Brunet — zadzwoń do biura napraw.

— Racja! — Michała zelektryzowała oczywistość i prostota propozycji Bruneta. — Że też o tym sam nie pomyślałem!...

— Widzisz! — Nożyk znów wyjął scyzoryk i z upodobaniem wypróbował jego ostrość na paznokciu.

Ale entuzjazm Michała zgasł szybko.

— A jeśli aparat jest w porządku? — spytał. — Zresztą dlaczego nie przyszła do szkoły?

Brunet wzruszył ramionami. Krótkotrwałe zainteresowanie „Majkiem” i jego historią ulotniło się, znów siedział zapatrzone w czubki własnych butów, nieruchomy, obojętny.

— Może zachorowała ze strachu — wysunął swoją wersję Duży Józek — dziewczuchy nie lubią takich numerów.

— Powinieneś im dobrze wlać, Majk — rozległ się cienki głos Pingwina.

Michał obejrzał się. Mały stał tuż za nim, był jeszcze blady, ale widać było, że czuje się lepiej. Prawdopodobnie słyszał całą historię.

265

— No tak — ożywił się Michał — właśnie mam zamiar to zrobić. Tylko... ich było czterech... sam nie dam rady... może wy?... Chodźcie ze mną! — wybuchnął. — W piątkę spuścimy im takie manto, że do końca życia nie zapomną.

— W szóstkę — poprawił poważnie Pingwin.

Michał uśmiechnął się z politowaniem, mały, szczupły Pingwin byłby tylko zawadą.

Wpatrzył się z napięciem w Bruneta i Nożyka. Oni decydowali o wszystkim.

Przez cały czas siedząc na podwórzu i pijąc wino z kolesiami Michał miał na końcu języka tę propozycję. Ostatecznie znali się od wielu lat, w paczce obowiązywała solidarność i coś w rodzaju przyjaźni. Powinni pomóc. Nie żądał od nich niczego nadzwyczajnego, bójki, porachunki na pięści były tu chlebem powszednim. On i jego dziewczyna zostali skrzywdzeni, trzeba więc krzywdzicieli odszukać i ukarać. Gdy chłopakom brakowało forsy, Michał nigdy nie odmawiał im przysługi, choć narażał się na grube nieprzyjemności w domu. Gdy Mały Józek skacząc z dachu garażu skreślił nogę w kostce, wszyscy złożyli się na taksówkę i Michał odwiózł kolegę na pogotowie. Gdy Nożyk pokłócił się z matką i poszedł „w Polskę”, Brunet nocował go i żywił przez dwa tygodnie.

— ■ Masz nieziemskie pomysły, Majk — powiedział po długim milczeniu Brunet. — W nosie mam ciebie i twoją cizję! Też coś! Znalazł sobie pomagierów. Mamy jechać na drugi koniec miasta, szukać jakichś żulików i wdawać się z nimi w awanturę tylko dlatego, że tobie się tak podoba? Twoja sprawa, twoja dziewczyna, sam szukaj guza, jeśli cię to bawi.

Nożyk kiwnął głową z aprobatą, Mały Józek i Duży Józek słuchali obojętnie, tylko Pingwin powiedział głośno i z przekonaniem:

266

— A ja bym poszedł z Majkiem. To by była fajna draka, całkiem jak „Powrót rewolwerowca”.

Brunet wykrzywił się z niesmakiem.

— Po pierwsze, zatrzaśnij dziób i nie wtrącaj się, kiedy starsi rozmawiają, po drugie, jak chcesz iść z Majkiem, nikt ci nie broni, złożymy się na wiązanek kwiatów i pójdziemy na twój pogrzeb, po trzecie, jeśli już o rewolwerowcach mowa, to oni robili takie numery za grubszą forszę, kapujesz?

Nożyk podniósł głowę, na jego twarzy odbiło się zainteresowanie.

— To jest myśl... — powiedział niepewnie. Michał z napięciem czekał, co powie Brunet.

— No dobra — usłyszał wreszcie — możesz nas wynająć w charakterze mścicieli po stówie od łebka. Musisz przyznać, że tanio liczymy, po znajomości, tylko dlatego że mieszkamy po sąsiedzku. Obcemu kazałbym płacić podwójnie.

Michał zbladł. Pięćset złotych! Skąd weźmie tyle pieniędzy?

— Nie mam forsy — powiedział szarym głosem i szybko dodał — mogę przynieść adapter, płyty...

— Pod zastaw? — spytał ironicznie Brunet.

— Nie — wykrztusił Michał — zamiast pieniędzy. To bardzo porządny adapter, płyty też niezłe, wszystko razem warte więcej niż pięć stów.

— Wypchaj się swoim adapterem — powiedział Brunet — mam stereo, a z płytami mógłbym założyć sklepik.

— Można by spuścić... — wtrącił nieśmiało Mały Józek.

— Tak, i dostać dwie stowy — przerwał mu Brunet — nie wiesz, że za używane rzeczy płacą grosze? A ile trzeba się nachodzić, naużerać, jeszcze jakiś łachudra będzie ci wmawiał, że kradzione sprzedajesz.

267

Nie, Majk, przyniesiesz nam w zębach brudasa albo figa z pomocy. Autobus też zapłacisz — dodał uśmiechając się złośliwie.

— Niech najpierw sprawdzi, co jest z aparatem? — wtrącił Nożyk. — Może cizi nic się nie stało, a on bez powodu robi szum i napuszcza nas na niewinnych.

— Racja — skinął głową Brunet — leć do automatu. Zaczekamy na rogu.

Wyszli razem, szturchając raz po raz Pingwina, któremu plątały się nogi. Michał ruszył pędem ku czerwonej, oszklonej budce. Nakręcił 204, podał numer telefonu Magdy i po chwili usłyszał znudzony głos:

— Aparat nie uszkodzony.

Wrócił biegiem i powiedział dysząc nie tyle ze zmęczenia, ile z emocji:

— Telefon jest w porządku, mówiłem, że coś się stało.

— No więc jak, Majk? Prujesz po forszę? Bo jeśli nie, to idziemy w swoją stronę — rzucił Nożyk.

Michał po krótkim wahaniu skinął głową. Trudno. Jeszcze raz zrobi świństwo, otworzy szufladkę matki. Potem ruszy konceptem, jakoś się wytłumaczy, ale teraz nie ma czasu na medytację. Zresztą lepiej się nie zastanawiać, bo jak człowiek za długo myśli, traci energię, inicjatywę, zaczyna się bać. Poszli razem przez skwer, Brunet rozglądał się za wolną ławką, ale wszystkie były zajęte przez matki z dziećmi, przez emerytów grzejących się w słońcu.

— Cholera — zaklął Nożyk — skąd tyle starych dziadów się bierze? W zimie siedzą w domu i nie zajmują miejsca, a teraz wyłażą jak te karaluchy. Człowiek nie ma na czym usiąść.

— Panowie — powiedział Brunet — a oonto przy-

268

szlego zarobku, stawiam wam lody u Pucki. Tylko pamiętajcie, że to pożyczka. Ty, Majk, leć do chaty, czekamy w lodziarni koło przystanku.

Rozstali się na rogu, Michał skręcił w boczną ulicę, stąd do domu miał zaledwie kilka minut. Z początku szedł szybko, potem zwolnił, wreszcie przystanął.

Przecież matka jest w domu, w żaden sposób nie uda się niepostrzeżenie wejść do mieszkania, otworzyć szufladę i wyjąć pięćset złotych.

Zerknął na zegarek, dochodziła pierwsza. Dziś czwartek, Hanka z pewnością już wróciła ze szkoły, zresztą mniejsza o Hanke, ale w obecności matki jego plan nie powiedzie się.

Ruszył bezmyślnie przed siebie, minął swój blok i usiadł na ławce tuż obok piaskownicy, w której kilkoro umorusanych dzieci obsypywało się piaskiem, piszcząc z zadowolenia i pokrzykując. Ale Michałowi to nie przeszkadzało, siedział zamyślony, nie zwracając uwagi na dzieci, na psy uganiające po trawnikach, na słońce przypiekające niczym w lipcu.

Nagle drgnął. Jakaś kobieta szła chodnikiem w stronę przystanku. Jej chód, uczesanie, suknia były dziwnie znajome. Ależ to matka! Michał widział ją z tyłu, oddalającą się szybko, ale kilka sekund wystarczyło, by nabrać pewności, że szczęście mu dopisuje, że może wejść do mieszkania i zdobyć pieniądze.

Mimo to przez dłuższą chwilę nie ruszał się z ławki, wreszcie wstał i powoli poszedł w stronę domu. Znalazłszy się w bramie przystanął, trwał niezdecydowany z ręką na gałce wahadłowych drzwi, nagle odwrócił się i wybiegł na ulicę.

Szedł szybko wielkimi krokami, jakby go ktoś gonił, ale nie skręcił w prawo, minął skrzyżowanie, zawrócił i znalazł się na szerokiej drodze prowadzącej do ogródków działkowych.

270

Brama była otwarta, schludne działki jeszcze puste, dopiero po południu zaroją się ludźmi, którzy po pracy szukają wytchnienia między grządkami marchewek i tulipanów, pod cieniem bzów i jabłoni.

Michał nie zwracał uwagi na kwiaty, na ich barwy i zapachy, szedł szybko, potem zwolnił, włókł się noga za nogą, przystawał, robił kilka kroków i zatrzymywał się.

Po raz pierwszy w życiu rozmyślał nad swoim położeniem, walczył z chęcią powrotu do domu i zabrania pieniędzy, zastanawiał się, czy postąpi słusznie płacąc rachunek za Magdę cudzymi rękami.

Nagle przypomniał sobie słowa Bruneta:

„Twoja sprawa, twoja dziewczyna, sam szukaj guza, jeśli cię to bawi...”

Czyżby Brunet miał rację, może to była wyłącznie jego, Michała, sprawa?

Przystanął i zapatrzył się bezmyślnie na starszego człowieka, który starannie grabił ścieżkę między grządkami.

„Temu to dobrze — pomyślał ze złością — ma już wszystko z głowy, naukę, pracę, dziewczyny... Siedzi całutki dzień w ogródku, podwiązuje pomidory, sadi flance, podlewa, plewi i niczym się nie przejmuje, chyba suszą albo przymrozkiem”.

Kopnął jakiś kamyk i znów poszedł przed siebie. Po chwili znalazł się przy bramie położonej na drugim końcu działek. Kilkaset metrów dalej płynęła Odra. Poszedł tam i po chwili siedział na rozległej łące, mając przed sobą ujętą w kamienne obrzeże rzekę. Było pusto i cicho, tylko daleko, w pobliżu śluzy widział sylwetki dwóch wilczurów biegających w kółko z wesołym poszczekiwaniami.

— No i co ja mam teraz robić? — spytał półgłosem, jakby zwracając się do kogoś siedzącego obok,

271

choć niewidzialnego. — Kolesie poczekają jeszcze chwilę i pójda każdy w swoją stronę, domyśla się, że nie zdobyłem pieniędzy. Dalej nie wiem, co z Magdą, i nawet nie mam kogo zapytać, jak powinienem postąpić...

Poczuł się nagle zupełnie osamotniony i przez to okropnie nieszczęśliwy.

Miał tyle pytań, tyle wątpliwości i znikąd odpowiedzi, znikąd pomocy. Czy naprawdę musi sam?...

Nie był przyzwyczajony do samodzielności, dotąd zawsze ktoś za niego decydował, dom, szkoła, rodzice, nauczyciele. Na własną rękę działał zazwyczaj w sprawach błahych, a i tak jego postępowanie było uwarunkowane przepisami i zakazami, które po prostu łamał i obchodził. Była to więc samodzielność połowiczna, pośrednia.

Dlatego Michał protestuje, łamie się, nie chce takiej samodzielności, przeraża go konieczność życia na własny rachunek, podejmowanie decyzji i rozstrzyganie, <sup>0</sup> jest słuszne, co nie.

„A przecież zawsze marzyłem, żeby jak najszybciej być dorosłym — myśli — swobodnym i niezależnym. <sup>0</sup>Tie wziąłem pod uwagę paru mniej przyjemnych rzeczy związanych z dojrzałością...”

Dotychczas dla Michała „być dorosłym” znaczyło być wolnym od kontroli rodziców i nauczycieli, postępować według swoich upodobań, mieć pieniądze i wydawać je w sposób uznany przez siebie za właściwy, Wracać do domu o każdej porze, bez potrzeby zdawania sprawy, gdzie był i co robił, dobierać sobie towarzystwo według własnej woli i chęci, słowem, żyć swobodnie, wesoło i przyjemnie.

Teraz zrozumiał, że za pojęciem „dojrzałość” kryje się coś jeszcze i to „coś” wcale nie jest łatwe ani przyjemne: człowiek dorosły jest w pewnych sprawach

27§

zdany na własne siły, musi sam rozstrzygać niełatwe problemy, podejmować trudne decyzje, szukać odpowiedzi na skomplikowane pytania.

„Nie chcę — buntuje się Michał — nie potrafię. Skąd mam wiedzieć, jak powinienem postąpić? Nikt nie przewidział takiej sytuacji, nikt mnie nie nauczył, co robić, gdy znajdę się oko w oko z czterema łobuzami, którzy zaatakują moją dziewczynę. Mama zawsze powtarza, że trzeba stawać w obronie słabszych, ale potępia bójki i awantury. W szkole słucham drętwej mowy o solidarności, o więzi między ludźmi, o braterstwie, wszystko to pięknie brzmi, ale gdy wchodzi w rachubę własne bezpieczeństwo, zdrowie, życie — kończy się solidarność i braterstwo, zaczyna łęć o własną skórę. Miałem dobrą lekcję pogładową wczoraj na przystanku tramwajowym i dziś... Brunet mi wytłumaczył, na czym polega więź między ludźmi. Wszystko za forszę, nic bezinteresownie”.

Michał uderza obcasem o trawę, z furją ryje dziurę w miękkiej ziemi. Brunet, Nożyk — czy oni mogą być brani pod uwagę? Czy ich zdanie się liczy?: Chyba żyją na świecie ludzie uczynni, wielkoduszni, dla których są sprawy ważniejsze od pieniędzy.

Nie trzeba daleko szukać, we własnym domu Michał może znaleźć przykłady takich właśnie postaw. Czy matka albo ojciec, gdy trzeba komuś pomóc, pytają za ile? Czy nie poświęcają czasu, którego zawsze im brak, by załatwić skomplikowaną sprawę, odwiedzić chorego przyjaciela, ulżyć potrzebującemu?

Czy ojciec nie kruszy kopii w obronie swoich pracowników, czy nie lata po urzędach, by wywalczyć sprawiedliwość, załatwić odszkodowanie, sanatorium, zasiłek? Czy nie naraził się swoim władzom wywalając do kanału kocioł z niejadalną stołówkową zupą? Miał grube nieprzyjemności, ktoś nazwał go rozra-

1 ■ w myślach, w sercu...

273

biaczem, ktoś inny demagogiem, polującym na łatwą popularność wśród robotników. Ale ojciec gwizdnał na opinie i w końcu wyżywienie w stołówce poprawiło się, zwolniono parę osób, dwie ukarano za nadużycia i teraz jest spokój.

A przecież tato nadzoruje budowę, nie stołówki, mógł powiedzieć: „Nie moje konie, nie mój wóz, nie ja to będę wiózł”. A sam nigdy w stołówce nie jada, mama gotuje świetne obiady i tata zrobił to wszystko dla innych, nie dla siebie.

A Magda? Co powiedziałyby Magda, gdyby wyszło na jaw, że opłacił koleśków, by nauczyć rozumu Piegowatego i tamtych trzech? W dodatku opłacił kradzionymi pieniędzmi?

Michał nie ma wątpliwości, co powiedziałyby Magda, przez te kilkanaście tygodni zdążył dokładnie poznać jej poglądy na pewne sprawy.

Pamięta nawet, że przy jakiejś okazji mówiła:

— Człowiek nie może żyć sam dla siebie, każdy z nas jest odpowiedzialny za drugiego...

Tylko że wtedy chodziło o koleżankę, która opuściła się w nauce. Czy on, Michał, mógłby powiedzieć o sobie, że kiedykolwiek wziął na siebie odpowiedzialność za inną istotę ludzką? Chyba nie. Chociaż... może Staszek Wójcik jest tym człowiekiem?

Łaził w samej marynarce, nawet bez swetra, mimo że już był listopad, i to zimny listopad.

Miał kłopoty w domu, umarł mu ojciec, matka zachorowała, Staszek był najstarszy z rodzeństwa, oddał swój płaszcz młodszemu bratu. Któregoś dnia wyszli razem i Michał powiedział:

— Weź mój ortalion, nie mogę patrzeć na twój siny nos.

— A ty? — spytał Staszek.

— Starzy i tak muszą mi kupić nową kurtkę, z tej

274

już wyrosłem. Wyciągnął przed siebie ręce, by zademonstrować krótkość rękawów. Staszek opierał się, wahał, był cały czerwony z przykrości i wstydu.

— Nie jestem żebrakiem! — mruknął gniewnie.

I wtedy Michał przypomniał sobie, że Staszek ma łeb do matematyki, że fizyka i chemia to jego ulubione przedmioty.

— Dobra, ubijemy interes — powiedział. — Ja daję kurtkę, a ty do końca roku będziesz mi pomagał w zadaniach z matmy, dobra?

Potem przyszło mu na myśl, że stara kurtka nie jest warta aż tyle, i dodał:

— Jeśli chcesz, mogę ci oddawać drugie śniadania, ale z chemii też musisz mi pomagać.

Teraz dopiero Staszek zgodził się z radością. Kurtka pasowała na niego jak ulał, był niższy i szczuplejszy od Michała.

Czy to był jednak dobry przykład odpowiedzialności za drugiego człowieka? Chyba nie... Ani ojciec, ani matka nie pochwaliliby „interesu”, wielkoduszność Michała była podszyta wygodnictwem i niechęcią do rozwiązywania zadań matematycznych.

A Magda? Magda wydełaby pogardliwie wargi i powiedziałyby surowo: „materialista”.

Nagle Michał zrywa się z ziemi, łapie swój worek i zaczyna biec wzdłuż kanału. Znienacka spadło nań olśnienie, powziął decyzję w ciągu sekundy.

Biegnie na przełaj łąką, potem skrótami przez ogródki, wydostaje się na ulicę. Po krótkiej chwili staje przed domem Magdy.

Wpół do trzeciej Michał opuścił mieszkanie Magdy i powlókł się w stronę domu. Było mu gorzko i głu-Pio, i wstyd. Przewidział wszelkie ewentualności, wyo-

)B\*

275

brażał sobie Magdę pobitą i poranioną, Magdę na Pogotowiu Ratunkowym, w szpitalu, bladą i owiniętą bandażami, był przygotowany na płacz, wymówki, ostre słowa potępienia.

Ale nigdy, nawet przez moment nie spodziewał się, że Magda...

Gdy zadzwonił do drzwi, przeżył chwilę niepewności, w mieszkaniu panowała cisza i zdawało się, że nie ma nikogo. Po dłuższym wyczekiwaniu, kiedy zrezygnowany chciał odejść, usłyszał szmer kroków.

Otworzyła mu Magda w piżamie i kolorowym szlafrocuku. Nie była pobita, nie miała na sobie bandaży. Tylko niewielki siniec na policzku i plaster na czole wskazywały, że z wczorajszej przygody nie wyszła całkiem bez szwanku.

— Michał! — krzyknęła radośnie i wciągnęła chłopca do przedpokoju. Nie puszczać jego ręki patrzyła nań uważnie i mówiła głosem drgającym od wzruszenia:

— Jak dobrze, że przyszedłeś! Nic ci się nie stało? Umierałam ze strachu, nie mogłam zasnąć, mama dała mi pigułkę na sen. Nic ci nie zrobili, naprawdę nic? Chodź do okna, tu w przedpokoju ciemno, nie widzę cię dobrze.

Popchnęła oglupiałego chłopca do pokoju, pociągnęła go pod otwarte okno, oglądała niespokojnie, wreszcie odetchnęła z ulgą.

— Tak się cieszę, Michał, myślałam, że zwariuję ze zmartwienia! W dodatku akurat wczoraj musiał nawalić telefon, rano tatuś zadzwonił z pracy do biura napraw i zgłosił awarię. Nic wielkiego się nie stało, jakieś spięcie na linii, ale dopiero o dwunastej mogłam zadzwonić do twojej szkoły i... i... dowiedziałam się, że nie ma cię w klasie! — Och, Michał! — rozplakała się. — Co ja przeżyłam, nie miałam pojęcia, co

się stało, i nie mogłam się dowiedzieć. Chciałam zadzwonić do twojego ojca, ale nigdy nie mówiłeś, gdzie on pracuje, zresztą jak dzwonić na budowę? Potem chciałam poszukać tej biblioteki, w której twoja mama wypożycza książki, postanowiłam, że będę dzwonić do wszystkich po kolei według książki telefonicznej i pytać o panią Słapową. Ale przypomniałam sobie, że twoja mama pracuje po południu, a ten wstrętny lekarz w Pogotowiu kazał mi leżeć przez trzy dni i mama na wszelki wypadek zamknęła na klucz wszystkie moje rzeczy, żebym nie poleciała cię szukać.

— Byłaś w Pogotowiu? —■ spytał bez tchu Michał.

— No tak —■ Magda dotknęła ostrożnie plastra nad okiem. — Kiedy wyrwałam się tym łobuzom i zaczęłam uciekać, jeden z nich dogonił mnie i podstawił mi nogę. Rymnęłam jak długa i rozciąłam sobie czoło o jakiś kamień. Wstrętne chuligany! Mój biały płaszcz można wyrzucić, cały poplamiony błotem i krwią, podarty, zniszczony!

— Mniejsza o płaszcz! — wybuchnął Michał. — Mów, kiedy pojechałeś do Pogotowia, jak dostałeś się do domu?

Magda spojrzała ze zdumieniem.

— Ten pan odwiózł mnie swoim autem — odparła

— powiedział, że ty i on dacie sobie radę z tymi łobuzami i krzyknął: „Niech pani biegnie w lewo, za zakrętem stoi moja syrena, ja zaraz przylecę”.

— No i co?

— Wrócił po paru minutach, nawet nie bardzo był zdyszany, tylko miał rozerwaną koszulę. „Popędziliśmy im kota, to tchórze, wiali, aż im pięty błyskały”

— powiedział. Nie chciałam jechać bez ciebie, pytałam wciąż: „Gdzie Michał, co z Michałem?”, ale ten pan podniósł zgięte ramię, o, takim gestem, i roześmiał

277

się. „Bez obawy, chłopak na medal, dawno nie widziałem takich chwytów, z pewnością ćwiczysz dzudo. Wróci tramwajem albo taksówką, a pani musi jechać na Pogotowie, ta rana może być groźna”. Krew zalewała mi oczy, obwiązałam czoło szalikiem, poczułam ból, szumiało mu w uszach i świat zaczął się dziwnie kołysać. Michaś, nie gniewaj się, ja naprawdę nie chciałam cię zostawić, to ten pan mnie poganiał i zapewnił, że nic ci się nie stało... Pojechaliśmy do Pogotowia, on poczekał, aż mi prześwietlili głowę i zeszyli ranę, a potem odwiózł do domu.

Rodzice byli w teatrze, mogłam spokojnie umyć się i położyć. Dobrze, że podczas tej rozróbki nie zgubiłam torebki i kluczy, ale mama i tak zauważyła mój płaszcz, mimo że wepchnęłam go pod wannę, i przeraziła się śmiertelnie.

— O której wrócili rodzice? — spytał matowym głosem Michał.

— Nie wiem dokładnie, chyba po dziesiątej. A dlaczego pytasz?

— Stałem pod twoim domem, patrzyłem w okna

— były ciemne, dzwoniłem z automatu, nikt nie podnosił słuchawki, sądziłem, że stało się coś okropnego, że jesteś w szpitalu... Ach, Magda!

Michał gwałtownym ruchem odwrócił się od okna, od dziewczyny, nie wiedział, gdzie podziąć oczy, co zrobić, by ukryć rumieniec wstydu zalewający policzki.

— Żyjemy w niewoli przedmiotów! — powiedziała z komicznym patosem Magda. — Gdyby mój telefon nie był akurat wczoraj uszkodzony, nie przeżylibyśmy oboje koszmarnych godzin. Już wczoraj wieczorem wiedziałabym, że nic ci się nie stało, a ty nie martwiłbyś się o mnie. Ale dlaczego nie przyszedłeś na górę?

— spytała z nagłym zdziwieniem. — Krępowaleś się,  
278

że późno, że moi rodzice cię nie znają? W takim wypadku nie trzeba zważać na formy. Zresztą oni już wiedzą o tobie wszystko i bardzo chcą cię poznać — dodała gorąco.

Michał oparł czoło o framugę drzwi, przymknął oczy i stał tak nieruchomo, obrócony tyłem do Magdy. Nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że w tej chwili toczył sam ze sobą najtrudniejszą walkę. Powiedzieć prawdę czy milczeć? Magda uważa go za coś w rodzaju bohatera, w każdym razie ma o nim jak najlepsze mniemanie, nigdy dotąd nie patrzyła na niego z takim uznaniem, sympatią. Miał to wszystko zniszczyć, przekreślić, zburzyć własnymi rękami?

Odwrócił się, spojrzał na dziewczynę. Stała przed nim szczupła, nieduża, taka zgrabna w luźnym kolorowym szlafrocisku ozdobionym białą koroneczką. Siniec i plaster na czole nie zdołały jej zesześcić, blada twarzyczka okolona ciemnymi włosami była równie ładna jak wczoraj, jak zawsze. A może nawet ładniejsza... Rozświetlona uśmiechem, miękka, jakby bezradna, wyczekująca. Zniknęło chmurne spojrzenie ciemnych oczu, zniknął twardy, stanowczy zarys ust i gniewne zmarszczenie brwi. To była inna Magda, nie ta prawiąca morały, krytyczna i bezwzględna. Pomyślał, że wystarczy kilka jego słów, by z twarzy Magdy zniknął uroczy, wzruszający uśmiech, i zaciskając pięści postanowił, że nie wypowie ich, że będzie milczał. Spytał:

— Jak się czujesz? Nic cię nie boli? Co wykazało prześwietlenie?

— Wszystko w porządku — roześmiała się Magda. — Mam twardy łeb! Za kilka dni wyjmą mi szwy i chyba nie będzie żadnego śladu. Doktor ze zbytku ostrożności kazał mi trzy dni leżeć.

— A ty spacerujesz jakby nigdy nic! — przeraził  
279

się Michał. — Słuchaj, ja już pójdę a ty kładź się.

— Nie, Michał, proszę cię... zostań jeszcze chwileczkę. Opowiedz, jak to było... bo ja... ja nic nie pamiętam. Słyszałam tylko twój krzyk, wołałaś chyba „puście ją!”, a potem ktoś mówił o krwi. Że zalejesz się krwią. A ja miałam usta zatkane brudną łapą! Ugryzłam tę rękę i wtedy udało mi się wyrwać.

Podniosła dłoń do czoła zmieniła się na twarzy.

— Och, Michał, dlaczego ludzie są tacy okropni? spytała ze skargą w głosie i oparła głowę o ramię chłopca.

Michał nieśmiało pogłaskał lśniące włosy, schylił się i dotknął ustami policzka dziewczyny. Poczul zapach konwaliowego mydła pomieszany z mdłą wonią środków odkażających.

Chwilę walczył z chęcią pozostania dłużej w tym miłym słonecznym pokoju, ale przemógł się. Odsunął delikatnie Magdę i powiedział stanowczo:

— Powinnaś położyć się i odpocząć. Lekarz ma rację. I nie myśl dłużej o tamtym, zapomnij, przecież wszystko dobrze się skończyło, oboje jesteśmy cali i zdrowi.

Wybiegł nie żegnając się.

Na ulicy przystanął, spojrzał w górę, zobaczył ■w oknie ciemną głowę Magdy. Nagle poczuł, że dłużej nie potrafi udawać. Zwinął dłonie w trąbkę, krzyknął:



— Magda! To nie byłem ja!

Tramwaj zgrzytając ruszył z przystanku i Michał odwrócił głowę. W ostatniej chwili zobaczył matkę, jej wyciągniętą rękę, jej usta otwarte w niemym okrzyku i przez sekundę miał ochotę wysiąść, wyskoczyć w biegu, wrócić do domu i zasiąść spokojnie do obiadu.

S80

przecież to, co chcę zrobić, nie ma sensu — pomyślał, patrząc na posuwające się szybko kamienice, sklepy, drzewa — wysiądę na najbliższym przystanku" — postanowił.

Zaczął przepychać się do wyjścia, tramwaj zwolnił, automatyczne drzwi rozsunęły się z trzaskiem.

— Wysiadasz? — usłyszał czyjś głos.

Nie odpowiedział, spojrzął na pytającego prawie z odrazą.

Czego chce od niego ten spocony grubas w rozchełstanej pod szyją koszuli, dlaczego przynagła go do pośpiechu?

— Odsuń się — warknął gruby — stanie taki jak na weselu i wysiąść nie pozwoli.

Michał zupełnie bezwiednie cofnął się od drzwi, przepuścił wysiadających, a potem stanął tyłem do wyjścia i patrzył bezmyślnie na szybko zmieniające się widoki za oknem.

„Jeszcze tylko trzy przystanki — myślał. — Co ja robię? Czy ja oszalałem?"

Usiłował sam siebie przekonać, że powinien zawrócić, że nie ma żadnych szans, że wygłupi się beznadziejnie... i nie wysiadł. Pograżony w myślach nie zauważył, kiedy tramwaj zatrzymał się na ostatnim przystanku, i drgnął słysząc głos konduktorki:

— Wysiadaj, koniec jazdy. Chyba że masz zamiar wracać...

Wyskoczył z wagonu, rozejrzał się. Od wczoraj nic się tu nie zmieniło, te same szyny zataczały łuk pod anemicznymi drzewkami skweru, ten sam kiosk Ruchu błyskał wymytymi szybami, chyba nawet te same gołębie spacerowały po trawniku, dziubiąc zielone łódeczki. Michał postawił na ziemi worek z książkami i usiadł na niskim żelaznym ogrodzeniu oddzielającym tory tramwajowe od chodnika.

281

po co ja tu przyjechałem? — pomyślał — padło mi na mózg, słowo daję. Dzielnica duża, kilkadziesiąt ulic i uliczek, nowe bloki, nowe wille, kupa starych parterowych domków... Czy mam do nocy łązić po całym osiedlu i szukać?"

poczuł głód, odruchowo sięgnął do kieszeni, nama-cał płótno. Prawda, całą forszę przepuścił z koleśkami. W drugiej kieszeni znalazł dwie złotówki, wczoraj specjalnie rozmienił piątkę, by móc skorzystać z automatu.

podszedł do spożywczego kiosku i poprosił o dwie bułki. Została mu złotówka, na powrotny bilet tramwajowy.

Gryząc niesmaczne, ciągnące się jak guma ciasto poszedł w stronę parku. Tędy wracał wczoraj z Magdą i tu właśnie zastąpił im drogę Piegowaty z koleżkami. Co tu robił ten pan z syreną? — zastanowił się Michał. — Samochód stał na prawo w bocznej uliczce z drugiej strony... Może gość wyskoczył po papierosy, może kogoś odprowadzał, zobaczył Magdę i... był jeszcze drugi, prawdopodobnie młody chłopak..."

Uprzytomnił sobie, że Magda opowiadając o nieznanym kierowcy syreny, który rozgonił napastników, nie wdawała się w żadne szczegóły. Bo i po co? Była pewna, że Michał wie o wszystkim, że to właśnie on był tym drugim.

Już nie jest pewna — przemknęło mu przez myśl — już teraz wie, że to nie byłem ja.

Chociaż... mogła nie dosłyszeć moich słów, mogła nie zrozumieć, o co mi chodziło".

Włókł się ospale alejką patrząc na czubki własnych butów, jakby liczył kroki — lewa, prawa, lewa, prawa-

...więc jednak ktoś przechodził parkiem, ktoś, kto

nie tracił czasu na obliczanie szans, na szukanie po-

mOCy... lewa, prawa... zna dżudo, takiemu to dobrze, dlaczego ja nie spróbowałem tej zabawy, to przecież i frajda, i pożytek, lewa, prawa, lewa, prawa, gość musiał być w moim wieku, ten facet od syreny wziął go za chłopaka Magdy, lewa, prawa, lewa, prawa, nie zastanawiał się, zobaczył uciekającą dziewczynę i czterech łobuzów, może nawet ich znał, może mieszka w tej dzielnicy, nie miał pietra, lewa, prawa, lewa, prawa. Co teraz pomyśli o mnie Magda: «Tchórz, zląkł się o własną skórę», »Każdy człowiek jest odpowiedzialny za drugiego«, »Trzeba stawać w obronie słabszych«, lewa, prawa, prawa..."

Coś się zmyliło Michałowi, poplątał krok, stanął.

— Tak — powiedział półgłosem, ale wyraźnie — zrobię to. Zrobię! — krzyknął.

I ruszył energicznym krokiem. Szedł wymachując workiem, jakby śpiesząc na upragnione spotkanie z dziewczyną. Był spokojny i prawie zadowolony.

Mijały minuty, kwadransy, Michał z uporem przemierzał uliczki, zaglądał na podwórka, wsuwał głowę do bram, do sklepów, chwilę postać przed kinem, gdzie zebrała się nieliczna grupka zwolenników pierwszego seansu, zawrócił, spacerował jakiś czas przed szkołą, wreszcie łażąc tu i tam zauważył na krańcach osiedla dziki, nie zabudowany teren i resztki zrujnowanej fabryki czy cegielni.

„Oni lubią ustronne miejsca” — przypomniał sobie upodobania koleśków i pomyślał, że tu chyba poczeka na Piegowatego i resztę.

Skacząc po wądołach i kamieniach dotarł do usypiska gruzów, usiadł pod zwałonym kominem.

„A jeśli się omyliłem? — pomyślał z trwogą — jeśli nie przyjdą?”

Nagle drgnął. Posłyszał głosy, ktoś cienko, piskliwie klócił się o jakiś znaleziony scyzoryk.

— Oddaj! Ja pierwszy zobaczyłem, mnie się należy...

— Spływaj! Ja podniosłem, więc kozik mój. Michał wstał i zbiegł po rozwalonych stopniach, zajrzał w głąb ruin.

Zobaczył dwóch malców, skaczących sobie do oczu, czupurnych jak dwa koguty, gotowych do bitki.

— Ej, wy — zawołał — co tu robicie?

— A bo co? — odkrzyknął jeden z chłopców.

— Bo nic — mruknął Michał i nagle wpadł mu do głowy szczęśliwy pomysł: — Chodźcie no tutaj! — zawołał. — Przestańcie się bić, dam wam drugi scyzoryk...

Dwie umorusane twarzyczki obróciły się ku mówiącemu z nagłym zainteresowaniem. Czujne, sprytnie oczka spojrzwały nieufnie. Scyzoryk? Tak całkiem darmo, za nic? Bracie, nie nas brać na takie numery...

— No, chodźcie — powtórzył Michał — naprawdę dam wam scyzoryk i każdy będzie miał własny...

Wyjął z worka mały przedmiot i pokazał go chłopcom na otwartej dłoni.

—\* Nie bujasz? — spytał wyższy, ciemnowłosy, a mniejszy, blondynek z gęstą, od wieków nie strzyżoną czupryną, już lażł na górę, zgrabnie jak kot czepiając się wystających cegieł.

— O rany, ale fajny! — westchnął obejrzawszy z bliska scyzoryk.

— Patrz, ma dwa ostrza i korkociąg — zachwalał Michał.

— No dobra — powiedział ciemnowłosy podciągając opadające płócienne spodnie — ty nam dasz kozik, a co my mamy zrobić?

„Ten już też wie, że nic za darmo” — przemknęło Michałowi przez myśl.

— Drobiazg — odparł niedbale — mieszkacie tutaj?

— No — kiwnął głową blondyn — od zawsze.

— Znacie takich facetów? — opisał im możliwie dokładnie Piegowatego i krępego wyrostka, który go zatrzymał, gdy biegł za Magdą.

— Jasne — oświadczyli obaj równocześnie — Żółtek i Baran. Oni chodzą z braćmi Malejami. Malejo-wie mieszkają koło mostu, jeden się nazywa Władek, a drugi Broniek. Pan ma do nich interes? — spojrzeli na Michała z szacunkiem.

— Właśnie — przytaknął Michał — dostaniecie scyzoryk, jeśli odnajdziecie wszystkich czterech i powiecie im, że czekam na nich tu, koło cegielni.

— Koło gorzelni — sprostował blondynek — tu była kiedyś gorzelnia.

— Wszystko jedno — machnął ręką Michał — powiecie tak: „Jeden gość ma do spłacenia dług i czeka koło gorzelni”. Jasne?

— Pan jest im winien pieniądze? — spytał z zainteresowaniem ten w opadających spodniach.

— Nie bądź taki ciekawy, bo nie urośniesz. Jazda, lećcie!

— Zrobi się — krzyknął blondynek — Żółtek i Baran zawsze o tej porze stoją pod kioskiem z piwem...

— Głupi! — wydał się pogardliwie drugi malec. — Z pewnością są u Malejów, zawsze po obiedzie tam chodzą...

— Nieprawda.

— Wasza sprawa, gdzie ich znajdziecie — przerwał spór Michał — grunt, żebym tu zobaczył wszystkich czterech.

Blondynek wyciągnął rękę.

— Pan daje ten scyzoryk — oświadczył kategorycznie.

Michał schował dłoń do kieszeni.

— Najpierw przyprowadźcie mi Żółtka, Barana i Malejów — powiedział.

286

Chłopcy westchnęli z rezygnacją i ociągając się, odeszli. Blondynek obejrzał się, potknął na kamieniu.

— Czekajcie! — krzyknął Michał tknięty jakąś myślą. — Macie!

Rzucił scyzoryk, małe łapiny złapały go, nim zetknął się z ziemią.

Michał wrócił na poprzednie miejsce i usiadł. Przez chwilę jeszcze widział dwie głowy, jasną i ciemną, znikające i pojawiające się między nierównościami gruntu, potem już tylko pustkę. Nie liczył uciekających minut, nie zdawał sobie sprawy, jak długo czeka. Upłynęła może godzina, może więcej, gdy usłyszał głosy.

Wstał. To byli oni. Nadchodzili wszyscy czterej, powolnym, kołyszącym się krokiem, z rękami w kieszeniach spodni.

Michał poczuł, że drętwieją mu mięśnie karku, że po plecach przebiega dreszcz, jakby tysiące mrówek spacerowało po skórze. Przymknął oczy...

Odrzucił worek z książkami, postąpił kilka kroków do przodu. Widział ich wyraźnie, mógł policzyć prążki na koszuli Barana i piegi na policzkach Żółtka. Nadchodzili wolno, zwiększając odstęp między sobą, zatoczyli koło, widać mieli zamiar go osaczyć.

„Wiedzą, kim jestem, domyślili się, jaki dług będę płacił” — przemknęło Michałowi przez myśl.

Cofnął się, oparł plecami o ceglany komin, podniósł zaciśnięte pięści, przybierając postawę boksera szykującego się do walki.

— Chodźcie — krzyknął — nie boję się was!

CZEŚĆ PIAT

Wszyscy razem

Małgosia zamknęła zeszyt, odrzuciła go na stos innych i przeciągnęła się z zadowoleniem. Fajrant. Ostatnie zadanie nawet nie było trudne, rozwiązała je w ciągu paru minut. Zerknęła na rozkład godzin, włożyła do teczki potrzebne na jutro książki. Lubiła piątek. W piątki miała

same przyjemne przedmioty. Wu-ef, dwie godziny biologii, polski, historia i francuski. Warto by jeszcze przejrzeć Daudeta... Ee, co tam, umie przecież zupełnie dobrze króciutki tekst. — „Maitre Cornille etait un vieux meunier” — zanuciła pod nosem i siedząc wykonała nogami taneczne pas.

Odruchowo włączyła radio, ale zaraz przekreśliła gałkę. Mama prosiła, żeby nie hałasować. Tatuś wró-

288

cił z pracy wcześniej niż zwykle, kiedy wpadła do mieszkania, był już w domu i siedział na tapczanie z opuszczonymi bezwładnie rękoma i z dziwnym wyrazem twarzy...

— Tatuś był u lekarza — poinformowała ją szeptem matka — jest chory i musi mieć absolutny spokój. Proszę cię, Małgosiu, zachowujcie się cicho, przypilnuj Hanię, żeby nie wrzeszczała na cały dom.

Małgosia na palcach weszła do swojego pokoju.

Tatuś chory? Będzie się leczył, zażywał lekarstwa, może pójdzie do szpitala? To było niepojęte, nie mieściło się w głowie, burzyło odwieczny, utarty porządek domu. Wszyscy chorowali, mama, Hanka, Michał, nawet ona, Małgosia, choć sama o sobie mówiła, że ma końskie zdrowie... Ale tata? Ojciec zawsze był zdrow, nigdy na nic się nie skarżył.

Wprawdzie ostatnio był jakiś dziwny, Małgosia dość dawno zauważyła zmianę w wyglądzie i zachowaniu ojca, ale była pewna, że jest po prostu przemęczony. Zresztą on sam tak tłumaczył swoje wypieki i zadyszki, bóle głowy i pokładanie się na tapczanie.

To musiało być coś poważnego, matka miała szarą twarz i lęk w oczach, nie przeraziłaby jej do tego stopnia lekka niedyspozycja.

Nagle Małgosia poczuła ściśnięcie serca i zimny dreszcz strachu. Pomyślała, że... ojciec może umrzeć. Przecież ludzie umierają, nawet młodo umierają, czy Baśka Kowalik nie straciła matki, czy Romek Łada nie został sierotą mając zaledwie trzy lata?

Przed paroma miesiącami cała szkoła poszła na pogrzeb młodej nauczycielki, która umarła nie mając trzydziestu lat. A tata był znacznie starszy, dochodził już chyba pięćdziesiątki.

Małgosia zacisnęła palce na poręczach fotelika, plecami przywarła z całej siły do oparcia.

15 — w myślach, w sercu...

289

„Nie histeryzuj — skarciła się w myślach — to na pewno nic poważnego, gdyby tatuś był ciężko chory, zabraliby go do szpitala jak sąsiada z drugiego piętra, karetką na sygnale”.

Usłyszała skrzyknięcie drzwi, do pokoju weszła matka.

— Mama — Małgosia rzuciła się ku wchodzącej — powiedz mi prawdę. Czy tatuś... czy on?... — nie dokończyła, podniosła na matkę przerażony wzrok.

— Uspokój się — powiedziała łagodnie matka — nie trzeba zaraz myśleć o najgorszym. Tatuś jest przepracowany, ma zmęczone serce, musi porządnie wypocząć, podleczyć się, wyjechać... Zobaczysz, że po paru miesiącach kuracji poczuje się lepiej. Trzeba mu

oszczędzić zmartwień i kłopotów, stworzyć w domu pogodną atmosferę, by nie myślał o swojej chorobie, nie zadręczał się... Właśnie z tym do ciebie przyszłam, córeczko,

Małgosia przytuliła policzek do ręki matczynej, spoczywającej na jej ramieniu, i szepnęła gorąco:

— Ja wszystko zrobię, mamo, tylko mi powiedz, co trzeba, a ja wszystko...

— Martwi mnie Michał — odparła również szeptem matka — dotąd nie wrócił, nie był na obiedzie, nie poszedł też do szkoły. Spotkałam Wojtka, pytał, czy Michał chory? Gdzie on jest, gdzie chodzi? — ścisnęła rękami skronie. — Bardzo boję się o niego, Małgosiu. Ojciec o niczym nie wie, powiedziałam, że Michał ma jakieś Popołudniowe zajęcia w szkole, że zjadł wcześniej obiad i wyszedł. Dochodzi szósta, gdzie on może chodzić do tej pory? Ty nic nie wiesz, córeczko?

Małgosia z litością spojrzała na zmęczoną twarz matki, na cienie pod oczami, na ściągnięte bólem usta. Za dużo naraz wali się na jej biedną głowę. Podły Michał! Niech tylko wróci, już ona mu wygarnie! Jest

290

najstarszy, powinien być najrozsądniejszy, tymczasem zachowuje się jak głupi szczeniak!

Nagle przypomniała sobie Michała stojącego na rogu Świerczewskiego, Michała s dziewczyną, jego wzrok pełen zachwytu i wyczekiwania.

— Nie martw się, mamusiu — powiedziała bez namysłu — on się zmieni, poprawi. Michał jest zakochany... — dodała, jakby to wyjaśniało wszystko.

— Michał? Jeszcze tylko tego brakowało — jęknęła matka. — Teraz to już w ogóle przestanie się uczyć. Skąd o tym wiesz?

— Widziałam ich — odparła Małgosia — ona jest bardzo fajna, taka... niecodzienna. I zrobi z Michała, co zechce. Już ja się na tym znam. Owinie go sobie dookoła palca.

— Znasz tę dziewczynę?

— Nie, ale wiele słyszałam o niej. Matka uśmiechnęła się smutno.

— Owszem, Małgosiu, dziewczyna może mieć duży wpływ na chłopca, i dobry, i zły. skąd wiesz, jaka jest dziewczyna Michała? Nie widzę w nim zmiany na lepsze, dzisiejszy dzień na przykład... Może wałęsa się gdzieś właśnie z nią?

Małgosia uparcie potrząsnęła głową.

— Jestem pewna, że ona jest w porządku. To świetna dziewczyna i zupełnie inna niż wszystkie dotychczasowe koleżanki Michała. Zresztą, jeśli chcesz, mogę przeprowadzić jeszcze jeden wywiad.

Matka wstała i powiedziała z uśmiechem:

— Mój ty „Szerloku”, daj spokój! Pilnuj swoich lekcji i zajmuj się Hanią, ona niedługo wróci i zaraz zacznie trzeszczeć.

— Spokojna głowa, mamo, już ja jej nałożę tłumik — zapewniła Małgosia. — O, chyba idzie — dodała, słysząc znajome trzy dzwonki.

19»

291

Pobiegła do drzwi, wciągnęła młodszą siostrę do pokoju, zanim ta zdążyła otworzyć usta.

— Słuchaj, Hanka — zaczęła — musimy porozmawiać poważnie...

Po półgodzinie wyszły obie ze swego pokoju. Hania już przestała płakać, tylko od czasu do czasu pociągała nosem. W mieszkaniu panowała cisza, nie świeciło się ani w kuchni, ani u rodziców.

Zresztą na dworze było jeszcze zupełnie jasno. Weszły ostrożnie, na palcach do największego pokoju.

Rodzice siedzieli na balkonie, ojciec na leżaku, mama obok na krześle. Trzymali się za ręce.

Ojciec milczał, matka mówiła coś cicho łagodnym, przytłumionym głosem.

Małgosia ostrzegawczo położyła palce na ustach.

— Nie masz racji, Franku — tłumaczyła matka — każdą pracę można polubić i wykonywać ją z zapałem. Trudno, kochany, trzeba pogodzić się z tym, że lata mijają, że nie jest się coraz młodszym... Pomyśl o sobie, o mnie, o dzieciach... Jesteś nam potrzebny, co zrobilibyśmy bez ciebie? Pamiętasz wieczór przed naszym ślubem, już w Mostowicach? — powiedziałeś mi coś, o czym myślę do dziś...

— Pamiętam — odparł ojciec — staliśmy w sadzie i patrzyliśmy na niebo. Gwiazda spadła i ty kazałaś mi szybko wymienić jakieś życzenie.

— Powiedziałeś: „Chcę doczekać z tobą starości, chcę, żebyśmy obchodzili srebrne, złote i diamentowe wesele”.

— Byłaś wtedy taka śliczna w tym niebieskim ko-stiumiku... teraz też jesteś śliczna, właściwie wcale się nie zmieniłaś...  
— I ty dla mnie wyglądasz tak samo jak wtedy pod Iglicą, kiedy zaprosiłeś mnie na kawę.  
— Kochana...

292

Małgosia wzięła Hankę za rękę i wyprowadziła ją z pokoju.

— Niech sobie siedzą na balkonie i wspominają — powiedziała już w kuchni — my tymczasem przygotujemy kolację.

Mała zaczęła szperać po garnkach i po chwili krzyknęła:

— O, zostały ziemniaki z obiadu i kotlety, i sałata. Mogę zjeść?

— Zostaw, to dla Michała.

— Prawda, nie był na obiedzie. Czemu nie był?

— Nie wiem. Smaruj masłem chleb. Tylko nie na palec grubo.

— Wstrętny ten Michał, no nie? W domu takie zmartwienie, a on gdzieś lata...

— Przecież on jeszcze nie wie.

Małgosia podeszła do szafki pod oknem, by wyjąć talerze, i spojrzała na ulicę. Słońce już zaszło i niebo było lekko zachmurzone, ale wczesne zielonkawe światło zmierzchu jeszcze nie zmaćliło widoku.

Nagle drgnęła. Któż to nadchodzi chodnikiem, kulejąc i trzymając jedną rękę nienaturalnie sztywno, daleko od ciała? Znajomy chód, znajoma sylwetka...

Krzyknęła cicho i podniosła rękę do ust. Przecież to Michał! Jest coraz bliżej. Ma rozdartą na piersiach koszulę, podbite oko, ciemne smugi na czole i policzkach. Bił się z kimś, musiał porządnie oberwać!

Ale dlaczego wraca uśmiechnięty, z podniesioną wysoko głową, wygląda zupełnie inaczej niż zwykle?

Otworzyła szeroko obie połówki okna, wychyliła się i krzyknęła:

— Michał!

Pokiwał jej ręką i zawołał:

— Cześć! Wszyscy w domu?

— Tylko na ciebie czekamy! - - odkrzyknęła.

^ V

es Kraków- ^ i

^ Podgórze ta i

ISIS

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

Ojciec .....5

CZĘŚĆ DRUGA

Matka.....77

CZĘŚĆ TRZECIA

Pamiętnik Małgosi.....153

CZĘŚĆ CZWARTA

Michał .....224

CZĘŚĆ PIĄTA

Wszyscy razem.....288

Г

"

.

Printed in Poland

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1975 r. Wydanie I. Nakład 30 000 + +  
217 egz. Ark. wyd. 33,8. Ark. druk. A1 — 14,99. Pap- -' druk. mat. ki. III, 70 g, 82 X 104Jl2.  
Oddano do sb'-"dania w maju 1974 r. Podpisano do druku w grudniu 1974 r. Druk ukończono  
w styczniu 1975 r. Zakłady Graficzne Gdańsk. Zam. nr 2530 K-3

W